

**Marek Romański**  
**PROKURATOR GARDA**



## ROZDZIAŁ I

Olbrzymi gmach domu towarowego jaśniej jak luna pożaru i cały plac rozjaśnia blaskami, bijącymi od wielkich weneckich okien i od krwawego neonowego napisu, który, umieszczony na frontowym budynku, już z daleka wabi przechodniów, głosząc wyprzedaż wiosenną.

Olbrzymi gmach magazynu góruje nad całym placem, podobny, po zapadnięciu wczesnego jeszcze zmroku, do potężnego ognistego słupa bijącego w niebo.

Przez piętra domu towarowego przelewa się ciżba ludzka, stłoczona, popychająca się, śpiesząca się niecierpliwie. Od hallu domu towarowego, aż po szklany dach sześciopiętrowego gmachu bije gwar zmieszanych głosów podobnych natrętnemu brzęczeniu pszczół.

Od czasu do czasu nad gwarem tym zapanowują tony muzyki grającej w kawiarni mieszczącej się na najwyższym piętrze gmachu.

*Wielka wyprzedaż wiosenna* — krzyczy wielki neonowy napis do przejeżdżających autobusów, do sznurów samochodów prywatnych i taksówek, do przechodniów przemierzających plac.

Wyprzedaż. To słowo przemawia, zachęca i pociąga. Tylko przez tydzień wszystkie ceny o 25% niższe. Należy korzystać z okazji, tym bardziej, że wyprzedaże w domu towarowym *A. Szalski i S-ka* mają swą ustaloną markę.

Przewalają się przez magazyn tłumy pasące swe oczy widokiem nagromadzonych cudowności, śledzące ceny powypisywane na niektórych przedmiotach, pytające o ceny, tam gdzie ich nie ma.

Wielki magazyn dyszy pośpiechem, tętni życiem gorączkowym, nerwowym.

Wiosna. Już idzie. Już ją czuć w powietrzu, w podmuchach rannego wiatru, w kryształowym wiosennym chłodzie. Wiosna. Już ją czuć w umysłach, w tęsknocie za jej dosytem, już zaczyna szumieć i tętnić w krwi.

Wiosna. Wiosenne zakupy.

Umęczone ekspedientki wielkiego magazynu starają się dobrać, przekonać, wyperswadować, zachęcić, ba, nawet wmówić, by załatwić wreszcie niezdecydowanego klienta lub rozgrymaszoną klientkę. Byłe prędej! Byłe prędej, bo już czeka klient drugi, trzeci i dziesiąty.

Na najwyższym piętrze magazynu otwierają się drzwi ozdobione białą, mleczną taflą szklaną. Obcym jest tu wstęp wzbroniony, jak głoszą czarne litery na mlecznym szkle szyby.

Dyrektor Artur Szalski wychodzi z gabinetu, jak to zwykle czyni w czasie swego urzędowania, by zawodowym okiem rzucić na ruch w magazynie, by dojrzeć, czy szybko i sprawnie idzie obsługa klientek.

Już z daleka uderza jego uszy gwar, istna wieża Babel głosów.

Dyrektor Szalski wsłuchuje się w ten gwar ludzkiego mrowiska jak w najmiłszą muzykę. Opłaci się tydzień wyprzedażowy, opłaci się kampania reklamowa w dziennikach stołecznych, opłaci się ów krzykliwy neonowy napis.

Wąskim korytarzem kieruje się dyrektor Szalski w stronę, skąd gwar ów dochodzi.

Naraz zatrzymuje się.

Obok niego wyrasta w półmroku postać ludzka, jakby wyszła ze ściany lub wyrosła spod ziemi. Postać lekko pochylona, jakby w pokorze i gotowości do natychmiastowych, gorliwych i pełnych oddania usług. Błada twarz, oczy podbite, wyostrzony nos nad małymi niedbale utrzymanymi wąsikami.

— To ja, panie dyrektorze.

— Stanisław? Nie poznałem...

Lekko pochylona postać występuje z cienia i podchodzi jeszcze bliżej. W zachowaniu woźnego wobec naczelnego dyrektora i właściciela domu towarowego jest jakaś mieszanina unizoności, a zarazem bezczelnej poufałości.

Głos woźnego kryje szczególne akcenty, gdy mówi:

— Zbadałem wszystko, panie dyrektorze.

Artur Szalski przystaje. Myśli właśnie o czym innym i nagle pojawienie oraz słowa woźnego budzą w nim odruch zniecierpliwienia.

— O czym Stanisław mówi?

Małe, zapuchnięte tłuszczem oczka woźnego są ruchliwe i niespokojne, podobne do pary rozbieganych koni. Już wie, już rozumie, że zjawił się w nieodpowiedniej chwili. Nie budzi to w nim żadnych uczuć, pochyla jednak głowę w kornym ukłonie.

— To, co pan dyrektor polecił mi zbadać...

Niecierpliwy ruch ręką, jakby dyrektor Szalski opędzał się od natrętnej muchy.

— A, już wiem. Ale to nie teraz, później. Jestem teraz zajęty. Niech Stanisław przyjdzie potem, około ósmej, po zamknięciu magazynu.

— Według rozkazu, panie dyrektorze.

Woźny Stanisław służył w wojsku w randze podoficera i lubił się popisywać swą służbistością.

Szalski robi jeszcze jeden ruch ręką i rusza dalej. Woźny patrzy za nim przez chwilę. Pod pozorami uległości kryje się chytrość i pewność siebie. Zdaje sobie sprawę, że może być chwilami niezbyt miły dyrektorowi, ale z pewnością jest niezbędny.

Dyrektor Szalski naciska tymczasem guzik dzwonka, przywołujący windę. Podnosi wypielęgnowaną rękę i przesuwają ją po rzednących już włosach. Przypomina sobie o czym mówił mu Stanisław i na jego brzydkiej, rasowej twarzy, pojawia się uśmiech. Dyrektor Szalski uśmiecha się do swych myśli i jest zadowolony.

— Pyszna dziewczyna! — mruczy do siebie. — Że też wcześniej na nią nie zwróciłem uwagi.

Szczęk otwartych drzwi windy wrywa go z zamyślenia.

— Na trzecie piętro! — rzuca krótko obsługującemu dźwig.

Pomimo panującego tłoku, przez który przeciska się z trudem, zostaje dostrzeżony natychmiast. Przez całe piętro z ust do ust, z szybkością, jakiej mógłby pozazdrościć telegraf, przebiega przez sznur ekspedientek wiadomość, ostrzeżenie-nowina.

— Dyrektor...

Pochylają się nad ladami, pochylają się ku klientom, ruchy ich stają się szybsze i sprawniejsze, prześcigają się w gorliwości, podwajają swe wysiłki, pomnażają swą uprzejmość wobec kupujących.

Dyrektor Szalski w szarym ubraniu z angielskiego materiału, przesuwają się wolno przez tłum, pozornie obojętny na wszystko i jakby zamyślony.

Ale ten wyraz twarzy nikogo, absolutnie nikogo, nie zmyli. Personel magazynu zna doskonale Szalskiego. Przed wzrokiem dyrektora nic nie da się ukryć. Wystarczy, by przeszedł przez magazyn swym wolnym, jakby ociężałym krokiem, by potem rozległy się na piętrach

dzwonki telefonów do szefa. A takie wezwania do szefa nie należały do najmilszych. O, nie...

Czasami dyrektor Szalski, przechodząc przez magazyn, przystawał i przez chwilę przysłuchiwał się rozmowie ekspedientki z kupującym czy kupującą. I wtedy nic nie mówił, stał tylko z boku, patrzył i słuchał, a słuch miał fenomenalny. Potem szedł dalej z wyrazem twarzy, z którego nic nie można było wyczytać.

Była to ogniowa próba. Jeżeli Szalski ujrzał wówczas, że ekspedientka nieumiejętnie obsługuje klienta, jeżeli niezbyt gorliwie i zręcznie przedstawia mu zalety i walory towaru – była skończona.

Padalo krótkie, nieodwołalne słowo: redukcja.

Nie istniały żadne uboczne względy, nie było okoliczności łagodzących. Bo i po co?... Dziewczęcego towaru było jeszcze w Warszawie dość i jeszcze było w czym wybierać, a o zgrabną ekspedientkę – było również łatwo.

Właściciel domu towarowego zatrzymał się tym razem przy ladzie, na której widziały krawaty i rękawiczki męskie. Mimo, że powiadomione pantoflową pocztą, trzy ekspedientki obsługujące ten dział, w nawale pracy, zdawały się nie pamiętać ostrzeżenia *szef idzie*.

Nie widziały Szalskiego, którego od lady sklepowej przedzielali klienci, nie widziały, jak przystanął i mimo, że był dość wysoki, wspiął się nieco na palcach, by obrzucić wzrokiem ekspedientki.

Wzrok Szalskiego pełen znawstwa, prześlizgiwał się z jednej na drugą. To, że w magazynie jego pracowały jedynie ładne i miłej powierzchowności ekspedientki było przedmiotem jego dumy. Wzrok ten zatrzymał się na pięknej wysokiej dziewczynie o delikatnych rysach twarzy. Dziewczyna zajęta była właśnie polecaniem pary rękawiczek jakiemuś starannie ubranemu młodemu człowiekowi i wynoszeniem pod niebo ich niewątpliwych zalet.

Była z pewnością zmęczona i podniecona, co sprawiało, że oczy jej błyszczały, a rumieńce na policzkach były żywsze niż zwykle. Wprawnyymi, szybkimi ruchami rąk zdejmowała z półek pudełka z rękawiczkami i układała na ladzie, biorąc z nich to tę, to inną parę.

Pośpiech i szybkie ruchy sprawiły, że pyszne rude włosy, połyskujące kolorem starej miedzi, zwichrzyły się i rozsypały w nieładzie wokół wdzięcznej główki, dodając jej nowego uroku.

Dyrektor Szalski stał i patrzył, nieporuszony, pozornie obojętny.

Piękna ekspedientka podobała się najwidoczniej młodemu, starannie ubranemu blondynowi, który umyślnie grymasił i starał się przedłużyć i przeciągnąć kupno.

Młody człowiek obracał niezdecydowanie w ręku jedną parę rękawiczek, wyrażając widocznie, co do niej jakąś wątpliwość, ona zaś starała się go przekonać, że towar jest bez zarzutu.

Oparł się łokciem o ladę sklepową, rozszerzając palce, i poprosił, by pomogła nałożyć mu rękawiczkę. To bardzo ważna rzecz, by numer był dobry, tym bardziej, że poza gatunkiem numer również budził wątpliwości, kupujący bowiem zapomniał zupełnie jaką wielkość nosi.

Kilku klientów czekało na swoją kolej, ekspedientka jednak musiała spełnić jego wolę. Ujęła rękawiczkę i pomagała mu włożyć ją, przy czym ręce ich zetknęły się, co wywołało nowy rumieniec, który wystąpił jej na policzki.

Kupujący, korzystając z tego, że nachyleni byli ku sobie, mówił do niej coś, czemu dziewczyna żywo przeczyła ruchem głowy, raczej zadąsana niż zagniewana.

Wargi Szalskiego drgnęły nieznacznie. Nie trudno było domyślić się, o czym była mowa. Dziewczęta pracujące w wielkich magazynach często narażone są na zaczepki ze strony klientów i propozycje zawarcia znajomości.

Gdy scena mierzenia rękawiczek przeciągała się, dyrektor domu towarowego powiedział

krótkie *przepraszam* i przecisnął się przez rząd klientów.

Ekspedientka wcześniej usłyszała jego głos, niski a oschły zarazem, zanim go spostrzegła.

— Proszę pani! Czekają klienci...

Drgnęła i uśmiech znikł z jej twarzy. Przy ladzie stał Szalski i patrzył na nią zimnym wzrokiem, w którym kryła się odrobina szyderstwa. Był jednak najwyraźniej zirytowany, skoro odezwał się w ten sposób, nie zważając na to, że może dotknąć tym wahającego się w wyborze rękawiczek klienta.

Kupujący, na dźwięk słów Szalskiego, wyprostował się również i mimo woli odsunął się od Reny, jak gdyby przydybano ich na gorącym uczynku czynienia czegoś, co wzbronione i zakazane.

Zrozumiał natychmiast, że to przełożony strofuje pracownicę i że w słowach jego jest również przygana dla jego zachowania. Przygana ta mało go obchodziła, ważniejsze było to, że postępowaniem swoim ściągnął burzę na głowę tej pięknej dziewczyny, która aż przybladła, słysząc skierowany do niej monit, wypowiedziany tonem brutalnym. Natychmiast też, opanowawszy zmieszanie, krótkie jak mgnienie oka, kupujący odezwał się spokojnie do ekspedientki:

— Biorę te parę. Miała pani rację, że numer był dobry.

Odpowiedziała mu szybkim spojrzeniem, które wyrażało wdzięczność. Jednakże Szalski nie należał do ludzi robiących cokolwiek połowicznie.

Wzrok jego spoczął na młodym, przystojnym blondynie, po czym przeniósł się na kierowniczkę działu, która słysząc głos dyrektora podbiegła do niego, zdobiąc swą twarz w najmiłszy uśmiech, na jaki było ją stać.

— Pani Skowrońska — rzekł Szalski, nie podnosząc głosu, dość jednak głośno, by słyszeli wszyscy, stojący w pobliżu. — Widzę, że panna Łaska nie może dać sobie rady. Niech pani weźmie kogoś do pomocy z sąsiedniego działu. Tam nie ma przepełnienia.

Po czym, nie czekając odpowiedzi, obrócił się i poszedł dalej.

Rena zbladła jeszcze bardziej. Ręce jej drżały, gdy wkładała do torebki rękawiczki, kupione przez romantycznego młodego człowieka, który usiłował nawiązać z nią rozmowę.

Wiedziała doskonale, że z Szalskim nie było żartów. Takie powiedzenie dyrektora oznaczało pewną dymisję, a Renę na samą myśl o tym słowie ogarniał dreszcz.

Z trudem panując nad sobą, wypisała kwit do kasy, podała go młodemu człowiekowi, który naraził ją na taką przykrość, a gdy szła oddać w paczkarni małe zawiniątko, w oczach jej zakręciły się łzy.

Należało się spodziewać wszystkiego najgorszego.

Tymczasem Szalski, nie zważając na to, jakie wrażenie wywołał swoim wystąpieniem, przeszedł jeszcze kilka działów magazynu, aż wreszcie wszedł do windy, by wrócić do biura.

Gdy przechodził przez korytarz, wyrosła przed nim znowu sylwetka Stanisława.

— Panie dyrektorze!

— Mówiłem wam już, że nie teraz. Wezwę was, gdy będę miał chwile czasu.

— Panie dyrektorze, nie to, tylko jest tu ktoś do pana dyrektora. Czeką w poczekalni.

— Kto taki?

— Mówi, że z pilnym interesem. On już raz tu był...

Stanisław nachylił się nieco ku Szalskiemu i dodał konfidencjonalnym tonem:

— Żyd, panie dyrektorze.

— Dobrze. Zobaczę.

Skierował się do drzwi swego gabinetu, do którego musiał przejść przez poczekalnię. Kto mógł mieć do niego interes o tej porze? Jakiś niezadowolony klient ze skargą?

Gdy mijał poczekalnię, na widok jego podniósł się z krzesła wysoki, dość otyły Żyd o ciemnych, głęboko osadzonych oczach. Skłonił się z uszanowaniem Szalskiemu, który spojrzał na niego ze zdziwieniem i niechęcią.

Dyrektor magazynu znikł w drzwiach swego gabinetu. Żyd usiadł z powrotem i czekał cierpliwie. Zachowanie jego było spokojne i pewne siebie.

Wreszcie rozległ się głos dzwonka. Stanisław z fenomenalnym pośpiechem zjawił się u drzwi gabinetu. W chwilę potem ukazał się znowu i skinął na interesanta.

— Pan dyrektor prosi...

Żyd wstał ciężko z krzesła i wszedł do pracowni Szalskiego.

Tamten widocznie zirytowany, nie padając ręki, wskazał mu miejsce.

Niech pan siada...

Spóźniony interesant usiadł i czekał spokojnie, aż Szalski, zgasiwszy z pasją papierosa, odezwał się tonem niechętnym i karcącym.

— Panie Hufnagel! Mówiłem panu tyle razy, by nie przychodził i nie pokazywał się pan tutaj! Te rzeczy załatwiamy przecież gdzie indziej!

## ROZDZIAŁ II

W godzinach rannych w *budzie* – jak ekspedientki w rozmowach między sobą nazywały Dom Towarowy ruch był znacznie mniejszy.

Korzystając z tego, pracownice rozmawiały ze sobą, dzieląc się plotkami i ploteczkami. W monotonnym, pozbawionym wszelkich blasków życiu ekspedientek, w nudnych, długich godzinach pracy w magazynie, każde nawet najdrobniejsze wydarzenie urasta do wielkich rozmiarów, budzi niewspółmierne zainteresowanie i jest żywo komentowane i omawiane.

Wśród pracownic trzeciego piętra Domu Towarowego, zdarzeniem takim, wymagającym oświetlenia ze wszystkich stron, był incydent między dyrektorem Szalskim a Reną.

Wiadomość o owym incydencie lotem błyskawicy rozeszła się po magazynie. Dla ekspedientek nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że po tym, co zaszło, dni pobytu Reny w magazynie są policzone i że lada chwila zostanie wezwana przed oblicze szefa, by dowiedzieć się, że nie nadaje się do pracy w Domu Towarowym.

Rena nie była lubiana przez koleżanki, które z jednej strony zazdrościły jej urody, z jaką nie mogła się równać uroda żadnej z nich. z drugiej strony znowu miano jej za złe, że była nieprzystępna, dumna i zamknięta w sobie.

Rena istotnie prowadziła życie zamknięte w sobie i samotne. Była z natury nieufna, a nieufność tę mimo młodego wieku, wyniosła z własnych doświadczeń życiowych. Zdobyć jej przyjaźń, pochwalić się jej zaufaniem było rzeczą trudną, co sprawiało, że koleżanki nie umiejąc znaleźć do niej drogi, orzekły, że jest dumna, że wysoko się nosi, że ma wywrócone w głowie i dały spokój nawiązywaniu z nią bliższych stosunków, poprzestając na konwencjonalnej znajomości.

W tych okolicznościach szczególnym trafem było, że jedyną koleżanką, z którą Rena nawiązała kontakt bliższy i serdeczniejszy, była ekspedientka z tego samego działu, będąca zupełnym przeciwieństwem Reny, zarówno pod względem wyglądu zewnętrznego, jak i pod względem charakteru.

Kazia była brunetką o czarnych palących oczach, która w życiu bardzo mało miejsca przeznaczala na filozofię i brała życie takim, jakim jest, przedkładając zawsze praktykę nad teorię.

To, że była ekspedientką, zmuszoną do stania przez osiem godzin dnia przy ladzie sklepowej wielkiego magazynu – drobnym nic nieznaczącym pionkiem, który można było w każdej chwili innym pionkiem zastąpić – uważała za dopust boży i poczytywała sobie za obowiązek robić wszelkie wysiłki, póki młodość jej była w pełnym rozkwicie, by wyciągnąć z życia tyle przyjemności, ile można, i by w tym okresie zmienić swą pozycję towarzyską i socjalną.

Ustami wypełnionymi drugim śniadaniem, które jadła szybko, korzystając z tego, że w dziale nie było klientów, pytała Renę, bełkocąc niewyraźnie:

— Byłaś już wezwana do *starego*?

*Stary* – oznaczało dyrektora Szalskiego, podobnie, jak *buda* oznaczało magazyn.

Rena potrząsnęła przecząco głową.

— Nie! Ale spodziewam się, że czeka mnie to lada chwila.

Kazia spojrzała raz jeszcze na zmęczoną twarz przyjaciółki i ruszyła ramionami.

— Niepotrzebnie się przejmujesz!... Wyglądasz, jak stwór. Gdyby widział cię dziś ten twój fatygant, przez którego zrobiła się cała awantura, z pewnością byś mu się nie podobała...

Na ustach Reny pojawił się przelotny uśmiech. Poprawiła ręką swe pyszne miedziane włosy.

— Nie! To nie to. Stracić dziś posadę, to wielkie nieszczęście, ale nie dlatego tak dziś źle wyglądam. Mama chorowała w nocy, nie spałam długo...

— Znowu była chora? Moja droga, mówiłam ci tyle razy, że gdy twej matce jest gorzej, jestem zawsze gotowa czuwać przy niej na zmianę z tobą...

Rena uśmiechnęła się z przymusem:

— Dziękuję ci, Kazieńko. To naprawdę zbyteczne, dam sobie radę...

— Jak wolisz! — odparła brunetka urażona, zdarzało się bowiem nie po raz pierwszy, że ofiarowała się Renie z tą propozycją, za każdym jednak razem dziewczyna uchylała się, oświadczając, że nie chce męczyć koleżanki.

Zdarzało się, iż Rena dość często przychodziła rano ze śladami niewyspania i zmęczenia. Ilekroć wówczas pytano ją o powód złego wyglądu, odpowiadała niezmiennie, że czuwała podczas nocy przy chorej matce. Kazia, mimo, że lubiła Renę i dużo z nią przestawała, należała do tych, które niezbyt dowierzały temu tłumaczeniu dziewczyny i wietrzyły w tym jakąś tajemnicę. Dlaczego bowiem Rena, mimo że znała ją bliżej już od roku, nigdy nie zapraszała Kazi do siebie do domu, przeciwnie uchylała wszelkie jej starania w tym kierunku? Kazia domyślała się, że w życiu Reny istnieje jakaś tajemnica. Mówiła nawet o tym z Irką z drugiego piętra magazynu, która poinformowała ją, iż dla niej nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ta historia o czuwaniu przy łóżku chorej matki, to *bujda na resorach*, że ona już od dawna przeczuwała, że Rena jest *faryzeusz*, udaje w magazynie świętoszka i niedotykalską, a w rzeczywistości *puszcza się* cichcem i bez rozgłosu. Stąd właśnie to zmęczenie w rysach jej twarzy, stąd właśnie podkrążone oczy. Ona, Irka, zna się na tych typach, może jej Kazia wierzyć.

Kazia trochę wierzyła, trochę nie wierzyła, ale w każdym razie przyszło jej to na myśl, gdy Rena znowu tym razem podziękowała jej uprzejmie i zarazem dość chłodno za propozycję wyręczenia jej w pielęgnowaniu chorej.

Brunetka zmieniła temat rozmowy i spytała:

— Czy nie wiesz, kto jest ten twój wielbiciel, który wklepał cię w tę przykrość?

Rena wzruszyła ramionami:

— Skądże mogę wiedzieć. Nie przedstawił mi się...

— Jeszcze nie? Śmieszny typ. Chodzi tu od szeregu dni i za każdym razem kupuje rękawiczki. Jeżeli tak dłużej potrwa, jeżeli twój adorator nadal będzie taki nieśmiały i mało przedsiębiorczy, to obawiam się, że prędzej założy sobie sklep z rękawiczkami, nim cię pozna...

Błądą twarzyczkę Reny okraślił lekki rumieniec.

— Pleciesz, Kaziu. Wiesz, że nie uprawiam znajomości, które zaczynają się w ten sposób.

— I głupio robisz. Pomyśl, jak my możemy inaczej w ogóle kogoś poznać.

Kazia ruszyła ramionami i zapakowała sobie usta nowym kęsem bułki z szynką. Żuła przez chwilę z miną zadowoloną z całego świata, po czym znowu ruszyła ramionami.

— Chciałam powiedzieć naturalnie *kogoś lepszego* — rzuciła tonem wytłumaczenia. — Ale tak szczerze mówiąc, co ten młody człowiek mówił wczoraj do ciebie?

Rena z niechęcią uniosła w górę ramiona:

— Cóż mógł mówić. Mało to razy słyszałam, to z tych, to z innych ust. Chciał się ze mną spotkać.



— Naturalnie odmówiłaś? Jakbym zgadła. Ja tam nie jestem taka surowa, gdy chłopiec mi się podoba.

— Nie zdążyłam mu nawet odpowiedzieć, gdy Szalski wpadł na mnie — odparła wymijająco Rena.

Kazia spojrzała na nią filuternie przymrużając oko:

— Mam wrażenie Reniu, że on ci się bardzo podoba?

Rena pochyliła głowę.

— Owszem — rzekła wreszcie z pewnym przymusem, nie podnosząc głowy. — Jest wcale przystojny i miły.

— Widziałam go kilka razy. Może się podobać...

— Przypuszczam, że nie zobaczymy się już więcej.

Ładna brunetka zmięła z szelestem papier, w który miała zawinięte śniadanie.

— A to dlaczego? — spytała.

Rena nie odpowiedziała, bowiem w tej samej chwili ukazała się chuda, tyczkowata postać kierowniczkini, która wycodziła:

— Panna Łaska do pana dyrektora Szalskiego!

Rumieniec znikł z policzków dziewczyny. Spodziewana chwila nadeszła. Miał się rozegrać epilog wczorajszego zajścia.

Dziewczyna podniosła rękę do czoła i mimo woli poprawiła włosy.

— Idę. Już idę.

I poszła wolno, ociągając się, jakby szła na stracenie, pod gradem współczujących i złośliwych spojrzeń, które ją odprowadzały. Udała się na najwyższe piętro magazynu, gdzie mieściły się biura Domu Towarowego, gdzie wśród korespondentek i sekretarek, wśród kierowników działów zakupów i sprzedaży, wśród buchalterów pochylonych nad wielkimi księgami królował właściciel instytucji – pan dyrektor Szalski.

Łuki pięknych brwi dziewczyny zbiegły się nad oczami, które patrzyły teraz tępo przed siebie.

Mój Boże! A więc zacznie się na nowo. Zacznie się na nowo to, czego tak bardzo się obawiała, przed czym drżała nieustannie, chociaż do obaw tych nie śmiała się przyznać sama przed sobą. Zacznie się to, co skończyło się zaledwie rok temu. Szalski wyrzuci ją na pewno z pracy i znowu stanie przed nią widmo bezrobocia.

Rena budzi się z zamyślenia. Jest na najwyższym piętrze. Podnosi głowę i wzrok jej spotyka się z natrętnym, jakoby trochę szyderczym wzrokiem woźnego Stanisława, który siedzi na krzeselku przy wejściu do mrocznego korytarza, który wiedzie do biur i do gabinetu Szalskiego. Rena czuje, jak spojrzenie

małych oczek woźnego taksuje ją, jak wędruje od włosów przez twarz, aż do nóg, aż do tanich, ale zgrabnych pantofelków. Wstrętny typ! Zapewne wie, że idzie tu, by otrzymać zwolnienie z pracy.

Stanisław wie zawsze bardzo dużo. Mówią o nim, że jest zaufanym dyrektora; że Szalski używa go do posług poufnych i wymagających dyskrecji. Nazywają go po prostu szpiegiem.

Gdy Rena podchodzi do niego, woźny podnosi się z krzesła i ku jej zdziwieniu kłania się jej grzecznie.

— Pani do pana dyrektora?...

— Tak. Zostałam wezwana.

— Będzie pani musiała na chwilę spocząć i poczekać. Pan dyrektor jest chwilowo zajęty.

Szalski istotnie musiał być zajęty, bowiem nad drzwiami jego gabinetu żarzyła się mała czerwona lampka.

Nareszcie otwierają się drzwi gabinetu dyrektora Szalskiego i wybiega z nich zaabsorbowany buchalter z grubą księgą pod pachą. Zaraz potem słychać głos Szalskiego.

— Stanisławie, czy jest tam panna Łaska?

Stanisław już jest na posterunku, przy drzwiach gabinetu dyrektora.

— Jest, panie dyrektorze.

Ekspedientka wchodzi do gabinetu. Nie jest tu po raz pierwszy. Tu rozmawiała z dyrektorem przed przyjściem do pracy. Szalski miał bowiem zwyczaj załatwiania wszystkiego sam, wtrącania się w najdrobniejsze szczegóły i nieufnego odnoszenia się do wszystkich posunięć swych najbliższych nawet współpracowników. Tak też nieufnie traktował decyzję kierownika działu personalnego i każdą z pracowniczek musiał poznać i zobaczyć przed przyjęciem do pracy.

Szalski siedział za wielkim biurkiem, na którym panował idealny ład i porządek.

Gdy Rena weszła, Szalski szukał czegoś w papierach ułożonych na biurku. Nie patrząc na nią, odpowiedział krótkim *dzień dobry* na jej powitanie i ruchem ręki wskazał jej miejsce.

Usiadła i znowu czekała, obserwując go nieznacznie z odcieniem ciekawości zmieszanej z niepokojem. Miał twarz o rysach regularnych, mógł nawet uchodzić za przystojnego mężczyznę, gdyby nie to, że w twarzy jego było coś, co odpychało, co budziło nieufność, co nakazywało mieć się na baczności przed tym człowiekiem. W oczach osadzonych dość głęboko, w ciężkich powiekach, w kwadratowej brodzie i w założeniu pełnych, namiętych ust było coś, co można by nazwać ostrzeżeniem, co sprawiało, że w jego urodzie starszego, bardzo dbałego o siebie, zawsze gładko ogolonego pana, zawsze bez zarzutu ubranego, było coś niemilego, nakazującego rezerwę.

Szalski przerwał wreszcie grzebanie w papierach, podniósł swą ciężką głowę i spojrzał na Renę.

— Przypuszczam, że pani wie, po co ją tu wezwałem.

— Domyślam się, panie dyrektorze.

— To dobrze. To ułatwi naszą rozmowę...

Rena z trudem powstrzymywała swe zdenerwowanie.

Dyrektor przerwał na chwilę i z szuflady biurka wyjął jakąś niewielką karteczkę.

— Zebrałem tu trochę informacji o pani — rzekł wolno.

Nie odpowiedziała. Uświadomiła sobie, że Szalski może wiedzieć to, z czym przed wszystkimi ukrywała się starannie, o czym nie chciała, by ktokolwiek wiedział. Opuściła na oczy powieki o długich rzęsach. Pod powiekami uczuła cisnące się łzy.

Szalski jednak zdawał się nie dostrzegać, że powiedzeniem swym zrobił dziewczynie przykrość. Pozornie nie patrzył na nią, w rzeczywistości jednak ponad małą kartką, którą trzymał w ręce, spojrzenie jego obejmowało chciwie postać siedzącej przed nim dziewczyny, spoczywało na gęstwinie jej wspaniałych włosów koloru starej miedzi, ześlizgiwało się po twarzy, notowało w pamięci linię jej nosa i ust, opierało się na pięknie toczonych szyi.

Rena nie widziała tego spojrzenia, natrętnego i zuchwałego, odczuła je jednak i poruszyła się.

— Wczoraj, przechodząc przez magazyn — odezwał się Szalski — zauważyłem, że nie bardzo mogła pani dać sobie radę z obsługą klienteli. Czy jest pani przeciążona pracą?

Podniosła głowę i spojrzała na niego zdziwiona. Spodziewała się wypowiedzianej ostrym tonem nagany, zakończonej wiadomością, iż w terminie ustawowym może poszukać sobie innej pracy, tymczasem jednak...

Tymczasem Szalski pytał ją, czy nie jest przemęczona. Co mu się stało?

Dyrektor patrzył na nią przenikliwie, po czym powtórzył pytanie, jakby dając jej do

zrozumienia, że się nie przesłyszała.

— Czy jest pani przeciążona pracą?

— Ależ nie, panie dyrektorze.

— Czy ten młody człowiek, który z panią rozmawiał w czasie kupna, to pani znajomy?

— Nie, panie dyrektorze.

Pani ma dosyć nieszczęśliwe warunki domowe...

— Panie dyrektorze...

— Rozumiem. Wolałaby pani nie mówić o tym... To zresztą nie moja rzecz... Ważniejsze jest, że według relacji działu personalnego w ciągu ostatniego miesiąca spóźniła się pani trzy razy do pracy. Pani wie, że to może być dostatecznym powodem do zwolnienia pracownicy, tym bardziej, że sam widziałem, iż prowadzi pani z klientami rozmowy, rozmowy o sprawach niedotyczących kupna. Zna pani regulamin pracy i wiadomo pani, że to jest najsurowiej zabronione.

Rena pochyliła głowę:

— Wiem o tym, panie dyrektorze.

— No więc... Pani mieszka daleko? Na przedmieściu?

— Tak.

— Trzeba się tak urządzić, by przychodzić na czas do pracy. Ja tu nikogo nie szykanuję, ale porządek musi być...

— Rozumiem, panie dyrektorze.

Szalski oparł się rękami o biurko, wcisnął wygodnie w fotel i spojrzał znowu na Renę.

— Powinienem udzielić pani dymisji. Mogła się pani poinformować chociażby u swych starszych koleżanek, że jestem równie surowy, jak sprawiedliwy.

— Stało się — pomyślała Rena.

— Tym razem jednak — usłyszała dalej ku swemu niedowierzaniu słowa Szalskiego — ponieważ wiem o pani więcej, niż pani przypuszcza, ponieważ znam mniej więcej warunki, w jakich się pani znajduje, postanowiłem nie czynić tego.

Ekspedientka poruszyła się zdziwiona. Uczuła, jakby kamień spadł jej z serca. Uczucie nagłej ulgi, które przeniknęło ją całą.

Szalski dostrzegł to i na wargach jego ukazał się uśmiech.

— Nie mogę czynić dla nikogo wyjątków — ciągnął dalej — toteż otrzyma pani list z naganą, podobnie jak wszystkie pracownice, niech pani jednak nic sobie z tego nie robi. To tylko prosta formalność...

— Dziękuję, panie dyrektorze.

— Niech pani mi nie dziękuje... A co do tego incydentu, wczoraj wieczorem, to zupełnie się nie dziwię, że znajdują się klienci, którzy chcieliby poznać bliżej, tak piękną dziewczynę jak pani...

Na twarzy Reny ukazał się znowu rumieniec.

— Nie mogę więc mieć o to pretensji do pani, a raczej do pani urody — uśmiechnął się znowu, mówiąc szybko, by uprzedzić jej odpowiedź. — Doprawdy, dziwię się, gdy na panią patrzę, że z pani urodą zabija się pani pracą w magazynie na marnej, śmiesznie niskiej pensji ekspedientki.

Powieki Reny zadrgały. Ona nieraz słyszała to zdanie, które właśnie wypowiedział Szalski. Rena słyszała nieraz tę obłudną litość, za którą kryła się haniebna propozycja. Uczuła, iż wdzięczność, jaką jeszcze przed chwilą miała dla Szalskiego, naraz znika i ustępuje miejsca chłodnej rezerwie. Życie nauczyło ją, by być podejrzliwą i nieufną.

O Szalskim różne rzeczy szeptano sobie w magazynie. Słyszała czasem nazwiska

ekspedientek, które cieszyły się mniej lub bardziej przelotnymi względami szefa, ponieważ jednak miała zwyczaj odrabiać swe godziny w magazynie, nie interesując się zupełnie jego wewnętrznym życiem – małą na to zwracała uwagę i nie siła się nawet przekonywać, czy jest w tym chociażby odrobina prawdy.

Jego zaś zwykłą metodą było rzucanie pewnych słów i zdań, potem zaś zacieranie ich wrażenia, toteż natychmiast zapytał, skoro dostrzegł zdziwienie w jej oczach:

— Jaką pani ma pensję?...

— Sto pięćdziesiąt złotych miesięcznie... Bez potrąceń...

— To mało — zdecydował. — Postaram się podwyższyć pani pensję... Nie musi pani naturalnie nikomu mówić o tym... Czasy są ciężkie i nie mogę czynić tego dla wszystkich.

— Bardzo dziękuję, panie dyrektorze — odparła oszołomiona.

Szalski wstał, dając tym znak, że rozmowę uważa za skończoną.

— Niech pani teraz wróci do pracy, a gdyby pani potrzebowała czegoś, proszę zwracać się wprost do mnie.. Stanisław będzie miał odpowiednie instrukcje.

Wbrew swemu zwyczajowi wyciągnął do niej na pożegnanie dużą rękę o krótko obciętych paznokciach. Podała mu swoją i mała jej dłoń, ciepła i o gładkiej skórcie, zginęła w jego wielkiej dłoni.

Wracała do magazynu z gabinetu Szalskiego zupełnie oszołomiona odbytą przed chwilą rozmową. Nie tylko nie otrzymała wymówienia, lecz nadto Szalski dał jej obietnicę podwyżki pensji. Widocznie Szalski nie był taki zły, jak mówiono.

W dziale, w którym pracowała, czekała rozgorączkowana Kazia.

— No, ale nie było cię długo! — powitała ją. — I co? Mówże szybko. Dostałaś dymisję.

— Nie.

— O jej! Cedzisz słowa, jak wielka hrabina. Nie dostałaś dymisji? Masz szczęście. Jakże to było?

— Mam dostać naganę na piśmie — odparła Rena, którą drażniła ciekawość i natarczywość Kazi.

— Naganę? — powtórzyła Kazia. — Tylko naganę? Co jeszcze mówił? Bardzo się irytował?

— Nie. Powiedział, że da nam pomoc w godzinach wielkiego ruchu, skoro nie możemy dać sobie rady.

Kazia spojrzała na koleżankę z odcieniem zazdrości.

— Masz doprawdy szczęście. Każda inna byłaby wyleciała z budy... Co to znaczy podobać się...

— Podobać się?...

Twarz Reny wyrażała zdziwienie. Kazia spojrzała na nią i wzruszyła ramionami.

Doprawdy, nieraz zastanawiała się nad tym, czy Rena jest pod pewnymi względami taka głupia, czy taka sprytna.

— Naprawdę nie wiesz i nie rozumiesz? Ty chyba nie masz w sobie za grosz kobiecej intuicji. Więc naprawdę nie masz o tym pojęcia, że podobasz się Szalskiemu i że jesteś u niego w łaskach, skoro pozostajesz w pracy? Wiesz przecież, że u nas się nie liczą z niczym i gdy która z nas nie odpowiada warunkom, a chociażby kaprysom pana dyrektora, to wylatuje się bezapelacyjnie, chociażby się nie wiem jak prosiło i błagało. Jeżeli Szalski cię zostawił, ty naiwne stworzenie, to tylko dlatego, że mu się podobasz i że jesteś ładna. Wszystkim się podobasz, wszyscy ci nadskakują. Ot, chociażby ten młody człowiek, który kupuje tu stale rękawiczki.

Wiem, że brzydka nie jestem, a to, że podobam się Szalskiemu, czy też komu innemu,

jest mi zupełnie obojętne...

— Mnie by to nie było obojętne. I mnie, i zapewne wielu innym, a być może i ty wreszcie dojdiesz do przekonania, że i tobie to obojętne nie jest.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Kaziu?...

Dziewczyna zrobiła niechętny ruch ręką.

— Ach, moja droga... Czy ty naprawdę nie znasz życia? Przecież każda z nas byłaby zadowolona i szczęśliwa, że taki bogacz, jak Szalski, raczył zwrócić na nią uwagę, a ty wcale nie zdajesz się być ucieszona tym odkryciem. Dziwna z ciebie dziewczyna.

Rena nic na to nie odpowiedziała.

Przyszło popołudnie, liczba kupujących zaczynała rósć szybko, aż wieczorem magazyn stał się rojny i gwarny i trzeba było zapomnieć o wszystkim, poświęcając się wyłącznie gorliwej obsłudze klienteli.

Rena była zmęczona pracą i wrażeniami dnia, toteż z radością powitała sygnał, dający znać, że nadeszła upragniona godzina siódma, że magazyn zamyka swe podwoje.

Kazia, która, jak zwykle, czekała na to, by jak najprędzej zepchnąć nudne godziny pracy, pierwsza wybiegła z działu. Spotkały się w garderobie, umówiły się bowiem, że wyjdą razem. Był piękny wiosenny wieczór i należało przejść się trochę przed powrotem do domu, zobaczyć, czy kwitną już kasztany.

— Cóż, nie był? — rzuciła brunetka przez ramię Renie, z ogromną uwagą nakładając *twarzowo* kapelusz.

— Kto?...

— Ten twój wielbiciel od rękawiczek.

Odpowiedziała Kazi niechętnym tonem:

— Widziałas, że go nie było. Mówiłam ci przecież, że nie przyjdzie.

Kazia jednak nie tak prędko rezygnowała ze swego zdania.

— Jeżeli nie przyszedł dziś, to przyjdzie jutro. Bądź spokojna.

### ROZDZIAŁ III

Przed Domem Towarowym podobnie jak co dzień w porze zamknięcia magazynu, kręcił się cały rój mężczyzn. Byli to mężowie wychodzący po żony, narzeczeni czekający na narzeczone i przyjaciele oczekujący swych przyjaciółek wychodzących z pracy.

Był też w owej liczbie pewien procent mężczyzn, którzy przychodzili pod magazyn w nadziei zrobienia łatwej znajomości z tą, czy inną ekspedientką, wiadomo było bowiem powszechnie, że w Domu Towarowym Szalskiego zatrudnione były tylko ładne dziewczęta.

Rena wraz z Kazią wyszły szybko z magazynu i nie zwracając uwagi na natarczywe spojrzenia, przeszły na drugą stronę ulicy. Na nie nikt nie czekał. Niedawno jeszcze po Kazię wychodził przystojny blondyn, którego nazywała *narzeczonym*; pewnego dnia jednak znikł on, by nie pokazywać się więcej.

— W którą stronę idziemy?

— Pójdźmy w Aleje. Czy dużo masz czasu?

— Jestem zmęczona i chciałabym wcześniej wrócić do domu.

Rena urwała. Usłyszała za sobą szybkie kroki, jak gdyby ktoś chciał dogonić idące szybko dziewczęta, po czym znajomy głos odezwał się tuż koło niej:

— Dobry wieczór, paniom.

Przystanęły. Rena uczuła naraz, że ogarnia ją wzruszenie, z którego nie mogła sobie zdać sprawy.

Przed nimi stał z odkrytą głową, kłaniając się, nieco zmieszany – jej znajomy z magazynu i przyczyna dla której była wzywana do Szalskiego.

Młody człowiek pochylił głowę raz jeszcze i ozwał się znowu głosem melodyjnym, drgającym:

— Biegły panie tak prędko, że nie mogłem ich dogonić. Bardzo przepraszam, czy nie przeszkadzam?

Zanim Rena zdobyła się na odpowiedź, Kazia, która od pierwszej chwili zrozumiała, co się stało, i która nigdy w takich wypadkach nie traciła głowy, odpowiedziała wesoło:

— Nie, nie przeszkadza nam pan. Właśnie wracamy z *budy* do domu...

— Panie pozwolą, że się przedstawię i wytłumaczę powody tej zaczepki — młody człowiek był najwyraźniej zmieszany. — Jestem Janusz Garda.

Wymieniono uścisk rąk. Dziewczęta niewyraźnie wymieniły swe nazwiska i znajomość była zawarta.

— Panie pozwolą sobie towarzyszyć.

— Jeżeli towarzystwo nasze będzie panu miłe — ozwała się Rena, która ochłonęła dopiero teraz. Unikała zawsze znajomości ulicznych, nie wiedziała jednak, co ma o tej sądzie.

Młody człowiek, jakby odgadł jej myśli.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł, idąc obok niej — że w tej formie i w ten sposób przedstawiam się paniom. Nie jest to forma właściwa, ale innej nie miałem do wyboru... Chciałem po prostu przeprosić panią, że wczoraj zachowaniem moim naraziłem panią na przykrości ze strony jej przełożonych...

Rena uśmiechnęła się.

— O, nie. Nic się nie stało. Skończyło się na upomnieniu.

— Bardzo się cieszę. Czyniłem sobie wyrzuty, że stałem się przyczyną pani przykrości...

Rena podniosła głowę i popatrzyła na idącego obok niej Janusza. Wieczór był gorący i parny, zapewne też dlatego niósł kapelusz w rękę. Wyglądał bardzo młodo. Miał łagodny, miękki profil i długie blond włosy w tył zaczesane, których niesforne kosmyki raz po raz opadały mu na czoło. W wyrazie jego twarzy mieszała się młodzieńcza marzycielskość z powagą dojrzałego człowieka. Był przystojny i podobał się jej bardzo.

Kazia uznała, że stanowczo milczała zbyt długo.

— Pan nawet nie wie — odezwała się — co ja dziś miałam z Reną.

— Co takiego?

— Kaziu, nie palnij tylko jakiego głupstwa — uprzedziła ją Rena.

— Cóż znowu. Ja nigdy głupstw nie gadam — odparła brunetka z tak głębokim przekonaniem, że młody człowiek nie mógł powstrzymać się od śmiechu. — Chciałam tylko powiedzieć, że Rena nie mogła sobie dać dziś rady i doczekać się pana.

— Kaziu!

Piękna brunetka zaapelowała o obronę do Janusza.

— No, niech pan powie, czy powiedziałam głupstwo?

— Nie! — odparł, śmiejąc się w dalszym ciągu i ukazując białe, zdrowe zęby. — Nie powiedziała pani głupstwa. Przeciwnie rzecz dla mnie bardzo miłą.

Po czym pochylił się nieco ku zmieszanej Renie.

— Czy naprawdę czekała pani na mnie?

Obróciła twarz ku niemu i oczy ich spotkały się dziś po raz pierwszy.

— Ciekawa byłam, czy będzie pan kompletował nadal swój zbiór rękawiczek.

— Reno, nie wykręcaj się.

— Kaziu, daj już spokój! Porachujemy się później.

— Cóż robić, gdy ujrzałem panią po raz pierwszy, chciałem ujrzyć po raz drugi i dziesiąty. Jediną radą na to było przychodzić do działu, w którym pani pracuje, i upozorować to kupnem rękawiczek. Mój zapas rękawiczek zyskał na tym, sądzę jednak, że ja zyskałem więcej, poznając panią.

— Pochlebca z pana...

— Czy panie mieszkają w okolicy Łazienek? — zapytał, zmieniając temat rozmowy.

— Nie! — zaprzeczyła. — Mieszkam we wręcz przeciwnej stronie... Idziemy tylko w stronę Łazienek, by przejść się trochę. Kazia uparła się zobaczyć, czy kwitną już kasztany.

Kasztany istotnie zakwitły. Aleje podobne były o tej porze wielkiemu mrowisku. Jeden z pierwszych gorących wieczorów wiosennych wywabił na ulicę tłumy.

Doszli do placu na Rozdrożu. Kazia chciała iść jeszcze dalej, jednakże Rena objawiła chęć powrotu, jak mówiła bowiem, chciała być wcześniej w domu.

Janusz Garda wystąpił również z projektem.

— Nie jest jeszcze tak późno — rzekł, patrząc na mały, kryty zegarek, umieszczony na przegubie ręki. — Dochodzi dopiero ósma. Jeżeli panie nie miałyby nic przeciwko temu i jeżeli panna Rena mogłaby nieco odroczyć swój powrót do domu – zaproponowałbym, byśmy poszli gdzie do kawiarni, posłuchać muzyki.

Rena potrząsnęła głową.

— Nie! Nie! Wolę raczej wrócić do domu — odparła, nie zważając na to, że Kazia trąciła ją nieznacznie w ramię.

Propozycja mimo wszystko była ponętna. Rena bodaj już nie pamiętała, kiedy ostatnio

była w kawiarni.

W rozgwarze kawiarni i w jej specyficznej atmosferze było więc dla Reny coś specjalnie ponętne i niecodziennie, coś, co zachowało jeszcze ciągle urok nowości. Dzień jej zamykał się normalnie na jeździe tramwajem z domu do magazynu i na powrocie wieczór z magazynu do domu. W południe, korzystając z przerwy na obiad, który Rena jadła w kantynie magazynu prowadzonej dla pracownic, wychodziło się zmienić książkę w pobliskiej wypożyczalni lub też na krótki spacer. Nie więcej, jak dwa razy w miesiącu – po wypłatach – w programie było kino. I to było wszystko.

Poszłaby bardzo chętnie do kawiarni, jak to proponował jej nowy znajomy, miała jednak skrupuły.

Kazia nie wiedziała i nie rozumiała w ogóle nad czym tu trzeba się namyślać. To było bardzo proste. Ten młody człowiek proponował spędzenie miłej godziny w kawiarni, sam był również miły i sympatyczny – zapewne także zamożny – dlaczego wobec tego nie przyjąć jego propozycji, nie zacieśnić nowej znajomości? Życie w ogóle polega na tym, iż młodszy sympatyczni i zamożni panowie robią młodym kobietom te i tym podobne miłe propozycje, które się przyjmuje, bo życie jest krótkie i szare, trzeba więc skwapliwie chwycić wszelkie okazje ubarwienia go.

To była jej życiowa teoria – równie prymitywna jak praktyczna. Przy tym młody człowiek, którego tak zainteresowała Rena, podobał jej się i zaciekał ją. Ostatecznie po stracie swego ostatniego „narzeczonego”, była w poszukiwaniu nowego „obiekta”. Kto wie, czy właśnie ten młody człowiek...

Być może uda się jej zwrócić na siebie uwagę nowego znajomego.

Widząc, że Rena waha się i obawiając się, że da ponownie odpowiedź odmowną, Kazia uprzedziła jej decyzję.

— Jeżeli nie na długo, to sądzę, Reno, że mogłybyśmy pójść — odezwała się, rzucając jednocześnie porozumiewawcze spojrzenie Januszowi...

Rena skapitulowała. Od pierwszej zresztą chwili miała wielką ochotę na to bardziej urozmaicone spędzenie wieczoru.

— A więc dobrze, idziemy.

Pozostawało jeszcze do rozstrzygnięcia, do jakiego lokalu się udać.

Co do tego zapatrywania były różne i padły nazwy kilku kawiarni, z których znowu Kazia, zgodnie z propozycją Janusza, wybrała „Europę”.

Kawiarnia *Europejska* była w jej mniemaniu ogniskiem kultury, dobrego smaku i wykwintu, miejscem, gdzie spotykał się tylko *wielki świat*, poza którego ramami pozostawała ona, biedna ekspedientka z magazynu *Artur Szalski i S-ka*.

Renie w gruncie rzeczy było wszystko jedno. Od chwili gdy Janusz przystąpił do nich, kiedy wyszły z magazynu i przedstawił im się, poczuła jakąś wielką ulgę, przestał ją nurtować ów nieokreślony niepokój, jakiego przez dzień cały nie mogła się pozbyć.

Było jej po prostu dobrze i chociaż nie знаła prawie wcale Janusza, zdawała sobie doskonale sprawę, że jest jej dobrze dlatego, ponieważ ten człowiek, którego widziała dotąd kilka razy w życiu, z którym kilka zdawkowych zdań zaledwie zamieniła – jest przy niej, idzie koło niej, rozmawia z nią i uśmiecha się do niej. Był to stan psychicznie tak obcy Renie, tak nieznaną jej i nową, że ogarniał ją znowu niepokój, ale niepokój inny, w którym był jakiś urok szczególny, sprawiający, że oczy jej podnosiły się raz po raz ku twarzy idącego obok niej mężczyzny, a serce jej uderzało przyspieszonym tętnem.

Z placu na Rozdrożu do kawiarni Hotelu Europejskiego było dość daleko, toteż Garda chciał przywołać taksówkę, dziewczęta jednak sprzeciwiły się.



Wieczór był tak piękny, że szkoda było po prostu wyrzekać się drogi przez gwarne i pełne tłumów Aleje, przez szpaler kwitnących kasztanów.

Młody człowiek nie miał nic przeciw temu życzeniu dziewcząt.

Gdy dochodzili do placu Trzech Krzyży, ujrzeni biegnącą w stronę Alej czeredę chłopców drących się na całe gardło.

Pod pachami dzierżyli oni całe paki świeżo zadrukowanych płacht papieru.

— Nadzwyczajne wyda... —

— Nadzwyczajny dodaa... Skazanie Szeligoo... —

— Szeligowa skaza... —

Krzyczeli, przeciągając wyrazy, głośno aż do utraty tchu.

Na ruchliwej twarzy Janusza pojawiło się zainteresowanie.

— Wybaczą panie na chwilę... —

Odszedł o kilka kroków, gdzie tłum, zgromadzony wokół zdyszanego i szybko inkasującego dziesięciogroszówki kolportera, dosłownie wyrwał nadzwyczajne wydanie pisma.

Po chwili wrócił z nadzwyczajnym dodatkiem, mokrym jeszcze od farby drukarskiej.

— Dwanaście lat! — rzekł, przebiegając wzrokiem tytuł, który wystarczał za całą treść dodatku. — Mój Boże, obawiam się, że stało się bardzo źle... —

— Czyżby pan sądził, że Szeligowa jest niewinna? — zapytała Rena.

To samo pytanie od szeregu tygodni trwania głośnego procesu zadawała sobie Warszawa, a wraz ze stolicą cała Polska. Winna czy niewinna?

Był to największy i najsensacyjniejszy proces poszlakowy, jaki znało polskie sądownictwo. Przeciw oskarżonej nie było żadnego dowodu, były jedynie poszlaki, łańcuch poszlak w najwyższym stopniu obciążających Szeligową. Od chwili wykrycia zbrodni do chwili wyroku zadawano sobie pytanie, czy oskarżona jest winna, czy też jest ofiarą przedziwnego splotu nieprzyjaznych dla niej okoliczności.

Tego właśnie wieczoru oczekiwany był i zapadł wyrok w sprawie Szeligowej. Wyrok – mimo wszystko – skazujący.

— Nie wiem, czy jest niewinna — odparł Janusz Renie, przebiegając równocześnie wzrokiem treść nadzwyczajnego dodatku. — Sądzę tylko, że na podstawie tego materiału dowodowego nie miano prawa wydawać takiego wyroku. I pomyśleć, że jeżeli ta kobieta jest niewinna... Dwanaście lat!... —

Uśmiechnął się i dodał innym już zupełnie tonem, chowając dodatek do kieszeni płaszcza.

— *Wieczór* obsypał mego ojca całą furą komplementów, nazywając jego przemówienie oskarżycielskie najlepszym, jakie słyszała Warszawa.

Rena zwróciła się żywo ku swemu nowemu znajomemu.

Jak się to najczęściej zdarza, w czasie przedstawiania usłyszała zaledwie fragment nazwiska Janusza i nie miała właściwie pojęcia, jak nazywa się towarzysz ich spaceru, z którym szły obecnie do *Europy*.

Dopiero teraz słowa jego wyjaśniły jej wszystko.

W procesie Szeligowej oskarżał znany dobrze całej Warszawie i niezmiernie popularny prokurator Garda.

— Ach! — wykrzyknęła dziewczyna, nie zdając sobie sprawy, że może popełniła nietakt. — Pan jest synem prokuratora Gardy.

Uśmiechnął się znowu,

— Istotnie. Pani nie dosłyszała mego nazwiska... Janusz Garda. To ten proces sprawił, że nie byłem dziś po południu w magazynie, by przeprosić panią za wczorajszą przykrość i... kupić nową parę rękawiczek lub krawat. Musiałem przecież wysłuchać przemówienia ojca, tym

bardziej, że przygotowuję się do podobnego, choć tak bardzo różnego zawodu.

A widząc pytające spojrzenie dziewczyny, dodał wyjaśniająco:

— Chcę poświęcić się adwokaturze. Jestem aplikantem adwokackim.

— Chce pan być obrońcą?

— Tak — odparł wesoło — naturalnie sławnym i głośnym obrońcą.

Było to powiedziane tonem, który rozśmieszył dziewczęta. Rena interesowała się sprawą Szeligowej, zaczęła więc wypytywać Janusza o rozmaite niejasne lub nieznanne jej szczegóły. Janusz opowiadał obszernie i żywo, zadowolony, że znalazł tak chętną i pilną słuchaczkę.

Gdy przechodził przez jezdnię, ujął Renę pod rękę. Uczuł ciepło jej ramienia i zrozumiał, że jest mu bardzo dobrze z tą dopiero niedawno poznaną dziewczyną, która tak ładnie słuchała jego słów i raz po raz podnosiła na niego swe pyszne oczy.

Nie zauważyli, jak i kiedy, rozmawiając w ten sposób doszli do kawiarni Hotelu Europejskiego.

Właśnie mieli wejść do hallu kawiarni, gdy wyszedł z niego starszy, wysoki pan o wytwornej i nakazującej szacunek powierzchowności.

Szedł dość szybko, tak, że omal nie wpadł na Janusza, wchodzącego do kawiarni w towarzystwie dwu dziewcząt.

Objął poważnym wzrokiem całą trójkę i w oczach jego pojawiło się jakby zdumienie.

Trwało to jednak tak krótką chwilę, że zauważył to tylko Janusz, po czym ów starszy pan, wyprzedzając młodego Gardę, podniósł rękę do kapelusza i wymijając ich, ukłonił się uprzejmie.

Kazia nigdy nie odznaczała się powściągliwością, natomiast była niepohamowanie ciekawa, to też zapytała natychmiast, gdy tylko znaleźli się w hallu kawiarni:

— Kto to był ten pan, który się nam kłaniał?

Janusz nieco zdetonowany spotkaniem, odpowiedział:

— To właśnie mój ojciec... Chodzi zazwyczaj dość rzadko do kawiarni, tym razem jednak musiał być zmęczony i po sprawie wstąpił na kawę.

— Bardzo przystojny i miły! — z entuzjazmem przyznała Kazia, zadowolona, że ciekawość jej została zaspokojona.

W kawiarni było rojno i gwarno. Z trudnością znaleźli wolny stolik.

Rena chętnie i szybko poddała się nastrojowi kawiarni. Była tak ożywiona, że aż lekkie rumieńce wystąpiły jej na policzki. Janusz raz jeszcze uczynił w duchu uwagę, że była prześliczna.

Mówili dużo i szybko przeskakiwali z tematu na temat. Najwięcej oczywiście o magazynie, o stosunkach parujących w „budzie”, o pracy Reny...

Garda okazał się nieocenionym towarzyszem. Był miły i dowcipny, posiadał niezaprzeczonego dar lekkiej i niepozabawionej wdzięku konwersacji.

W miarę, jak rozwijała się rozmowa, Rena i Janusz stawali się coraz bardziej pochłonięci sobą. Kazia z początku biorąca udział w rozmowie, zamilkła teraz i spochmurniała, mimo że Janusz starał się, by rozmowa była ogólna. Im bardziej ożywiona i zadowolona była Rena, tym bardziej Kazia stawała się sztywna i milcząca.

Obserwowała doskonale zainteresowanie, z jakim Garda odnosił się do jej przyjaciółki i była po prostu zazdrosna.

Z trudem opanowywała gniew, jaki ją ogarniał. Wcisnęła się w róg kanapki pokrytej niebieskim pluszem i siedziała z zaciśniętymi wargami, rzucając od czasu do czasu jakieś zdanie.

Tamci byli jednak tak zajęci sobą, że nie zwrócili nawet większej uwagi na nagły niehumor Kazi.

Nigdy Renie nie zbiegł czas prędzej, jak te dwie godziny, spędzone w kawiarni.

Minęła już jednak dziesiąta i trzeba było wracać.

Rena mieszkała dość daleko od śródmieścia, a przy tym wołała tak wyjść z kawiarni, by nie trzeba było płacić dozorczy domu.

Zawsze był to wydatek, a należało liczyć się z każdym groszem, od najbliższej wypłaty dzielił ją bowiem jeszcze tydzień.

Znaleźli się znowu przed kawiarnią.

Janusz zaproponował taksówkę. Zgodziła się chętnie. Ustalili, że najpierw Garda wraz z Kazią odwiozą Renę, by było prędej, potem zaś sam już Janusz odwiezie Kazię, która mieszkała w zupełnie przeciwnym punkcie miasta.

Janusz nie był z tego bardzo zadowolony. Wolałby odwieźć dziewczęta w odwrotnym porządku i pozostać przez chwilę z samą Reną, ale nie było na to rady.

Przywołał więc taksówkę i wsiedli.

— Jaki adres mam podać? — zwrócił się do Reny.

Dziewczyna wymieniła nazwę placu, położonego bynajmniej nie w wykwintnej dzielnicy Warszawy.

— Niech szofer stanie tam, przy placu — rzekła — dalej już dojdę.

— Odwiozę panią do samego domu...

— Nie! Nie! Tak będzie mi najbardziej odpowiadało... — odparła Rena z pewną niecierpliwością w głosie.

— Jak pani sobie życzy...

Młody człowiek nie nalegał już więcej, lecz rzucił polecenie szoferowi. Taksówka ruszyła.

Wśród jadących zapanował jakby jakiś przymus. Pogodny nastrój wieczoru pierzchnął zaraz bez śladu.

Milczeli prawie przez całą jazdę. Dopiero gdy taksówka zatrzymała się na rogu opustoszałego placu, nie cieszącego się wcale dobrą opinią w stolicy, Janusz zwrócił się do Reny.

— Daleko ma pani stąd do domu? Te strony, o ile wiem, nie są zbyt bezpieczne..

— Niech się pan nie obawia, nic mi się nie stanie.

Uśmiechnęła się do niego, podając mu szybko rękę, jak gdyby chciała uniknąć dalszych pytań lub ponowienia propozycji odprowadzenia jej pod sam dom.

— Do widzenia panu! Do widzenia Kaziu!

— Jak i kiedy będę mógł zobaczyć panią?

— Doprawdy sama nie wiem... Jakoś się zobaczymy... Wie pan przecież, gdzie mnie szukać... Niech pan zaopiekuje się Kazią.

Rena raz jeszcze uścisnęła mu rękę, po czym obróciła się i zniknęła w wąskiej szyi pobliskiej ulicy, ulicy ponurej i mrocznej.

Janusz patrzył na Renę, dopóki sylwetka jej nie zginęła w mroku, po czym poruszył się nerwowo. Uczuł na sobie wzrok Kazi, która przypatrywała mu się z uśmiechem, w którym było trochę ironii.

— Jedziemy?...

— Jedziemy!

Podał kierowcy adres i oparł się wygodnie o poduszki taksówki. Przyjaciółka Reny mieszkała w zupełnie innej dzielnicy, mieli więc przed sobą dość duży kurs.

Kazia czekała. Wiedziała, że w czasie tej jazdy Janusz z całą pewnością będzie z nią mówił o Renie, że będzie chciał dowiedzieć się od niej jak najwięcej szczegółów o dziewczynie, która zwróciła jego uwagę. Była przecież przyjaciółką i powiernicą Reny, za taką musiała uchodzić w oczach Janusza.

Jakoż nie myliła się. Po krótkiej chwili milczenia Garda odezwał się swym melodyjnym głosem:

— Ma pani bardzo ładną i miłą koleżankę.

Brunetka uśmiechnęła się. Zmieniła pozycję, w której siedziała, zakładając wysoko nogę na nogę, odsłaniając w tym ruchu kształtny zarys łydki.

— O, tak — odparła z przekonaniem, pochylając się nieco w stronę Janusza — Rena jest bardzo ładna i ma ogromne powodzenie.

— Nie dziwię się temu — odparł Garda z przekonaniem.

Ta spokojna odpowiedź zdetonowała nieco Kazię. Po prostu niezręcznie było mówić coś jeszcze na ten temat, skoro młody człowiek zgilotynował go krótkim powiedzeniem. Kazi jednak zależało ogromnie na tym, by o owym *wielkim powodzeniu* Reny mówić jak najwięcej. Dlatego powtórzyła za Januszem.

— Tak! W tym nie ma istotnie nic dziwnego. Rena jest taka ładna i miła, że zawsze bywa po prostu – rozrywana. Nawet nasz dyrektor oczu z niej nie spuszcza i Rena cieszy się u niego specjalnymi łaskami.

Teraz ryba połknęła haczyk.

— Pan Szalski? — zapytał Janusz, obracając się nieco ku Kazi i spoglądając jej w oczy.

Kazia mówiła tonem spokojnym, informacyjnym, wpatrując się w Gardę swymi czarnymi oczami. W głosie jej była jakby odrobina niechęci.

— Właśnie Szalski. Rena zupełnie zawróciła mu w głowie. To starszy, bardzo poważny pan... Zupełny dżentelmen... To, co zdarzyło się wczoraj, gdy pan rozmawiał z Reną w magazynie, było z pewnością podyktowane zazdrością.

Urwała i patrząc na niego bacznie, śledziła wrażenie, jakie zrobią na nim jej słowa.

Musiała mówić z Januszem bardzo ostrożnie. Chłopiec podobał się jej coraz bardziej i byłoby dobrze, gdyby jego zainteresowanie Reną nie posunęło się naprzód. Chciała ją przedstawić w świetle nieco dwuznacznym, tak jednak, by Janusza nie zdziwiły jej słowa wypowiedziane o przyjaciółce. Dlatego ważyła każdy wyraz, by nie przeholować w tym, co mówiła.

— A cóż panna Rena mówi na te zaloty swego szefa?

— Czy ja wiem... Rena jest dziwną dziewczyną... Lubi przeżywać stale nowe wrażenia... Jest też praktyczna życiowo, co w moich oczach nie jest wadą, trudno bowiem być całe życie ekspedientką... Szalski mógłby jej dać dużo. Ja nic panu zresztą nie mogę powiedzieć. Chociaż jestem przyjaciółką Reny, ma ona przede mną tajemnice... I nie tylko przede mną. Dziś na przykład nie chciała, by ją pan odwiózł do samego domu...

— Zauważyłem to — rzekł krótko Janusz.

Ogarnęło go naraz rozdrażnienie. Był pod wrażeniem Reny i jej oszałamiającej urody, to jednak, co mówiła Kazia o Renie, nie było dla niej zbyt korzystne... Amatorka wrażeń... Sprytna... Wyrachowana... Tajemnicza...

Janusz spojrział na dziewczynę, która w ten sposób mówiła o swej przyjaciółce, chcąc wyczytać z jej twarzy dlaczego to czyniła. Na twarzy Kazi jednak była zupełna obojętność, tak iż Janusz uwierzył, że o ile coś złego powiedziała o Renie, uczyniła to mimowiednie. Być może zresztą, mówiła tylko prawdę.

Taksówka skręciła gwałtownie na rogu ulicy, Kazia pochyliła się w stronę Janusza i z całą siłą przywarła ramieniem do jego ramienia.

Garda, który na chwilę obrócił głowę i patrzył przez okienko wozu na ulicę, zwrócił się z uśmiechem do niej i ujrzał tuż przy swej twarzy jej twarz o tęsknych, zmysłowych oczach

brunetki i o pełnych, ładnie wykrojonych, namiętych wargach. Uderzył go zapach perfum, których Kazia używała dużo i chętnie.

Była bardzo ładna, nie tak jednak ładna jak Rena, przy tym w wyrazie jej twarzy było coś, co nie budziło wielkiego zaufania.

Nie był świętoszkiem, lecz i zarazem nie był uwodzicielem. Nie miał też zwyczaju uprawiania kilku flirtów naraz i interesowania się naraz kilkoma kobietami. Dla tego też nie zareagował na przytulenie się Kazi ani nie zrobiły na nim silnego wrażenia tęskne oczy dziewczyny, nagle zmienione i rozszerzone, nie przykuły go do siebie usta, które jakby gotowe były oddać się w słodką niewolę pocałunku.

— Cóż, trzęsie? — odezwał się do niej przyjaźnie, samochód bowiem podskakiwał, jak piłka, po „kocich łbach”. Wolał to przytulenie Kazi do siebie złożyć na karb gwałtownego skrętu, jaki wykonał wóz, niż traktować je jako atak na swoją osobę.

Odsunęła się nieco od niego i oparła o siedzenie. Na ustach jej pojawił się uśmiech.

— Strasznie trzęsie! — odparła, dostosowując się do jego tonu, zła w duchu na jego obojętność, po czym zaraz dodała: — Już dojeżdżamy... Mieszkam tam, w narożnym domu.

Na pożegnanie uściśnęła mu mocno rękę. Uważała, że jak na dziś, jak na pierwszy dzień znajomości, postawiła sprawę na właściwej platformie. To, co powiedziała o Renie, da mu na pewno dużo do myślenia.

Gdy jednak wchodziła po ciemnych schodach domu, nie mogła oprzeć się uczuciu pewnego zawstydzienia, które ją ogarnęło. Czuła się jak złodziej schwytyany na gorącym uczynku, choć nie chciała się do tego przyznać sama przed sobą.

## ROZDZIAŁ IV

Przed dużym, świeżo odnowionym domem, położonym przy zacisznej, bocznej ulicy, w samym centrum miasta, w kręgu światła, rzucanym przez uliczną latarnię, tam i z powrotem przechadzał się nerwowo jakiś człowiek, raz po raz rozglądając się niecierpliwie wokoło, jak to czynią ludzie, którzy na kogoś czekają.

Był to mężczyzna jeszcze niepodeszły w latach, na którego jednak twarzy i całej postaci, borykanie się z życiem przedwcześnie wryło swe piętno. Ilekroć zbliżał się do latarni ulicznej i wchodził w koło światła, w jej białym, spokojnym blasku rysowała się wyraźnie jego pochylona, przygarbiona sylwetka, która nie zawsze z pewnością była taka, występowała wyraźnie jego twarz o rysach przywiedłych i postarzałych. Na twarzy tej każdy rok życia, każda troska położyła swe znamię niezatarte – znać nie stąpał po różach. Mimo to jednak, mimo że obliczu temu nieobca była żadna nędza, żadna wzniosłość i żadna namiętność życia, była w nim jakaś powaga i dostojność, coś jakby wspomnienie dawnej świetności, jakby pozostałość z lepszych odległych czasów, które już nigdy nie miały wrócić.

Przechadzający się tam i z powrotem starszy mężczyzna, odmierzający niezmordowanie swe kroki, jak żołnierz na posterunku, to zjawiający się w zasięgu blasków latarni, to ginący na krótką chwilę w mrokach, jakie czaiły się za niewielkim kręgiem światła, ubrany był w podniszczony i zatłuszczony garnitur, który dawno nie widział pralni chemicznej, zapomniał, kiedy stykał się z żelazkiem; a był nieustannie w użyciu.

Podobnie sfatygowany był zdefasonowany i bogaty zapewne w koleje losu – kapelusz spacerującego, nasunięty nieco na oczy.

Właściciel tego wymiętego kapelusza najwyraźniej oczekiwał kogoś. Raz po raz rozglądał się niespokojnie na wszystkie strony, po czym kierował wzrok na bramę dużego, świeżo odnowionego domu, z której wypływał strumień światła.

Przystawał, wykręcał się na pięcie, lustrował wzrokiem przechodniów, znowu odchodził kilka kroków, wyrastał w poświęcie latarni i zanurzał się w mrok, spoglądał na bramę coraz bardziej niespokojny i podniecony.

Ten, na którego czekał, spóźniał się jednak, bowiem dozorca domów pozamykali już z trzaskiem bramy, ulica pustoszała coraz bardziej, a jego nie było.

Mężczyzna w zatłuszczonym ubraniu i pozbawionym fasonu kapeluszu – denerwował się coraz bardziej, nie przerywał jednak swej wędrówki, zdecydowany widocznie czekać choćby do rana, byle się tylko doczekać.

Jakoż doczekał się wreszcie.

Zza zakrętu ulicy wyskoczyła taksówka, rozgorzała ślepiami latarni, zamiotła przed sobą jezdnię snopem światła i ciężko zatrzymała się przed świeżo wyremontowanym domem, na którego bramę oczekujący tak częste rzucał spojrzenia.

Z taksówki wyskoczył młody, wysoki mężczyzna i zatrzymał się przy wozie, grzebiąc rękami po kieszeniach, w poszukiwaniu drobnych pieniędzy.

Na jego widok oczekujący cofnął się nieco i przywarował w mroku.

Dopiero, gdy młody człowiek, który przyjechał taksówką, ukończył rachunek z szoferem

i skierował się do bramy, podnosząc rękę do dzwonka – oczekujący wysunął się szybko naprzód i podszedł do przybyłego.

— Januszu... — odezwał się bardzo cicho i jakby z zawstyżeniem, dość głośno jednak, by tamten usłyszał.

Ruchem nieśmiałym i niezgrabnym dotknął z tyłu jego ramienia.

Garda obrócił się szybko na dźwięk tego głosu i na twarzy jego odbiło się zdziwienie.

— Ach, to ty, stryju — odparł wreszcie.

W głosie jego była odrobina niechęci, gdy jednak spojrzął na pochyloną postać, na twarz nieogoloną i na podniszczony ubiór tego, którego nazwał stryjem – ogarnęła go nagła fala litości.

Chciał coś powiedzieć, tamten jednak wyprzedził go i zaczął mówić szybko, jakby się chciał usprawiedliwiać:

— Przepraszam bardzo, że cię tak nagabuję... Czekałem na ciebie dość długo, mam interes dość pilny... Nie gniewaj się, Januszu... Może cię to krępuje...

Garda ujął go pod ramię i odprowadził kilka kroków od bramy.

— Ależ nie, nie gniewam się wcale... Wolałbym wprawdzie, byś się tutaj nie pojawiał... Po prostu ze względu na ojca... bo wiesz... Jaki masz do mnie interes?

Pytanie było raczej retoryczne. Wiedział dobrze, o co chodziło. Chodziło, jak zwykle, o pieniądze.

— Słuchaj — zaczął ośmielony starszy mężczyzna, którego Garda nazwał swym stryjem. — Jestem bez pieniędzy... rozumiesz, zupełnie bez grosza... Naturalnie, chwilowo tylko... Ponieważ tak się jednak złożyło, że nie miałem gdzie pożyczyć, powziąłem myśl, by zwrócić się do ciebie... Dozorca powiedział, że nie wróciłeś jeszcze...

— Ach, pytałeś o mnie dozorcę? — podchwycił Janusz, a tym razem była już w jego głosie wyraźna przygana.

— Tak! — zaniepokoił się nieogolony starszy pan. — Musiałem się przecież przekonać, czy jesteś już, czy nie... Inaczej darmo bym czekał...

— Mniejsza z tym. A co do pieniędzy, to otrzymałeś ode mnie niedawno sumę, która powinna ci jeszcze wystarczyć... Co z nią zrobiłeś?

Opuścił oczy. Miał minę skarconego dziecka.

— Rozeszły mi się tamte pieniądze — ozwał się wreszcie z przymusem.

— Na wyścigach?

— Na wyścigach też... Miałem taki dobry akumulatyw<sup>(1)</sup>. Trudno. Nie udało się. *Paliwo* kosztuje mnie również...

— Mógłby się stryj od tego odzwycząić.

— Kpisz sobie chyba ze mnie. Odzwycząić się od tego jest niepodobieństwem... Pożycz mi Januszu, bo taki jestem tego spragniony... Zresztą, ja ci zwrócę, zwrócę, co do grosza...

Podszedł do niego całkiem blisko, zbliżył twarz do jego twarzy, mówiąc mu do ucha, jakby zwierzał ogromną tajemnicę.

— Nie mów tego nikomu, ale szykuje się wielka sensacja... Wracam na scenę... Mówiłem już z tymi ludźmi z operetki... próbowali głosu... chwalili... Powiedzieli, że coś się zrobi...

Rysy Janusza skrzywiły się w pobłażliwym uśmiechu.

Słyszał tę historię tyle razy. Tyle razy po prostu, ile razy zetknął się ze stryjem. Zawsze jakiś teatr go poszukiwał lub zwracał się do niego, obiecując mu nieprawdopodobną gażę, a w rezultacie wszystko było wytworem bujnej fantazji zrodzonej w zamroczonym mózgu. Stryj Gardy nachodził w rzeczywistości dyrekcje teatrzyków i operetek, ofiarując swe usługi, znano go tam jednak dobrze i wszędzie odprawiano z kwitkiem nieszkodliwego maniaka, przez litość tylko zbywając go obietnicami.

Właściciel sfatygowanego kapelusza dostrzegł jednak na twarzy młodego człowieka niedowierzanie, przestępując bowiem z nogi na nogę, co oznaczało u niego zakłopotanie – jął mu tłumaczyć.

— Możesz mi wierzyć, Januszu. Tym razem, to już naprawdę. Zapisali sobie mój adres i powiedzieli, że zawiadomią mnie listownie kiedy, jak i co. Zobaczysz! Niech tylko dorwę się do sceny, niech tylko przejdę się wśród dekoracji, ukażę się w świetle kinkietów, zakasuję z kretesem tych obecnych reklamiarzy i przypomnę Warszawie, co to znaczy stary Garda, którego przez tyle lat chciano zdławić, zgnieść, zamordować sprzysiężeniem milczenia. Zobaczysz, Januszu, jak wówczas...

— No, dobrze! Już dobrze!. Cieszyłbym się, gdyby się to stryjowi udało. Jest już jednak późno i nie chciałbym trzymać stryja na ulicy, a do domu...

— Wiem! Wiem!... — pokiwał stary głową, a na twarzy pojawił się uśmiech gorzkości. — Wszyscy mnie wyklęli... Nikt nie chce mnie znać. Twój ojciec – pierwszy... Naturalnie! Jakaż różnica między głośnym prokuratorem, nad którym zachłystuje się z podziwu całe miasto, a mną, byłym aktorem, który na dobitkę...

Machnął bezradnie ręką, jakby nie chcąc poruszać zbyt przykrego dla siebie tematu i siwiejące brwi zbiegły mu się u czoła.

— Przyjdzie chwila kiedy się odegram. Wtedy gdy wbrew intrygom, wbrew usiłowaniom wyrzucenia mnie poza nawias – wrócę. Wrócę na scenę! Wrócę i zaśpiewam. Wtedy, jak pieski, będą się wszyscy czołgać u moich nóg... Wszyscy! Wszyscy!!!

W zapamiętaniu zacisnął ręce w pięści, jakby dławiąc w nich niewidzialnego wroga. Jego głos nieco ochrypli i przepity przeszedł w ostry namiętny szept.

Janusz zwykle z całą cierpliwością wysłuchiwał bredzeń tego człowieka i odnosił się z całym wyrozumieniem do jego maniactwa, tego jednak wieczoru miał głowę całkiem czym innym nabitą i chciał po prostu pożegnać się jak najprędzej. Sięgnął ręką do kieszeni.

— Muszę już iść. Ile trzeba stryjowi?... Proszę pamiętać, że nie jestem Krezusem<sup>(2)</sup>...

— Potrzebuję pięćdziesięciu złotych. Koniecznie pięćdziesięciu. Na dwa, trzy dni.. Wrócę ci je, Januszu, możesz być spokojny... I tak ledwie mi to wystarczy... Januszu, ja już tak długo...

— Wiem, wiem! Morfina kosztuje... Ale ja nie mam nawet przy sobie tyle pieniędzy. Dostanie stryj dziesięć złotych.

— Trzydzieści! Mój chłopcze, co ja zrobię z dziesięcioma złotymi?... Przecież to tylko pożyczka.

— Dam stryjowi dwanaście. To moje ostatnie słowo.

Wyciągnął rękę z przygotowanym bilonem. Tamten wziął pieniądze i schował je niedbałym, pańskim gestem do kieszeni.

— To naturalnie pożyczka — powtórzył raz jeszcze. — Poczekaj, zaraz sobie zapiszę w notesie ile od ciebie pożyczyłem... Na wszelki wypadek, bo mogę zapomnieć, a ty jesteś przecież zbyt wielkim dżentelmenem, abyś miał się upominać o taką drobnostkę...

Wyciągnął niewielki notesik, oprawny w czerwone płótno. Nic nie pomogło. Janusz musiał przejść z nim pod latarnię, gdzie suma dwunastu złotych została pod odpowiednią datą skrupulatnie wciągnięta na listę długów.

Janusz znał dobrze zwyczaje stryja i wiedział doskonale, że pożyczki jakich mu udzielał, były to pożyczki *na wieczne nieoddanie*. Mimo to stryj jego nie przyjąłby ani grosza i byłby raczej gotów pożyczoną sumę natychmiast zwrócić z gestem hiszpańskiego granda<sup>(3)</sup>, gdyby mu nie pozwolono na przyjemność wpisania jej do notesu.

— Tak! Teraz nie zapomnę. Do widzenia ci, drogi chłopcze. Ty jeden dostrzegasz jeszcze we mnie człowieka.



— Dobranoc, stryju!

Młody Garda patrzył przez chwilę za człowiekiem, którego nazywał swoim stryjem, po czym, gdy jego zgarbiona sylwetka zniknęła w mroku – podszedł do bramy i zadzwonił.

Pan Tomasz Garda siedział w jadalnym pokoju, przy stole, z którego częściowo usunięto zastawę, i pokonywał trudności jakiegoś zawilego pasjansa.

Gdy Janusz wszedł do pokoju, prokurator nie przerwał swej czynności, lecz nadal z uwagą przekładał karty, po chwili dopiero podniósł swą rasową głowę o pięknym rzymskim profilu i rzekł krótko, odpowiadając na pozdrowienie syna:

— Każ sobie podać kolację. Nie mogłem dłużej na ciebie czekać...

— Myślałem, że ojciec już śpi, zmęczony po dzisiejszym procesie.

— Nie czuję się zbyt zmęczony... Na przyszłość jednak Januszu, chciałem cię prosić, byś był punktualny.

Janusz nic nie odpowiedział na ostatnie słowa ojca, lecz zajął się kolacją, którą mu podano. Był głodny, toteż jadł z apetytem.

Stary Garda zgarnął karty zniechęconym ruchem, już bowiem po raz trzeci nie wyszedł mu pasjans i w milczeniu patrzył na syna.

— Wyrok już znasz?... — zapytał nagle.

Mówił o sprawie Szeligowej, w której występował jako oskarżyciel.

Janusz kiwnął głową.

— Znam... Ten skazujący wyrok nie jest oparty na murowanych podstawach. Sądzę, że przyznasz mi rację... Nie, jako prokurator Garda, lecz jako Garda po prostu... Jako obiektywny widz...

— Nie, nie przyznam ci racji...

Janusz zatrzymał w połowie drogi szklankę herbaty, którą niósł do ust.

— A więc uważasz wyrok za sprawiedliwy?...

— Najzupełniej! Zapamiętaj sobie, że między moją funkcją urzędową, a mają osobą prywatną nie istnieje żadne rozdzielenie. I jako prokurator, i jako Tomasz Garda uważam, że kobieta ta zabiła i że winna ponieść karę... Nigdy nie oskarżałem wbrew memu przekonaniu i zdjąłbym raczej z siebie togę oskarżyciela, niż wypowiedział jedno słowo potępienia o człowieku, który nie jest w moim przekonaniu winien.

Janusz pokręcił głową. Wolał dać spokój bezpłodnej dyskusji.

— Abstrahując od tego, czy Szeligowa była winna, czy nie, miałeś dziś znowu swój wielki dzień. Prasa wieczorna nie tai swych zachwyków...

Garda ruszył ramionami.

— Wcale mi na tym nie zależy. Nie oskarżam dla pochwały prasy, ani też dla tłumu. Osobiście wolałbym oskarżać przy drzwiach zamkniętych; by nie istniały pozory, że choć jeden efekt przemówienia jest poświęcony zaskarbieniu sobie sympatii publiczności. Spełniam obowiązek... Służę literze prawa. To wszystko...

— O tak! Jesteś nieubłaganym rygorystą<sup>(4)</sup>. Chwilami myślę, że gdyby zdarzyło się tak kiedyś, że stanąłbym przed sadem obwiniony o jakąś ciężką zbrodnię – zdobyłbyś się na oskarżenie mnie z czystym sumieniem.

Prokurator popatrzył na syna i ponownie ruszył ramionami.

— Masz bujną fantazję. Prawo zresztą nie dopuszcza do tego, by ojciec oskarżał syna. Gdybyś jednak popełnił przestępstwo czy zbrodnię, skwalifikowałbym to w swym sumieniu tak, jakby sprawcą tego był ktoś obcy i obojętny. Wy młodzi nie znacie słowa obowiązek, ale ja jestem już stary człowiek i pojmuję go może niełatwo, ale właściwie.

Janusz w milczeniu skinął głową. Wiedział doskonale, że w tym, co usłyszał od ojca, nie

było ani cienia przechwałki lub brawury. Prokurator Tomasz Garda znany był dobrze ze swej bezwzględności i surowości. Był z natury człowiekiem zimnym, umysłem chłodnym, konserwatywnym zarazem, a lata spędzone na stanowisku oskarżyciela publicznego sprawiły, iż ten chłód, bezwzględność i oschłość spotęgowały się jeszcze i okrzepły. Gdy nabrał przekonania o winie oskarżonego – nie miał dla niego żadnych względów, nie było też żadnych okoliczności łagodzących, które prokurator Garda uważałby za pobłażanie.

Prokurator Garda od dawna nauczył się patrzeć na życie poprzez las paragrafów, które u niego urosły do poziomu dogmatów i przesłoniły mu życie. Prawo było prawem, surowym i karzącym, i nie było w nim miejsca na litość. Było mu z tym dobrze i nie dbał o nic więcej.

Przy stole zapanowało milczenie i trwało długo. Prokurator wrócił do kart. Janusz przypatrywał mu się ciekawie, obserwując, jak kładł jedną obok drugiej w proste, równe szeregi.

Synowi prokuratora przyszła naraz do głowy myśl, której nie umiał opanować. Była to chęć wspomnienia ojcu o spotkaniu ze stryjem.

Ostatecznie uświadomił sobie właśnie, że nigdy nie mówił z ojcem na ten drażliwy temat. Mimo że był dorosły, znał doskonale despotyzm ojca i bał się, by nie urazić go tym pytaniem.

W tym wszystkim, co działo się ze stryjem, w tym, co doprowadziło go do poziomu człowieka zdeklasowanego i wyrzuconego poza nawias społeczeństwa, tkwiła jakaś tajemnica, której Januszowi trudno było dociec.

Niedawne spotkanie ze stryjem sprawiło, że ciekawość jego zaostrzyła się znowu i Janusz sam właściwie nie wiedział, kiedy ozwał się:

— Widziałem się dziś wieczór ze stryjem Oskarem...

Prokurator Garda podniósł głowę z nad kart i naraz przerwał stawianie pasjansa. Utkwił w Januszu swe bystre, nieco zbyt głęboko osadzone oczy.

Sięgnął ręką do kieszeni marynarki po papierośnicę, wyjął papierosa i zamknął ją z trzaskiem.

— Widziałeś się ze stryjem Oskarem? powtórzył wolno pan Tomasz, zapalając papierosa.  
— Gdzie się z nim widziałeś?

— Tutaj, pod domem, czekał na mnie.

— Ach, tak. Cekał na ciebie pod domem. Dobrze, że nie powążył się przyjść na górę.

Janusza ogarnęła nagle fala młodzieńczego oburzenia. Zdawał sobie doskonale sprawę, że stryj Oskar należał do ludzi zepchniętych z normalnej linii życia, jednakże stryj Oskar zachował zawsze maniery i formy człowieka inteligentnego.

— A gdyby nawet odważył się to uczynić, ja nie widziałbym w tym nic złego.

— Ale ja bym sobie tego stanowczo nie życzył... Czy nie rozumiesz, że gdyby tu raz przyszedł, nagabywałby mnie nieustannie?...

Prokurator Garda mówił z brutalną stanowczością, nie patrząc przy tym na syna.

— Może być ojciec spokojny — odparł Janusz. — Stryj Oskar nie złoży ojcu wizyty. Pozostało mu tyle ambicji, że wolałby raczej umrzeć z głodu w przytułku dla bezdomnych, niż przyjść tutaj i „nagabywać” ojca.

Stary Garda drgnął i zmarszczył brwi. Ton głosu Janusza sprawił mu przykrość.

— Ze słów twoich wnioskuję, że dzisiejsze spotkanie ze stryjem Oskarem nie było pierwsze...

— O, nie! Ja już od dłuższego czasu go widuję. Coś około trzech czy czterech miesięcy...

— Jak go poznałeś?

— O, to ciekawa historia. U mego patrona raz na tydzień udziela się bezpłatnie porad prawnych dla ubogich... Jednego takiego popołudnia zgłosił się wśród innych niezamożnych klientów, właśnie stryj Oskar... Chodziło o poradę w jakiejś sprawie mieszkaniowej. Wówczas

wiedziałem tylko tyle, że miałeś brata imieniem Oskar, który znikł pewnego dnia z rodzinnego horyzontu, gdy byłem jeszcze dzieckiem... Naturalnie zainteresowałem się osobą owego człowieka, który nosi to samo, co ja, nazwisko. Zacząłem go wypytywać, no i tak dogadaliśmy się... Od tego czasu widziałem go kilka razy...

— Naciąga cię na pożyczki?

— Jest w nędzy, więc kilkakrotnie służyłem mu drobnymi sumami. Nie wiem, czy wiesz o tym, że ten człowiek jest zupełnie na wykończeniu. Morfinizuje się...

— O tym nie wiedziałem.

Zapadło znowu milczenie.

Prokurator Garda dopalał papierosa, wciśnięty w fotel o wysokim oparciu, nieruchomy, ze zmęczonymi oczyma, jakby błędził wspomnieniami w czasach swej młodości, kiedy Oskar Garda był jeszcze jego bratem, kiedy jeszcze nie rozdzieliło ich życie i nie poniosło na przeciwnych falach.

W ciszę, przerywaną jedynie ostrym, wyraźnym tykaniem zegara, padło nagle pytanie Janusza.

— Jaka tajemnica kryje się w tym wszystkim? Dlaczego stryj Oskar jest poza nawiasem rodziny? Dlaczego dopuszczono, by stoczył się tak nisko?

— Co on teraz robi? — zapytał prokurator zamiast odpowiedzi.

— Mieszka gdzieś, w jakimś zapadłym kącie Warszawy... Nie robi naturalnie nic.

Odwiedza nieustannie operę, teatry operetkowe i rewiewe, ofiarowując swoje usługi. Wszędzie, rzecz prosta, odprawiają go z kwitkiem lub zbywają pustymi obietnicami. Wiem tylko tyle, że dawniej miał podobno świetny głos, teraz jednak jest to już koniec...

Prokurator Garda pokiwał głową.

Westchnął i namyślał się przez chwilę, po czym pochylił się nad stołem, jakby chcąc być bliżej syna, i zgarnął karty niedokończonego pasjansa.

— Nie sądziłem, że będę o tym z tobą kiedykolwiek mówił. To stare dzieje, które uległy już zapomnieniu... przeszłość jednak powraca czasem nieproszona. Zaraz zrozumiesz, dlaczego mówię o tym tak niechętnie. Stryj Oskar jest człowiekiem obciążonym piętnem zbrodni...

— Zbrodni?...

— Tak! I to zbrodni, jaka została dokonana w warunkach dziwnych i tajemniczych.

Mówiłeś o jego bezskutecznych staraniach, by dostać się na scenę, wiesz więc zapewne, że był czas – to było wszystko jeszcze przed wojną – kiedy stryj Oskar występował na scenie, śpiewał w operze... Nie znam się na tym, miał jednak podobno głos zupełnie dobry i w kołach artystycznych wróżono mu wielką karierę.. Stryj Oskar był szeroką, bujną naturą... Lubił żyć. Miał szalone powodzenie u kobiet i to go właśnie zgubiło...

— ?

— Pewnego dnia w garderobie jego, w operze, znaleziono zamordowaną kobietę. Mężatkę, o której wiadano, że od dłuższego czasu łączył ją ze stryjem Oskarem intymny stosunek... Niestety, sprawa była niesłychanie zagmatwana i ciężka. Kobieta ta odwiedziła stryja w jego garderobie w czasie przedstawienia... Ponieważ stryj miał właśnie niedługo wyjść na scenę, postanowiła zaczekać do jego powrotu. Tak przynajmniej on sam to przedstawiał... Otóż potem, po owym wywołaniu stryja na scenę, zastano już tę kobietę martwą.

— Jakie było narzędzie zbrodni? — zapytał poruszony Janusz.

— Krótki sztylet...

— Kto znalazł pierwszy ciało?

— Otóż to! Oskar pierwszy, po odśpiewaniu swej partii, zaalarmował swych kolegów i personel opery wiadomością, iż w czasie, gdy był na scenie, w garderobie jego zamordowano tę

panią...

Janusz słuchał z rosnącym podnieceniem.

— Powstały jednak szybko podejrzenia — mówił prokurator Garda — czy stryj Oskar mówił prawdę... Po prostu nastęczył się do rozstrzygnięcia problem, czy kobieta ta nie była już martwa, zanim stryj Oskar poszedł na scenę, wywołany przez inspicjenta...

Prokurator Garda znowu przerwał swe opowiadanie. Brwi zbiegły mu się nad czołem w zygzak. Znać wspomnienie wypadku, o którym mówił, sprawiło mu prawdziwą przykrość. Opanował się jednak szybko i jął mówić dalej:

— Rozpoczęło się długie i żmudne śledztwo. Stryj Oskar twierdził nadal z uporem, iż jest niewinny, powtarzał po tysiące razy swe poprzednie, pierwsze zeznanie, że kobieta była zdrowa i cała, gdy wywołany przez inspicjenta udawał się na scenę, by odśpiewać swą partię, że zastał ją martwą, gdy w dwadzieścia minut później wrócił do garderoby... Trzeba by mu jednak było uwierzyć na słowo, a tego nie lubi policja, nie lubi sędziego śledczy i nie zadowala to prokuratora. Stwierdzono, na dobitkę, splot okoliczności nader nieprzychylnych dla mego brata, a twego stryja...

— Ach, te nieprzychylnie okoliczności! Wystarczy podejrzenie o zbrodnię, by z każdego z nas zrobić zdecydowanie czarny charakter...

— Pozwól, Januszu! Nie mam w tej chwili zamiaru teoretyzować. W rezultacie stryj Oskar został aresztowany i oskarżony o to, że zamordował swą kochankę podczas sprzeczki...

— Jednego jeszcze nie wiem! Powiedziałaś mi, że narzędziem zbrodni był sztylet... Do kogo ten sztylet należał? Jakie były na nim znaki daktyloskopijne?

— Otóż to! Ten sztylet to był właśnie najslabszy, kulejący punkt aktu oskarżenia, jaki sformułowano pod adresem Oskara... Sztylet był nikomu nieznanym i nikt nigdy nie widział go u oskarżonego... Stryj Oskar stwierdzał uroczyście, że tego sztyletu nie widział na oczy i że sztylet ten nie był nigdy jego własnością. Badanie daktyloskopijne, pytasz? Nie dało wyników. Rękojeść sztyletu nie posiadała żadnych śladów...

— Aha! Czy stryj, idąc wówczas na scenę, miał na rękach rękawiczki?

— I o tym myślał przed laty sędzia śledczy... Stwierdził, że nie.

— Skazano stryja? Czy długo siedział?

Tomasz Garda potrząsnął głową:

— Właśnie, że nie! Ten sztylet i kompletny brak świadków uratowały jego pozycję wobec sądu. Po dwudniowej rozprawie, sąd wydał wyrok uwalniający stryja Oskara z powodu braku dowodów winy... Taki wyrok uwalniający z *braku dowodów* jest często gorszy dla oskarżonego od wyroku skazującego. Po prostu komplet sędziowski mówi — nie wiemy, czy faktycznie zamordowałaś, czy też nie, może i zamordowałaś, ale nie mamy dostatecznych dowodów winy i dlatego cię zwalniamy. Mam wrażenie, że stryj Oskar wolałby raczej zostać skazanym, niż uniewinnionym w ten sposób...

— Tak go to złamało?

— Sam wyrok ucieszył go naturalnie, ale gdy opuścił więzienie śledcze, wszyscy odwrócili się plecami do bohatera smutnego skandalu. To był po prostu cichy bojkot, który sprawił, że stryj Oskar ujrzał zamkniętą dla siebie operę i zrozumiał, że cała jego kariera artystyczna jest zwichnięta. Przestano go przyjmować w kołach towarzyskich, które poprzednio rozrywały go. Pamiętaj, że sprawa narobiła ogromnego hałasu w Warszawie i że prasa zrobiła z tajemnicy garderoby Teatru Wielkiego sensację na długie tygodnie... Jednym słowem, stryj Oskar znalazł się poza nawiasem życia...

— Biedny stryj Oskar! I nawet rodzina, nawet ty z nim zerwałaś...

Prokurator Garda nie zaraz dał synowi odpowiedź na te słowa. Namyślał się przez chwilę,

po czym rzekł:

— Nigdy nie było między nami serdecznych węzłów. Gdy stała się ta historia z morderstwem w garderobie teatralnej, stałem u wrót mojej kariery prokuratorsko-sądowej i musiałem poczynić wiele wysiłków, by ta nieszczęsna sprawa i mnie nie złamała życia. Ludzie bardzo łatwo wyrok potępiający jakiegoś człowieka rozciągają także na jego najbliższą rodzinę, jakby rodzina ta była coś winna... Cóż łatwiejszego, jak powiedzieć *brat mordercy* i nadać temu odpowiedni posmak. Czy myślisz zresztą, że tak nie mówiono? Oskar zaczął pić i włóczyć się w towarzystwie szumowin. Staczał się szybko, odepchnięty przez wszystkich iznaczony piętnem mordercy, mimo uwalniającego wyroku. Poczytuję mu jednak za dobre to, że nigdy nie starał się zetknąć ze mną, nigdy nie odwiedził mnie ani w domu, ani też w biurze. To jest zawsze pewien takt z jego strony.

Janusz spojrział na ojca i uprzytomnił sobie, że jest on wielkim egoistą.

Papierośnica prokuratora Gardy szczęknęła raz jeszcze

— Dostyc już mówiliśmy o tej smutnej sprawie. Takie wspomnienia męczą, a już i tak jestem zmęczony dzisiejszą rozprawą... Jestem bardzo niezadowolony, że los zetknął cię z tym człowiekiem. Myślałem, że nigdy nie zobaczysz go na oczy. Teraz będziesz mu się musiał opłacać od czasu do czasu... Zobaczysz, że będzie on coraz natarczywszy. Co do ciebie nie ma widać owych skrupułów, jakie miał co do mnie...

— Mylisz się zasadniczo. Stryj Oskar wcale mnie nie naciąga. Nie chcę wydawać sądów, jednakże mam wrażenie, że i ty ojcie, i cała rodzina zbyt pochopnie odepchnęliście go od siebie.

— Jesteś marzycielem jak wszyscy młodzi.

Tomasz Garda podszedł do stołu i zebrał z uwagą karty, wkładając je do ozdobnego pudełka. Następnie umieścił pudełko na małym stoliczku. Był to nieomylny znak, że udaje się już na spoczynek.

— Dobranoc, Januszu!

Od drzwi jeszcze, trzymając rękę na klamce, prokurator zwrócił się do syna:

— Spotkałem cię dzisiaj, wychodząc z kawiarni. Kto były te dwie piękne panie, z którymi wchodziłeś do *Europejskiej*? Naturalnie, jeżeli to nie tajemnica...

— Nie! Tajemnicy nie ma w tym żadnej! — uśmiechnął się Janusz. — To dwie bardzo miłe dziewczyny, które poznałem niedawno. Ekspedientki z magazynu Szalskiego.

Garda ruszył ramionami. To, żeby z ekspedientkami pokazywać się w pierwszorzędnej kawiarni przechodziło miarę jego pojęć.

— Mój Januszu — rzekł wreszcie, a w głosie jego brzmiał wyrzut — mógłbyś też ze sklepówkami nie afiszować się w najwytworniejszych lokalach. Są na to inne miejsca.

---

<sup>(1)</sup> akumulatyw – dawniej jeden z typów zakładu na wyścigach konnych: zestaw gonitw, które gracz chce obstawiać.

<sup>(2)</sup> Krezus (VI w. p.n.e.) – król Lidii, kraju na zachodzie Azji Mniejszej. Skarby gromadzone przez Krezusa z kopalń złota i wymuszonych danin stały się przysłowiowe. Jego imię jest synonimem bogacza.

<sup>(3)</sup> Grand Hiszpanii (hiszp. *Grande de España*) – tytuł najwyższej arystokracji hiszpańskiej.

<sup>(4)</sup> rygorysta – osoba bezwzględnie stosująca się do przepisów; formalista.

## ROZDZIAŁ V

Młody człowiek stał, oparty plecami o ścianę kamienicy.

Właśnie dochodziła godzina druga i na skrzyżowaniu ulic, przy których wznosił się gmach Domu Towarowego panował największy ruch. Policjant, w ciężkim granatowym mundurze, stojący na małej wysepce, pracował niestrudzenie, rozdzielając ruchami białej pałeczki, to w tym, to w tamtym kierunku, sznury stłoczonych aut. Od czasu do czasu przelatywały czerwone wozy autobusów, porykując ochryple syrenami.

Janusz, upojony, podniecony, chwycił nozdrzami zapach wiosny.

Czekał na Renę. Od czasu, kiedy przedstawił się jej i kiedy byli w *Europejskiej* widział ją kilkakrotnie i zajęcie, jakie w nim obudziła, nie osłabło, lecz wzrastało po każdym widzeniu.

Tak się jednak składało, że ani razu dotąd nie widzieli się we dwoje. Ponieważ Rena wychodziła zawsze z Kazią z magazynu, wędrowali w trójkę – czy to do cukierni, na spacer lub do kina.

Januszowi z początku nic to nie szkodziło, wreszcie jednak ta nieustanna asysta Kazi, która jakby naumyślnie i celowo nie chciała ich nigdy zostawić samych, poczęła go irytować.

Znalazł wreszcie chwilę, kiedy zdołał uprosić Renę, by zobaczyła się z nim tylko we dwoje. Umówili się, że spotkają się na tym właśnie skrzyżowaniu ulic nieopodal magazynu, w czasie popołudniowej przerwy.

Na myśl o Renie uczuwał lekki niepokój. Słowa Kazi pozostały dobrze w jego pamięci. Odprowadzał Renę kilkakrotnie, jednakże, za każdym razem, dziewczyna żegnała się z nim pośpiesznie na owym zakazanym, przedmiejskim placu i szybko znikwała w małej krętej uliczce. Najwyraźniej nie chciała, by odprowadzał ją do domu i by znał jej adres.

Janusz nie zdawał sobie sprawy, dlaczego to robiła. Naiwna dziewczyna! Zapominała, że wystarczyłoby udać się do biura adresowego, aby zdobyć jej adres.

Janusz jednak nie miał najmniejszego zamiaru czynić tego. Wyjaśnienie pozostawiał przyszłości. Rena musiała mieć jakieś ważne w swym mniemaniu powody, jeżeli nie chciała, by ją odprowadzał pod sam dom.

Januszem targnął naraz dreszcz.

Zobaczył z daleka Renę, idącą wolno w jego kierunku. Szerokie skrzydła jej białego kapelusza chwiały się lekko, jakby do taktu jej wdzięcznego chodu. Wiatr rozwiewał i wydymał jak żagle poły skromnego granatowego płaszczyka.

Wysoka, rasowa postać dziewczyny zbliżała się coraz bardziej, aż zatrzymała się przed nim.

Pochylił nisko głowę do jej ręki, po czym spojrzął w twarz. W szaroniebieskich oczach Reny, oczach połyskliwych i żywych, stanowiących kontrast z puszystą gęstwą miedzianych włosów wysuwających się spod kapelusza, był wyraz skupienia i powagi.

— Dzień dobry, panu! — głos jej brzmiał nisko i miękko.

— Jak to dobrze, że pani przyszła.

— W tej chwili skończyłam pracę. Wymknęłam się po prostu Kazi. A pan myślał, że nie przyjdę?

— Czy ja wiem? Bałem się, że stało się coś złego.

Z odcieniem czułości dotknęła ramienia Janusza.

— Przysłał mi pan kwiaty do magazynu — odezwała się, nachylając się ku niemu. — Bardzo dziękuję, lecz niech pan nigdy tego więcej nie robi.

— Dlaczego? Czy stało się coś złego? Gdybym znał adres pani posłałbym kwiaty do domu.

— Nie! Nic złego się nie stało. Tylko, że w dyrekcji bardzo krzywo na to patrzą, a szczególnie Szalski. Dokąd właściwie idziemy? — zapytała, zmieniając szybko temat rozmowy.

— Panno Reno, czy ma pani długą przerwę obiadową?

— Całe dwie godziny — odpowiedziała.

— Wobec tego, czasu mamy dość. Mam do pani wielką prośbę. Niech mi pani przyrzeknie, że ją pani spełni.

— A czy to bardzo wielka prośba? — drażniła go Rena.

— O, bardzo wielka! Ogromna!

Roześmieli się oboje.

— Słucham tej prośby i postaram się ją załatwić przychylnie.

— Niech pani zje obiad ze mną.

— A wie pan — powiedziała z nagłym przypiływem humoru i ochoty — to jest dobra myśl!

Szli przez miasto oboje młodzi i ładni. Oczy przechodniów z zadowoleniem i odcieniem życzliwości spoczywały na nich. Oboje byli jakby dopełnieniem wiosny.

Weszli do pierwszorzędnej restauracji.

Rena rozejrzała się po sali.

Miała wyraźnego pecha. Przy jednym ze stolików siedział Szalski.

Cofnąć się byłoby już za późno. Nie chciała zresztą tego uczynić, ponieważ mogłoby to zdziwić Janusza i dać powody do snucia niczym nieumotywowanych podejrzeń.

Szalski dostrzegł ją natychmiast, gdy weszła, siedział bowiem w ten sposób, że miał na wprost siebie drzwi restauracji. Przechodząc do drugiej Sali, musieli minąć jego stolik. Dyrektor Szalski przeslizgnął się wzrokiem z Reny na Janusza i pochylił głowę w uprzejmym ukłonie.

Janusz zauważył lekkie zmieszanie Reny.

— Natknęliśmy się właśnie, zdaje się, na pana Szalskiego?

— Tak! To był on.

— Nie ma pani najmniejszych powodów, by się tym peszyć. Poza godzinami pracy może pani spędzać czas wedle swej woli.

Rena skinęła głową.

— I ja tak sądzę — rzekła z prostotą. — Szalski jednak lubi się czepiać byle czego i obchodzą go bardzo często rzeczy, które go absolutnie nie powinny obchodzić. Jeżeli mu coś strzeli do głowy, może odbić sobie na mnie przy pierwszej sposobności swe niezadowolenie z tego spotkania.

Janusz zajął miejsce obok Reny i spojrzął w oczy dziewczyny. Odpowiedziała mu prostym, jasnym spojrzeniem. Nie, oczy te nie mogły być obłudne, nie mogły kłamać.

— Chciałem panią o coś zapytać — rzekł, podsuwając jej kartę restauracyjną.

— O cóż to takiego?

Nie doczekała się jednak owego pytania, właśnie bowiem koło ich stolika wyrósł, jakby spod ziemi, ugrzeczniony kelner i musieli oddać się na jego usługi. Trwało to dość długo. Pierwszy spożywany razem obiad, to było wielkie zdarzenie w ich życiu i należało z wielką uwagą i w sposób subtelny zastanowić się nad wyborem potraw.

Wyboru tego wreszcie dokonano i kelner oddalił się, by wypełnić zamówienie. Rena wróciła do przerwane go chwilowo tematu.

— Miał mnie pan przecież o coś zapytać. Umieram z ciekawości...

— Ach, tak! Waham się jeszcze z tym pytaniem. Chodzi o Szalskiego...

— O Szalskiego?

— Tak! Chciałem zapytać, czy to prawda, że Szalski interesuje się panią... jakby to powiedzieć... więcej, niż innymi swymi pracownikami.

Spojrzała na niego nieco zdziwiona:

— O Szalskim mówią, że jest wielkim kobieciarzem — odpowiedziała — ale o tym, by mną się specjalnie interesował, nic nie wiem... Skąd to panu przyszło do głowy?

— Ach, nie! Tak mi się to nasunęło!

Dziewczyna potrząsnęła głową:

— Nie! Nie! Teraz pan nie mówi prawdy... Już znam źródło tego pytania. Czy nie mówiła panu o tym Kazia?

— Owszem! — przyznał teraz. — Ona mówiła mi o tym.

— Niepoprawna plotkarka... — Rena ściągnęła brwi. — Ale gdyby jednak tak było, jak opowiada, to jest mi to obojętne... Wystarczy mi, że ja się nie interesuję panem Szalskim...

Janusz poweselał nagle.

— To dobrze! — rzekł.

— Co dobrze? — zapytała zalotnie, uśmiechając się do niego.

— Że nie interesuje się pani Szalskim.

— Zupełnie nie rozumiem z czego się pan tak cieszy?

— Ale ja rozumiem i zdaje mi się, że i pani rozumie, panno Reno! — odparł, biorąc jej rękę i podnosząc ją do ust.

— Nieznośny pan jest! Proszę się przyzwoicie zachowywać w restauracji.

Garda wpadł w doskonały humor. Dopiero teraz pojął, że osoba Szalskiego dręczyła go jednak.

Jedząc obiad, mówili dużo, ale rozmawiali właściwie o niczym, przekomarzając się jak dwoje dzieci.

Było im dobrze z sobą. Usta śmiały się do ust, oczy patrzyły na siebie z podziwem i uwielbieniem.

— Nienawidzę tego pani magazynu — mówił przyciszonym głosem Janusz do Reny.

— Dlaczego mojego? — roześmiała się Rena. — I dlaczego pan nienawidzi?

— Bo zabiera mi panią!

Rena spoważniała nagle.

— Ja też nie lubię magazynu! — powiedziała twardo. — Nie lubię tej pracy, która zmusza mnie do uśmiechu nawet wtedy, kiedy zupełnie nie mam na to ochoty, która wymaga ode mnie, bym nadskakiwała niemiłym klientom i klientkom w zamian za cierpkie słowa, jakich nam często nie szczędzą... Nie lubię naszych zwierzchników, którzy traktują nas jak maszyny... Ale trudno — trzeba pracować. Ja muszę zarabiać!

— Biedne maleństwo! — popatrzył jej w oczy z tkliwością Janusz.

— Ani maleństwo, ani biedne! — potrząsnęła energicznie główką. — Nie lubię, gdy mnie ktoś żałuje lub okazuje mi swoje współczucie! Zresztą niepotrzebnie mówiłam o tym. Nie psujmy sobie nastroju. Która tam jest u pana godzina? Pewnie już późno...

Garda spojrział na zegarek.

— Tak! Musimy już iść!

Uregulował szybko rachunek, godzina bowiem była istotnie taka, że Rena musiała się



śpieszyć.

— Musimy wziąć taksówkę — rzekł, gdy wyszli na ulicę. — Inaczej pani nie zdąży...

— Taksówka! O, Boże! Taki niepotrzebny wydatek — zmartwiła się Rena, której zmysł oszczędności został dotknięty. — Ale wreszcie trudno, niech będzie taksówka.

Janusz skinął na wóz, śmiejąc się z oszczędnościowych kłopotów Reny.

— Mamy całe siedem minut! Zdążymy! — uspokoił Renę.

— Całe siedem minut — powtórzyła jakimś specjalnym tonem.

Ujął jej rękę i przytulił do siebie.

Nie broniła mu, patrząc na niego przenikliwie spojrzeniem swych pysznych oczu.

— Co robimy w niedzielę? — zapytał Janusz, panując nad sobą ze wszystkich sił, aby nie porwać jej w ramiona i nie ucałować jej rozchylnych uśmiechem ust, tak była śliczna i powabna. O czwartej po południu! W biały dzień! W otwartej taksówce! To by dopiero był skandal!...

— Co robimy w niedzielę? Przecież mamy dziś dopiero wtorek i czasu jest dość, by ustalić niedzielny program...

— To nic! Ja się już teraz tym martwię!

— Ja nie mam żadnych planów.

— To gorzej! Może wybierzemy się na Wisłę? Mam kajak. Wiosłuje pani?

— Nie! Ale się nauczę! Oczywiście, skoro pan zechce udzielać mi lekcji!

— Z całym entuzjazmem i dumą, że nikt jeszcze nigdy nie miał tak pięknej uczennicy...

— Zdaje się panu!

— Nie! — odpowiedział z przekonaniem. — Nie zdaje mi się!

Dojeżdżali do magazynu.

Rena poprosiła Janusza, by polecił stanąć kilka domów dalej.

Nie było już czasu na dalsze rozmowy.

— Do widzenia! Czy można dziś wieczór odprowadzić panią do domu?

Spojrzała na niego i twarzyczka jej przybrała, jakby wyraz rozrzewnienia.

— Do domu nie! — odparła. — Ale w stronę domu, bardzo chętnie!

## ROZDZIAŁ VI

Ponieważ wieczór nie był mniej upalny od całego dnia, okno małego parterowego mieszkania, wychodzące na zaniedbane podwórze, było otwarte z niewielką zresztą korzyścią dla wymogów świeżego powietrza i higieny, źle bowiem uszczelniony śmietnik roznosił wokół woń niemiłą i nieznośną.

W ramę okna zapukano, po czym ukazała się w nim szczeciniasta czupryna majstra szewskiego pana Wincentego Sierotki.

— Jest tam pani, pani Małgorzato?

— A jestem! Gdzieżbym tam miała być? — pytaniem na pytanie odpowiedział głos z głębi mieszkania.

Stara kobieta o pomarszczonej twarzy i pochylonej, nieco zgarbionej postaci, zbliżyła się do okna..

— Ckni się człowiekowi bez roboty, to i do pani przyszedłem dowiedzieć się, co słyhać! — mówił szewc, wspinając się przy tym na palce, był bowiem niezbyt dużego wzrostu i rama okienna znajdowała się tuż na wysokości połowy jego nosa.

Kobieta ruszyła ramionami.

— Nic nie słyhać, panie Wincenty! Co tam może być słyhać w tych ciężkich czasach? Bieda i tyle.

— Panna Rena jeszcze nie wróciła? — zadał kolejne pytanie pan Sierotka w obawie, że rozmowa wygaśnie zbyt prędko.

— A, nie ma jej! Ale tylko patrzeć, jak przyjdzie...

— Coś teraz późno wraca do domu...

— Lato!... Chodzi teraz po pracy na spacer z koleżanką... Tyle jej, biedaczki, przyjemności...

— Póki jeszcze z koleżanką chodzi, to wszystko jest dobrze, ale gdy tak z kolegom na ten przykład zaczęła chodzić, to mogłabyś pani bez niczego babką zostać...

— Nie gadaj pan głupstw, panie Sierotka, bo okno zamknę i słowem się do pana nie odezwę! Reny proszę mi nie tykać!

— Moja pani Małgorzato kochana!... Tak sobie ino powiedziałem, a pani zaraz w gniew...

— Nie gniewam się, ale niech pan głupstw nie gada. Robotę pan miał?

— Iii... tam miałem... obcasy nakładałem i jedną parę miałem do podzelowania... Kto tu daje buty naprawiać, sama biedota...

Małgorzata Łaska pokiwała głową. Wincenty Sierotka miał rację. W całym olbrzymim brudnym domu mieszkali ostatni biedacy obok równie zamieszkującego dom elementu przestępczego. I ona również, pamiętająca lepsze czasy, musiała wraz z córką mieszkać w owej dzielnicy zapadłej, w owym domu o złej sławie, pozostającym stale pod dyskretną, ale czujną opieką wywiadowców policji.

— A pan, panie Sierotka, co wieczorem robi? — zapytała naraz Łaska.

— Iii... Co mam robić?... Pragnienie cierpię, napiłbym się czego, ale gronia nie mam...

Zrobił rozpaczliwy ruch brwiami. Mówiąc o picciu, nie miał naturalnie na myśli wody

sodowej z sokiem.

Zachęcony milczeniem matki Reny, Wincenty Sierotka uśmiechnął się znacząco i znowu zabrał głos.

— Powiem to pani, że po prostu „chodzi” za mną od rana. Chodzi za mną ochota napicia się wódki... Choć jednego małego. choć naparstka. Kochana pani Małgorzato, nie masz tam pani jeszcze czego na dnie?

Po zwiędłej, wyniszczonej twarzy przebiegł uśmiech:

— Gdzie tam! Pusta butelka!

Zafrasował się mocno pan Sierotka.

— Gdybym tak miał forszę, postawiłbym chętnie, ale jestem goły! To tak jest zawsze — dodał filozoficznie — jak ma się ochotę na wódkę, nie ma wówczas pieniędzy, jak się ma pieniądze, to się znowu człowiekowi pić nie chce... Pani Łaska — zaatakował już wprost — może byś pani postawiła?

— Ja?...

Chwila milczenia. W starczych oczach pojawiają się jakieś dziwne, nieznane błyski. Język przesuwają się po wargach.

— Nie, nie, panie Sierotka. Ja też pieniędzy nie mam.

— Przecież córeczka pracuje... W magazynie dużym...

— Cóż z tego! Zarabia mało, a przy tym Rena zakazuje mi stanowczo wydawania pieniędzy na wódkę... — broniła się coraz słabiej.

Szewc ruszył ramionami.

— Ale pani córki we wszystkim słuchać nie musisz i jako osoba poważna, a stateczna, zdanie swoje i powagę też musisz mieć. Te parę groszy różnicy nie zrobi. Wypijemy, zanim wróci panna Rena...

— Pewnie szybko wróci...

Stara Łaska najwyraźniej bała się córki.

— Nie przed jedenastą. Znakiem tego stawiasz pani, czy nie?

— Okazji do picia właściwie nie ma.

— Jest w sam raz! Majcherek wrócił dziś z mamra...

— Majcherek?... Doliniarza w mieszkanie będę wpuszczala?

— Doliniarz, nie doliniarz! Zawsze człowiek i to fach w ręku ma. Przy tym okazja jest...

— I tak sami z tym złodziejem?...

Sierotka podrapał się w łysiejacą głowę.

— Wiesz pani co — rozwiął jej wątpliwości — poprosimy jeszcze tego starego z czwartaka, co to co dzień po południu śpiewa, niby, że do teatru ćwiczy. Bieda u niego aż piszczy, a człowiek jest honorowy i z inteligencją... Przecież już był nieraz u nas...

— Może być, panie Sierotka! Może być! Zaproś pan go... No, i tego Majcherka też!...

— Duchem polecę po wódeczność do Jędraszkowej, tylko pani forszę daj na łapę.

Zagrychę też? Prawda?

— Zagrychę?

— Jakże może być bez zagrychy?

— Niech już będzie i zagrycha! Samej wódki nikt pić nie będzie.

— Zawsze mówiłem, żeś pani honorowa kobieta! Dobra jak anioł — dał szewc wyraz swemu zachwytowi

Dobra jak anioł staruszka pokuśtykała tymczasem w głąb mieszkania, poruszając się z pewnym trudem, reumatyzm bowiem istotnie jej dokuczał.

Pod łóżkiem stała mała walizka. Małgorzata Łaska dowlokła się do łóżka, wyciągnęła

ową walizkę i wysupłała z jej wnętrza pieniądze.

— Masz pan, panie Sierotka! Wystarczy tyle?

— Na wódkę, ale nie na zagrychę.

— Dodam panu jeszcze dwa złote.

— Nie mnie to pani mów! Przecież dwu gości zaproszonych będzie... Dodaj pani jeszcze pięć złotych...

— Masz pan! Nic mi już prawie pieniędzy nie zostało!

Wincenty Sierotka nie zważał już jednak na to. Od chwili gdy pieniądze z rąk Łaskiej przeszły w jego ręce i odkąd wiedział, że są to pieniądze na libację, stał się innym człowiekiem.

Znikł szybko w bramie domu, po czym wrócił z bajeczną szybkością, tym razem jednak już nie stawał u okna, wspinając się na palce, lecz zapukał do wejścia do mieszkania. Oczy mu błyszczały, a ruchy były żywe i podniecone, gdy na środku stołu postawił flachę wódki i wykładać na nim zaczął pyszności zakupione u Jędraszkowej.

— A goście?

— Majcherek już wie, zaraz przyjdzie! Po tamtego duchem skoczę. Jest w domu, bo niedawno żelazko do prasowania ode mnie pożyczał.

Rzeško, jakby nie miał na karku skończonego piątego krzyżyka, wybiegł, a gdy wrócił z wieścią, że lokator z czwartaka zaraz przyjdzie, tylko kończy spodniom zaprasowywać kanty, Majcherek był już na miejscu.

Był to chuderlawy młodzieniec o przedziwnie dziobatej gębie, który, nie wiadomo dlaczego, nosił wśród świata przestępczego imienisko *Majcherek*, skoro z majchrem nic nie miał nigdy wspólnego i poprzestawał jedynie na mniej lub bardziej zręcznym usuwaniu z cudzej kieszeni portfeli w tramwajach i autobusach lub na dworcach warszawskich.

— Takiego jeszcze nie widziałem! — oświadczył szewc o czwartym uczestniku libacji, na którego oczekiwano. — Do gęby nie ma co włożyć i często szklanką czarnej kawy przez dzień cały żyje, a portki rychtyk na kant musi mieć odprasowane. Dziwne ludzie te artyści.

Majcherek wsunął się głębiej w stary fotel, który pamiętał czasy dawno minionej świetności i wyciągnął nogi przed siebie.

— Prawda! Prawda! — przytaknęła roztargniona Łaska.

Nie mogła się po prostu doczekać, kiedy przyjdzie artysta zajęty właśnie odprasowywaniem spodni. Stojąca na stole butelka wywierała na nią wpływ jak gdyby magnetyczny.

Przyrzekła wprawdzie kilka dni temu Renie, że już więcej pić nie będzie. Dotrzyma przyrzeczenia! Nie będzie piła. Umoczy jedynie usta w kieliszku. To przecież nic złego.

Czy jej jednak nie było wolno mieć tej drobnej przyjemności życiowej, jaką było wychylenie jednego kieliszka, jednego jedyne kieliszeczka wódki? Rena nie miała prawa bronić jej tego. Życie ich było tak szare i płynęło bez urozmaiceń i przyjemność. Jeden kieliszek nie zaszkodzi.

Do drzwi zapukano trzykrotnie. Wszedł trzeci oczekiwany gość.

Chociaż towarzystwo nie należało do najbardziej doborowych. Oskar Garda skłonił się z taką galanterią, jak gdyby przyszedł na przyjęcie do króla angielskiego. Ucałował pomarszczoną rękę starej Łaskiej, uściśnął dłoń mistrza Sierotki, Majchereka zaś poufale poklepał po ramieniu.

Podniszczone ubranie Oskara było starannie oczyszczone, a spodnie miały ostro zaprasowany kant. Kołnierzyk lśnił nieposzlakowaną białością, ponieważ przed chwilą był przez byłego aktora przewrócony na drugą stronę i odpowiednio zaprasowany.

Oskar Garda zachowywał się wobec tych ludzi zależnie od swych kaprysów. Zdarzało się, że przechodząc przez podwórze, koło warsztatu mistrza Sierotki, czasami przez tydzień pomijał

milczeniem jego uprzejme *dzień dobry* i *dobry wieczór*. W innych znowu wypadkach był łaskaw odpowiadać na pozdrowienia. Tak postępował ze wszystkimi, którzy go znali w kamienicy, gdzie los kazał mu mieszkać między przestępcami i złodziejami a nędznym proletariatem.

Mimo to jednak lubili go wszyscy i płazem puszczały jego kaprysy.

— Czekaliśmy na pana, panie Oskarze! — zagaił Sierotka, czyniąc za Łaską honory domu i mrugając zaczerwienionymi powiekami. — Wódka stygnie, a pan nie przychodzi.

— Bruderszaftu z panem nie piłem ani świń razem nie pasaliśmy — odpowiedział przybyły, zajmując wskazane miejsce. — Masz pan mówić do mnie *panie Garda*, jeżeli nie mam opuścić tego towarzystwa.

— Niech się pan nie gniewa, panie artysto, on tak tylko z dobroci serca mówi — uspokajała go Łaska.

Nie mogła już sobie dać rady. Z przykrą łapczywością ujęła butelkę i poczęła napełniać wódką mikadka. Ręka jej drżała i trochę wódki wylało się na niezbyt czysty obrus.

Szewc energicznym ruchem ujął kieliszek w rękę.

— No, panie artysto, pijemy!

— Siulim, Majcherek.

— Chaim, pani Małgorzata!

— Szprotków, panie artysto! O, jakie ładne, duże, aż pływają w oliwie.

— Pani Małgorzato — odezwał się Garda — zasłoń pani okna z łaski swojej, niech hołota nie zagląda mi do kieliszka.

Staruszka spełniła życzenie Gardy. O ile chodziło o Majcherek, to ten obrał najlepszą cząstkę i milcząco zmiatał szproty, zagryzając kiszonym ogórkiem, aż w puszcze ukazało się dno z tak przerażającą szybkością, że szewc musiał hamować jego gastronomiczne zapaly.

— Cóż to córeczka pani nie wraca? — zapytał Oskar, kiedy butelka była już opróżniona do połowy. — Jaka szkoda, że jej nie ma, napiłaby się z nami.

— Rena nie pije — odparła stara, opierając się łokciami na stole i patrząc na zegar z kukułką, którego wskazówki dochodziły do dziesiątej. — Nie wiem, co się stało, że dotąd jeszcze nie wróciła — zaniepokoiła się.

Wincenty Sierotka zerknął na butelkę i znowu ją napełniał szklaneczki.

— Dawniej dzieci insze bywali — pokiwał smętnie głową — a teraz każde tylko o swoje dobro jest dbające. Smutną masz pani starość, pani Małgorzato!

Stara zachnęła się:

— Niby czego? Powiedziała, nie mówić mi źle o Renie, panie Sierotka. Tyle mamy, co Rena zarobi.

— Prędka pani jesteś i takom do śmierci zostaniesz. Że zarabia nie mówię nic, ale sęk w tem, że mało zarabia. Gdyby ja był taki młody i ładny, jak nie przymierzając pani córeczka, tobym znakiem tego, bez obrazy, w inszej dzielnicy miasta mieszkał i w jednej izdebce z sobą matki bym nie trzymał.

Oskar Garda zbudził się ze swego zamyślenia i spojrzął z pogardą na szewca.

Łaskiej kręciło się już w głowie. Pochyliła się konfidencyjnie ku zgromadzonym.

— To wam powiem, że jest tu taki jeden, co poza Reną świata nie widzi. Był tu raz u mnie i mówił, że ją kocha, żebym jej wyperswadowała, by była mądra. Żenić się nie może. Nie mówił dlaczego, tylko że tajemnica, ale Renie opiekę chce dać i pracować by jej nie pozwolił. Przetłumacz pani córce, mówił, a do śmierci ci niczego nie będzie brakować i nie tu pani będziesz mieszkać. Bardzo honorowy pan. Widać że z lepszych.

— No i co, pani Łaska? No i co?

— I... tam! Słuchać nie chciała nawet. Wykrzyczała mnie jeszcze!

— Słyszeliście ludzie! — ze zgorzeniem stwierdził Sierotka.

Oskar Garda odsunął nagle krzesło z hałasem.

— Niech was diabli wezmą! Noga tu moja więcej nie postanie! Mam was dosyć! Wstyd, pani Łaska! Kuplerka<sup>(1)</sup> pani jesteś, czy co, żebyś własną córkę panom stręczyła? Tfu, do licha.

Zirytowany był tak bardzo, że aż na bladą twarz wystąpiły rumieńce i byłby z pewnością wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, gdyby przytomny pan Wincenty i Majcherek nie rzucili się ku niemu i nie chwycili go za poły marynarki.

Szewc wpadł na zbawczy pomysł. Ponieważ butelka świeciła już pustym dnem, począł zaklinać Gardę, by został, bo zaraz nowa zdarzy się na stole.

Przerażona Łaska wysupłała ostatnie pieniądze i wręczyła Majcherkowi.

Zwolniony więzień wybiegł szybko po wódkę, podczas gdy szewcowi udało się z powrotem posadzić Oskara na krześle.

Majcherek gorliwie spełnił swój obowiązek i zjawił się z nową butelką.

W panią Małgorzatę, jakby wstąpiły nowe siły.

Sierotka z wielką wprawą wybił korek z butelki jednym uderzeniem w dno i nalał mikadka.

Wypili duszkiem. Łaska zupełnie już pijana usiadła niepewnie na krześle i wybuchnęła ni stąd, ni zowąd śmiechem.

Szewc był niewyczerpany w swej pomysłowości.

— Uspokój się pani! Pan Garda nam teraz zaśpiewa!

— Nie, nie będę śpiewał!

— Zaśpiewaj pan! — zachęcał doliniarz<sup>(2)</sup>.

— Niema sensu, usłyszycie mnie niedługo na scenie.

— Zróbże pan tę przyjemność, kiedy prosimy.

— Nie jestem dzisiaj przy głosie.

— Znakiem tego pan kłamiesz, czyli nieprawdę mówisz. Zawsze pan jesteś przy głosie, tylko dla panów we frakach tobyś śpiewał, a proletariatem gardzisz.

— Jakże gardzę? Piję przecież z wami!

— Pić insza rzecz, a śpiewać insza. Pić można z każdym. Monopol jest dla wszystkich.

Prosimi go tak bardzo i skłonili półprzytomną Łaską, by również prosiła, że wreszcie uległ.

Wincenty Sierotka zatarł ręce i usiadł przy stole, po czym nakazał milczenie Łaskiej

Oskar Garda wstał i oparł się o krzesło. Dobył chustki i otarł nią usta. Któż wie, co myślał w tej chwili? Może mu się zdawało w zamroczonym mózgu, że znajduje się właśnie w koncertowej sali i że słyszy witający go grzmot oklasków, pochylił bowiem głowę, jakby kłaniał się z estrady.

Przybrał odpowiednią pozę, zaczerpnął tchu i przepitym głosem jął śpiewać arię toreadora z *Carmen*<sup>(3)</sup>.

Nie był to już głos, lecz jego strzępy ochryple i poszarpane, a w tonach pieśni toreadora można było wyczuć jedynie dawną rutynę.

Słuchali w milczeniu, aż stało się coś zupełnie niespodziewanego.

Śpiew załamał się nagle. Garda urwał w pół tonu i ciężko opadł na krzesło.

Oparł się na rękach, zakrywając nimi twarz i zgiętą jego postacią zatargał szloch.

Tamci jednak nic nie rozumieli. Siedzieli przez chwilę bez ruchu i patrzyli na niego, aż gdy pojęli, że ten dumny, pogardliwie traktujący ich, siwy pan płacze i zanoszą się łkaniem jak dziecko, porwali się, by go pocieszyć i uspokoić.

Minęła długa chwila zanim się uciszył.

— Dajcie mi wódki! — rzekł rozkazującym tonem.

Wypił duszkiem, po czym nagłym ruchem wyrzwał szkłem o ziemię, aż rozbiło się na drobne kawałki.

Zapanowało długie milczenie.

Majcherek uważał, że trzeba już iść, jednakże szewc chciał rozproszyć ponury nastrój, jaki zapanował pod koniec libacji.

— Majcherek! — zwrócił się do przestępcy. — Zagrałbyś coś na harmonii. Będzie weselej.

— Instrumentu nie mam.

— Skocz do mnie, weź moją!

Usłuchał i zjawił się z harmonią.

Usiadł na krześle, zakładając nogę na nogę, oparł harmonię na kolanie, po czym odchrząknął i jął śpiewać, akompaniując.

*Moi panowie, tylko dwa słowa  
o strasznej zbrodni pozwólcie rzec,  
a uczyniła ją Gorgonowa<sup>(4)</sup>,  
co małą Lusię zabiła precz.*

\* \* \*

Rena tego wieczoru wracała późno do domu. Byli razem z Januszem w kinie, po czym młody człowiek odprowadził ją do placu, na którym zawsze się żegnali.

Tym razem ponowił swą prośbę, by pozwoliła mu odprowadzić się pod sam dom. Rena jednak odpowiedziała mu stanowczo, by nie poruszał więcej tego tematu, jeżeli chce, by żyli w zgodzie.

Janusz nie pytał o nic więcej i pożegnał Renę, która zniknęła w tej samej, co zawsze, ciemnej uliczce.

Przez chwilę Janusza ogarnął niepokój o dziewczynę. Ta dzielnica miasta nigdy nie była bezpieczna. Uświadamiał to sobie, ilekroć ją odprowadzał. Tym razem ogarnęło go jakby przecucie, że Renę może spotkać coś złego, że może ją zaczepić jakiś pijak, których nigdy nie brakowało w tej okolicy małych zakazanych szynczków.

Młody człowiek zrobił już nawet kilka kroków w stronę ulicy, w której zniknęła dziewczyna, lecz naraz powstrzymał się i przystanął.

Rena stanowczo i nawet dość szorstko odpowiedziała mu przed chwilą na jego prośbę o pozwolenie odprowadzenia jej przed sam dom. Nie było to zresztą pierwszy ani ostatni raz... Gdyby teraz poszedł w ślad za dziewczyną i dogonił ją jeszcze, byłby z pewnością spotkał się z niechęcią i z gniewem z jej strony. Mogłaby sądzić, że ją śledzi i że usiłuje przeniknąć tajemnicę, której dotychczas nie chciała mu jeszcze powierzyć.

Przystanął więc i spojrzał jedynie raz jeszcze na ciemną szyję uliczki, w której zniknęła jego ukochana, po czym nacisnął nieco bardziej na czoło kapelusz i powłókł się powoli w stronę śródmieścia.

Nie chciał się przyznać przed sobą, że tajemnicze zachowanie Reny poczęło mu ciążyć coraz bardziej, tym więcej, im więcej jasno i wyraźnie zdawał sobie sprawę, że kocha tę śliczną miedzianowłosą dziewczynę, że w jego życiu i myślach zajmuje ona coraz więcej miejsca, że nie może sobie wprost bez niej wyobrazić ani jednego dnia. Ta tajemnica Reny, to ukrywanie przed nim swych spraw rodzinnych, to konspirowanie przed nim adresu, pod którym mieszkała,

poczynano go coraz więcej drażnić i niepokoić i było w tej chwili jedyną ciemną chmurką na horyzoncie jego narastającego uczucia.

Rena tymczasem szła do domu szybkim elastycznym krokiem.

Odczuwała wyrzuty sumienia, przyrzekła bowiem matce, że wróci zaraz po pracy, ponieważ staruszka uskarżała się przed nią na samotność. Tymczasem Janusz, który po Renę wyszedł pod magazyn, był w świetnym humorze, promieniał szczęściem i radością życia i taki był miły, że kiedy zaproponował jej pójście do kina na jakiś zupełnie niezwykły (mimo sezonu letniego) obraz – nie mogła mu odmówić i sobie również nie mogła odmówić tego kina.

Niosła matce dobrą nowinę. Była dziś przy pieniądzech. Szalski dotrzymał słowa i właśnie dziś po raz pierwszy otrzymała swą dwutygodniową pensję – większą, niż zazwyczaj. Podwyżka była wprawdzie niewielka, ale w każdym razie w jej szczupłym budżecie, w którym końca z końcem nie można było związać, stanowiła pozycję nie do pogardzenia.

Gdy zadzwoniła do bramy domu czekała długą chwilę nim wreszcie dało się słyszeć po drugiej stronie bramy człapanie pantofli i zazgrzytał klucz obrócony w zamku.

Brama otworzyła się i ukazała się w niej chytra twarz dozorca domu, którego Rena nie cierpiała i nie znosiła.

Gdy wręczała mu pieniądze za otwarcie bramy, dozorca domu o lisiej, obleśnej twarzy, mrugnął do niej, przymykając lewe oko i ozwał się złośliwie:

— U pani dziś wesoło!

— Wesoło?...

Rena drgnęła i przybladła nagle.

— A jakże! Zabawa! Pani mama wstawę urządza — sycił się wrażeniem, jakie na niej robiły jego słowa. — Majcherek już po drugą butelkę do Jędraszkowej latał.

Rena nie słuchała już dalej dozorca domu, lecz ruszyła naprzód w głąb ciemnego podwórza.

— Już wiem wszystko! Niech pan nie mówi!

O tym, że matka Reny lubi zaglądać do butelki i bardzo często przebiera w tym miarę, wiedzieli prawie wszyscy w wielkiej kamienicy o trzech podwórzach, lecz nikogo to ani dziwiło, ani gorszyło.

Bo któż mógł się tym gorszyć? Czy lumpenproletariat, który zamieszkiwał brudne, ponure izby, sam często zaglądał do kieliszka i w pogardzie miał wszystkich, którzy tego nie czynili. Czy te kilka solidniejszych rodzin robotniczych, którym los kazał mieszkać w tej zakazanej dzielnicy, w owym domu, będącym ściekiem występku, nędzy, rozpusty i wszelakiego fizycznego i moralnego brudu? Czy meliniarze i paserzy oraz przestępcy wszelkiego rodzaju, którzy każdą większą robotę oblewali tryumfalną libacją?

Rena jednak wstydziła się przed całym światem nieszczęsnego nałogu, w jaki popadła jej matka, wstydziła się go nawet przed lokatorami wielkiego domu o trzech podwórzach, choć dobrze wiedziała, co są warci, wstydziła się nawet przed owym dozorcą, który jej nie lubił, a którego nienawidziła instynktownie, wstydziła się przed samą sobą i, jak mogła, kryła się ze swą hańbą.

W mieszkaniu Łaskiej wśród powszechnego zachwyty, w którym tylko Oskar Garda nie brał udziału – Majcherek kończył właśnie śpiewać uliczną pieśń o Gorgonowej.

Drzwi mieszkania otworzyły się nagle i stanęła w nich Rena.

Była biała jak ściana, usta miała zaciśnięte, by powstrzymać i opanować nerwowe drżenie warg.

Na jej widok Majcherek umilkł i przestał grać na harmonii. Stara Łaska wlepiła nieprzytomny wzrok w drzwi i poczęła pijacko mrugać oczami. Oskar Garda, mimo że kręciło



mu się dobrze w głowie, wstał zgodnie z zasadami dobrego tonu, o którym nie zapominał nigdy, nawet gdy był nietrzeźwy.

Jedynie Wincenty Sierotka siedział bez ruchu tak, jak był zasłuchany w słowa pięknej pieśni, manifestując swym zachowaniem obojętność wobec pojawienia się Reny.

Dziewczyna jednym rzutem oka objęła stół, na którym stały dwie butelki, jedna opróżniona całkowicie, druga do połowy, resztki jedzenia na talerzach i mikadka świeżo właśnie napełnione wódką.

Postąpiła kilka kroków naprzód.

— Mamo, co to znaczy? — zapytała ostro.

Staruszka usiłowała się podnieść, lecz zabrakło jej sił.

— A to ty, córeczko? Późno przyszłaś. Bardzo późno!... — bełkotała, bo alkohol plątał jej język. — A my tu, czekając na ciebie, zrobiliśmy sobie małą przyjemność.

Rena otworzyła drzwi i wskazała je ręką trzem mężczyznom.

— Wynoście się! — rozkazała krótko.

— Panno Reno!... — zaczął Oskar Garda, któremu poczęła wracać przytomność i na którego wódka najmniejszy wpływ wywarła.

Rena jednak nie dała mu skończyć i obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

— Po panu jednym tego się nie spodziewałam. Niech pan spojrzy! Mama jest znowu zupełnie pijana!...

Potem powtórzyła łamiącym się już głosem:

— Wynoście się! Słyszycie!...

Sierotka rozparł się jeszcze bardziej w krzesło i ruszył ramionami.

— A cóż to panna po nocy przychodzisz i matce, i nam zabawę psujesz? Pani Łaska! — zwrócił się do starej — córeczka gości pani obraża i za drzwi ich wyrzuca, a pani na to milczy?

Stara Łaska wpadła w swój zwykły nastrój, który zazwyczaj kończył każde pijaństwo. Pobudziły ją do tego słowa szewca.

— Reno! — poczęła wołać ochryplym głosem, wymachując ręką i bijąc pięścią w stół. — Nie masz prawa! Słyszysz! Nie masz prawa! Włóczyysz się po nocach i późno do domu wracasz, a matce wszystkiego żałujesz.

— Mamo! — próbowała zmiękczyć ją Rena.

— Jesteś dziewczyną bez serca. Każesz mieszkać matce w tej norze i każdej przyjemności jej żałujesz. Inna inaczej by o matkę dbała. Urodę ci po sobie dałam i wychowałam się po to, by mieć spokojną starość, a ty...

Szewc przysłuchiwał się z zadowoleniem tej tyradzie, jednakże Garda huknął pięścią w stół, aż zadźwięczały szyby.

— Milczec, pani Łaska! Nie maltretować dziewczyny.

Pani Małgorzata zawsze się bała trochę i odczuwała niczym niewytłumaczony lęk przed artystą. I tym razem umilkła i spojrzała na niego zdumionym wzrokiem.

Garda zbliżył się do Reny, po której twarzy spływały łzy.

— Przepraszam panią bardzo! — rzekł już zupełnie przytomnie. — Jestem stary dureń, że pozwoliłem na to i sam w tym udział brałem. No, niech pani nie płacze — nieśmiało pogłaskał ją po ramieniu — zaraz zrobię z tym wszystkim porządek.

Zwrócił się do Majcherka:

— Słuchaj, człowieku! Jesteś kryminalista, ale chłopak zupełnie do rzeczy. Napileś się wódki i zjadłeś dobrą kolację, a teraz zjeżdżaj mi stąd i zabieraj tego głupiego szewca, na którego patrzeć nie mogę. Panie Sierotka, ani słowa! Nie lubię, jak mi się ktoś sprzeciwia. Butelkę z resztą wódki pod pachę i marsz!

Gdy zostali sami, Garda podszedł do płaczącej wciąż Reny i począł ją uspokajać.

Teraz pomogę pani doprowadzić to wszystko do jakiego takiego porządku, pani zaś niech stara się matkę położyć spać.

Okazało się jednak, że o tym nie może być mowy. Stara Łaska poczęła nucić jakieś piosenki i oświadczyła, że nie wróci do domu aż rano i że zupełnie nie zamierza pójść spać, ponieważ jest w dobrym humorze.

Rena spojrzała z rozpaczą na byłego śpiewaka.

— To się nie skończy tak prędko. Znam pijackie narowy matki. O, Boże! Czemu nie przyszedłam wcześniej do domu.

Oskar przygarbił się jeszcze bardziej.

— Zaproponowałbym coś pani. Jest już późno, a pani ma iść rano do pracy.

Jął grzebać w kieszeniach swego ubrania.

— Chcę pani zaproponować, żeby pani poszła do mego pokoju na górze i tam się przespała.

— To niemożliwe.

— Dlaczego? Jestem starym kompletnym idiotą, ale tym razem naprawdę pani dobrze radzę. Jakże pani jutro pójdzie do magazynu? trzeba wypocząć przynajmniej kilka godzin.

— A mama?

— Z pani matką ja tutaj zostanę. Niechże pani bierze klucz i idzie. Skromnie i biednie u mnie, ale przespać się można.

Mówił i prosił tak serdecznie, że wreszcie wzięła klucz.

— Dziękuję panu! — uśmiechnęła się do niego, ocierając łzy. — Jest pan bardzo dobrym człowiekiem.

— Jestem starym łotrem, że nie wyrzuciłem stąd Sierotki zaraz, gdy przyszedłem. To moja wina, ale źle mi było i ciężko w samotności. No, niech pani już idzie. Czy chce mi pani coś jeszcze powiedzieć?

Zawahała się:

— To może dziwne, że pana o to teraz zapytam, ale właśnie teraz przyszło mi to znowu na myśl.

— Cóż takiego znowu?

— Chciałam zapytać, czy pan nie jest krewnym pana Janusza Gardy?

Stary śpiewak na chwilę zaniemówił. Wreszcie odezwał się takim tonem, jakby nie dosłyszał dobrze pytania.

— O kim pani mówi? Z kim mam być spokrewniony?

— Z Januszem Gardą. To jest syn prokuratora, tego głośnego Gardy.

Przez twarz Oskara przebiegł szybki skurcz. Opanował się jednak i odpowiedział obojętnym tonem:

— Nie, skądże znowu! Pierwszy raz słyszę o tym człowieku, choć o ojcu jego czytałem nieraz w gazetach z okazji procesów, w których oskarżał. To jakaś zupełnie inna rodzina i łączy nas tylko podobieństwo nazwisk.

Rena skinęła głową.

— A ja nie wiem dlaczego myślałam, że istnieje między panem, a nimi jakieś pokrewieństwo.

— Nic podobnego! — powtórzył drugi raz Garda, wkładając ręce do kieszeni i wciskając głowę w ramiona. — Nie ma żadnego pokrewieństwa! Absolutnie żadnego! Czy ten Janusz Garda, to znajomy pani?

— Tak, to mój znajomy.

Potarł dłonią siwiejące włosy i zapytał z nagłym niepokojem:

— Przypuszczam, że nic pani nie mówiła o mnie tym panom?

— Nie! — odrzekła zdziwiona jego niepokojem. — Nie mówiłam nic. Znam zresztą osobiście tylko Janusza Gardę. Prokuratora tylko z widzenia.

— To dobrze! — powtórzył zamyślony, jednakże z widoczną ulgą. — Mam do pani prośbę, panno Reno. Choć to całkiem obcy ludzie, niech pani nie mówi temu Januszowi Gardzie, że pani mnie zna, że tu mieszkam. No, ale teraz niech już pani stanowczo idzie.

Garda wyprowadził dziewczynę na schody i wrócił do izby. Przeszedł się kilka razy po pokoju i spojrzał na starą Łaską, drzemającą nad stołem.

— Tak jest! — mruczał. — Prokurator Garda, to zupełnie inna rodzina! Nie istnieje między nami żadne pokrewieństwo, żadne! żadne!...

---

<sup>(1)</sup> kuplerka – kobieta ułatwiająca innej osobie uprawianie prostytucji.

<sup>(2)</sup> doliniarz – złodziej kieszonkowy.

<sup>(3)</sup> *Carmen* – opera Georges’a Bizeta z librettem Henri Meilhaca i Ludovica Halévy’ego, opartym na noweli Prospera Mériméego.

<sup>(4)</sup> Rita Gorgonowa – guwernantka, skazana w jednym z najgłośniejszych procesów Polski międzywojennej XX w. za zabójstwo 30 grudnia 1931 Elżbiety (Lusi) Zaremby, córki lwowskiego architekta Henryka Zaremby, któremu prowadziła dom. Zabójstwo, a następnie proces poszlakowy były szeroko komentowane i uznane za najgłośniejszy proces sądowy II Rzeczypospolitej.

## ROZDZIAŁ VII

Był dzień gorący i skwarny, mimo to od spokojnych fal Wisły szedł chłód miły i orzeźwiający.

Rena i Janusz płynęli kajakiem, wiosłując zawzięcie.

I tu, na Wiśle, pragnęli być sami, pragnęli ukryć się przed oczyma wszystkich, ukryć się ze swą miłością, by cieszyć się jedynie sobą.

Toteż wymyśleli liczne łodzie i kajaki, od których roiła się rzeka i odpłynęli daleko, radzi swej samotności.

Dla Reny była to olbrzymia przyjemność, na którą cieszyła się już na wiele dni przed niedzielą. Nie umiała wprawdzie wiosłować, ale, jak przewidywał Janusz, okazała się zdolną uczennicą i po krótkiej próbie dawała sobie zupełnie dobrze radę z kajakowym wiosłem.

Janusz Garda baczył jednak, by jego piękna towarzyszka nie zmęczyła się zbyt, toteż, gdy ujrzał niski zielony brzeg, którego zarośla jakby zapraszały do słodkiej południowej sjeisty, odwrócił głowę do Reny i zapytał, nie przerywając wiosłowania:

— Zmęczyła się pani?

— Gdzie tam! — uśmiechnęła się rozbawiona. — Wiosło lekkie, wcale go nie czuję.

— Może wylądujemy. O, tu, panno Reno! Wymarzone po prostu miejsce, by...

— By co?...

— By zjeść dobrze zasłużone drugie śniadanie. Przypuszczam, że nie zgubiła pani naszych zapasów, przyznam się bowiem, że jestem wściekle głodny.

— Ja także! — zaśmiała się.

— A więc przybijemy do brzegu. Proszę sobie wyobrazić, że jesteśmy rozbitkami, którzy odkryli nowy ląd...

— Nie, to ja odkryłam nowy ląd! Ja sama — upierała się dziecinnie, zawzięcie manewrując wiosłem.

— Doskonale! Gdy odkryje się nowy ląd, należy z całych sił zawołać *Ziemia!*

— Ziemia! Ziemia! — zawołała rozbawiona dziewczyna. — No, już wołam, a co dalej?...

— Teraz kierujemy łódź do nowo odkrytego lądu.

Odłożyła wiosła i niespodziewanie opryskała go wodą, śmiejąc się przy tym jak dziecko.

Jakże daleko poza nią był wstrętny brudny dom o trzech podwórzach, cuchnących bardziej niż zazwyczaj w dni upalne, jakże daleko było to ohydne otoczenie, w którym przebywała, jakże daleko był szewc Wincenty Sierotka i niedawno wypuszczony z więzienia złodziej Majcherek – towarzysze ostatniego pijaństwa matki.

Wyszła na brzeg roześmiana i rozbawiona. Kostium kąpielowy uwypuklał kuszącą smukłość jej kształtów i Janusz nie mógł od niej oderwać wprost oczu. Cienki trykot kąpielowego stroju obnażał ją prawie zupełnie, podkreślając każdy szczegół jej wdzięcznej postaci, ponętę małych pełnych piersi, które rysowały się zuchwale pod kostiumem, oraz harmonijne łuki bioder i smukłych ud.

Gdy przycumowywał kajak do brzegu, by nie sprawił im figła i nie uciekł, ręce mu drżały i musiał użyć całej siły woli, by zapanować nad sobą, by nie odwrócić się i nie pochwycić w

ramiona dziewczyny, która pochylona nad nim, opierając mu lekko rękę na plecach, mówiła coś z ożywieniem, czego w tej chwili nie zrozumiał i na co nie umiał dać logicznej odpowiedzi.

Wreszcie cumowanie kajaka zostało szczęśliwie skończone. Janusz obrócił się ku Renie i objął ją spojrzeniem pociemniałych źrenic.

— Jak tu ładnie! — cieszyła się dziewczyna.

— Rozgościmy się tutaj w najlepsze! — mówił Janusz, który powoli odzyskiwał panowanie nad sobą. — Teraz przychodzi kolej na panią. Musi pani pokazać, co umie.

— Co takiego mam pokazać?

— O, roztrzepane stworzenie! Przecież skarżyła się pani przed chwilą, że jest głodna, a ja również nie jestem obojętny na rozkosze żołądka...

— Już wiem! Ale to pan skarżył się pierwszy, że jest głodny! Przyziemna istoto!...

Powędrowali do kajaka po zapasy, które pozostawały pod opieką Reny.

Leżeli teraz obok siebie, koło rozłożonych zapasów i jedli z tym apetytem, który jest przywilejem młodości.

— Niech pan sobie wyobrazi, panie Januszu — Mówiła Rena pełnymi ustami — że Kazia obraziła się trochę na mnie, że nie wzięłam jej na wycieczkę.

— O cóż się miała obrazić! — w głosie Janusza brzmiała, jakby odrobina niechęci. — To już trudno, kajak jest tylko dwuosobowy...

— Szkoda jednak, że nie zrobiło się jakoś tak, by zabrać ją z sobą... Ona jest jednak biedna, całą niedzielę spędzi sama...

— Weźmiemy ją innym razem! — odpowiedział wymijająco. — W tej chwili jesteśmy razem i dobrze nam z sobą.

— O, dobrze! — przyświadczyła z przekonaniem Rena.

Zmarszczyła łuki pięknych brwi, jakby namyślała się nad czymś. Janusz zaś objął znowu wzrokiem jej smukłą postać i poczuł znowu nieprzeparte pragnienie uchwycenia jej w objęcia.

Od chwili, kiedy się poznali, nie było między nimi nawet najmniejszego zbliżenia fizycznego. Całował ją w rękę na przywitanie i pożegnanie i to było wszystko.

Byli stale wśród ludzi i dopiero teraz po raz pierwszy znaleźli się z sobą naprawdę sam na sam, z dala od wszystkich, z dala od natrętnych spojrzeń.

Janusz przytulił się do dziewczyny i objął ją nieśmiałym delikatnym ruchem, otaczając ramieniem jej plecy.

Nie broniła mu tego, nie przerywała milczenia, które między nimi nastąpiło. Przytulona lekko do niego popatrzyła nań tylko głębokim spojrzeniem swych cudnych oczu.

— O czym pani myśli? — zapytał, pochylając głowę nad jej twarzyczką.

— Tu jest tak ładnie, spokojnie i dobrze, że po prostu serce mi się ściska, że za kilka godzin trzeba stąd wracać i znowu jutro rano zacząć monotonne życie, takie szare i bezbarwne. Znowu magazyn, zawistne koleżanki i kapryśne klientki, znowu dyrekcja, która myśli tylko o obniżkach płac i redukcjach personelu, znowu...

Urwała nagle. Chciała powiedzieć: znowu obleśne, ohydne mieszkanie w zakazanym domu na równie zakazanej ulicy, znowu niepokój, czy wracając do siebie, nie zastanie matki zupełnie pijanej w towarzystwie kryminalistów i ludzi upadłych... Tego jednak powiedzieć nie mogła.

Chcąc uniknąć jego pytań, dlaczego nie skończyła rozpoczętej myśli, zapytała prędko:

— A pan o czym myśli, panie Januszu.

Przytulił ją do siebie, jeszcze mocniej.

— O tym, że pani jest śliczna i że to bardzo śmieszne, że znamy się tak długo i jesteśmy z

sobą na *pan* i *pani*. Ciągłe *panie Januszu* i *panno Reno*.

— Ładnie długo się znamy!

— Łaskawa pani, to jest dwudziesty wiek! W epoce radia, samolotów ludzie również poznają się szybciej. No, zaczynamy naukę! Uważaj, Reno! Powtórz *Janusz*.

— *Janusz* — powtórzyła, spełniając jego życzenie.

— Doskonale! A teraz powiedz *Januszu*.

— *Januszu!* — uśmiechnęła się do niego swymi przepaścistymi oczyma.

— Jeszcze lepiej! A teraz musimy ustalić kary za omyłki.

— Kary bardzo surowe!

— Naturalnie! Karą za powiedzenie *pani* lub *pan* będzie pocałunek.

— Bardzo wygodna kara! Nie, panie Januszu... ja propo...

Co chciała zaproponować nie dowiedział się nigdy, Rena też nigdy nie dokończyła tego zdania, młody człowiek bowiem pochylił się nagle nad nią i uczuła na swych wargach jego gorące spragnione usta.

Włosy dziewczyny musnęły jego twarz, budząc w nim dreszcz rozkoszy.

Pocałunek trwał długo. Chciała odwrócić głowę, chciała odepchnąć go od siebie, on jednak trzymał ją silnie w uścisku młodych ramion, pijąc słodycz z jej warg zrazu opornych, które po chwili jednak rozchyliły się jak kielich kwiatu.

— Co... pan... robi?... Co robisz, Januszu?...

Oderwał usta od jej ust i jął pokrywać pocałunkami jej policzki, oczy, czoło i rozwichrzzone włosy.

— Reno!... Droga... jedyna Reno!...

Tulił do siebie jej ciało, które czuł blisko tuż przy sobie coraz bardziej bezwolne i mniej odporne.

— Reno!...

— Januszu!...

Piersi jej falowały szybkim, mocnym oddechem. Ogarnął ją słodki nieznany bezwład i osłabienie. Wola jej była sparaliżowana. Coraz bardziej garnęła się ku niemu, a gdy po raz drugi uczuła jego wargi na swoich, odpowiedziała na pocałunek pocałunkiem nagle zrodzonej namiętności.

Z białego ramienia zsunęło się ramiączko kostiumu. Błysnęła mała, krągła pierś.

Zanim zdołała się cofnąć, zanim zdołała nasunąć z powrotem niesforne ramiączko, przygarnął ją ku sobie i usta jego spadły chciwie na słodką wypukłość.

Ocknęła się niespodziewanym przyplywem woli i nagłym ruchem odepchnęła jego głowę.

— Nie!... Nie!... Januszu, błagam!... Nie tutaj!... Nie teraz!...

W głosie jej brzmiały łzy, gdy z głową przechyloną, z rumieńcem, który palił jej twarz, z rozwianymi włosami, drżąc cała, szybko nasuwała na siebie ściągnięty kostium kąpielowy.

— Reno! Kochana moja Reno! Reno, powiedz... kochasz mnie?

Zarzuciła mu na szyję nagie ramiona i oddała pocałunek.

— Kocham!... Bardzo... bardzo kocham!... — szeptała coraz ciszej, po czym dodała ledwo dosłyszalnie: — I dlatego właśnie jestem taka nieszczęśliwa...

— Nieszczęśliwa?...

— Tak!

— Mała, głupiutka Rena! — głąskał jej zburzone miedziane włosy. — Jeżeli kochasz, powinnaś być szczęśliwa, bo i ja kocham cię bardzo. Zostaniesz moją żoną, najdroższa przestaniesz chodzić do tej wstrętnej „budy” i będziemy całe życie razem...

Potrząsnęła przecząco głową.

— To bardzo piękne i może byłoby dobre, ale to przecież niemożliwe... Jesteś młodym człowiekiem, który dopiero wchodzi w świat, a ja jestem biedną ekspedientką, która nie ma nic, dosłownie nic, prócz urody...

— Cóż z tego? Czy trzeba więcej bogactw ponad urodę i uczciwość?

Przytuliła się do jego ramienia.

— Wiem, że tak myślisz i czujesz. Ale co powie twoja rodzina na małżeństwo z dziewczyną z magazynu?...

— Nie mam bliższej rodziny, poza ojcem...

— Czy jesteś pewny, że nie będzie miał nic przeciw twym zamiarom?

— Jestem o to spokojny, Reno.

Ucałował jej usta, lecz nie mówił w tej chwili prawdy. Nie był o to spokojny i miał wielkie obawy, jakie stanowisko zajmie ojciec wobec jego projektów życiowych, tym bardziej że był jeszcze od niego częściowo zależny materialnie.

Jakby chcąc uspokoić samego siebie, zaczął tłumaczyć Renie:

— Mój ojciec jest surowym człowiekiem i ciągle siedzenie wśród paragrafów i formuł prawniczych nadało mu pewną oschłość postępowania, której jednak nie można utożsamiać z brakiem serca. Dziś jeszcze z nim pomówię i zobaczysz, że będzie wszystko dobrze...

Spojrzała na niego, otworzyła już usta, by coś powiedzieć i wstrzymała się nagle.

— Chciałaś coś powiedzieć, malutka?

— Tak!... Właśnie nie wiem, jak to zrobić... Bo widzisz, w moim życiu jest pewna tajemnica. Kryję się z nią przed wszystkimi i... Nie! Nie mogę ci powiedzieć!

— To dobrze... Powiesz mi o tym i powierzysz mi tę tajemnicę, gdy zechcesz — rzekł, ukrywając niepokój.

— Ale ja się boję, że to stanie się przeszkodą w naszym wspólnym życiu. Jeżeli nie dla ciebie, to dla twego ojca.

Przygarnął ją do siebie.

— Powiedz, kochasz mnie?

— Bardzo! Ja cię już od bardzo dawna Kocham.

— Od jak dawna?

— Kocham cię od czasu, kiedy po raz pierwszy ujrzałam cię w magazynie. Kochałam cię już wtedy, gdy wybierałeś tak długo rękawiczki i gdy Szalski zrobił mi awanturę.

Janusz uśmiechnął się, gładząc ręką jej ramię, jednakże rozmowa urwała się nagle, jakby ze słowem *Szalski* stanął między nimi jakiś cień.

Młodemu człowiekowi przyszły znowu na myśl słowa Kazi i począł się zastanawiać, czy tajemnica, o której nie chciała z nim Rena mówić, nie była związana właśnie z osobą Szalskiego.

Słońce schowało się za chmury, które zwiastowały nadciągającą burzę. Od Wisły powiał zimny wiatr.

Janusz wstał.

— Czas wracać! — rzekł do Reny obojętnym, rzeczowym tonem. — Zdążymy jeszcze przed burzą.

Stanęła obok niego i przytuliła się doń raz jeszcze, drżąc nie wiadomo, czy pod wpływem coraz chłodniejszych podmuchów wiatru, czy też pod wpływem wzruszenia.

— Powiedz mi, Januszu — prosiła — że wszystko będzie dobrze, że nic nas nie rozdzieli. Chcę słyszeć to z ust twoich.

## ROZDZIAŁ VIII

Po odprowadzeniu Reny na zwykłe miejsce, gdzie się za każdym razem żegnali, wracał Janusz do domu, śpiesząc się tym razem bardziej niż zwykle.

Gnało go coś, by jak najprędzej zakomunikować ojcu swą decyzję i by uzyskać jego zgodę. Nie lękał się, że nie natrafi na zastrzeżenia, nie taił przed sobą tego, co zataił i ukrył przed Reną, iż wątpił bardzo, czy prokurator Garda będzie zachwycony jego postanowieniem.

Stosunki jego z ojcem były zawsze dość dalekie. Prokurator po śmierci ukochanej żony, która mimo olbrzymich wysiłków znakomitych lekarzy zgasła na gruźlicę, gdy Janusz był jeszcze młodym chłopcem, zamknął się w sobie, równie niedostępny dla tych, którzy zjawiali się w jego kancelarii, jak i dla syna.

W miarę jak Janusz dorastał i jak prokurator Garda posuwał się w latach, stosunki ich zamiast stawać się bliższymi, stawały się coraz dalsze.

Prokurator Garda dbał bardzo o to, by zachowanie jego w każdej sytuacji życiowej było jak najbardziej poprawne, dbał również, by poprawny był jego stosunek wobec syna. To było wszystko.

Obecnie miał Janusz odbyć z ojcem rozmowę, która obustronnie wkraczała w dziedzinę uczuć. Prokuratorowi, mimo całej obojętności wobec spraw życiowych syna, nie mogło być obojętne, kto będzie żoną Janusza, ponieważ kobieta ta miałaby nosić nazwisko prokuratora Gardy i miałaby być jego synową.

Przy tym Janusz był w dużej mierze zależny od ojca finansowo. Niedawno ukończył studia prawnicze i aplikantura u znanego w stolicy obrońcy nie przynosiła mu tyle, by mógł swe sprawy życiowe układać samodzielnie.

Prokurator był w domu. Siedział w swoim pokoju ubrany w szlafrok i czytał, wgłębiając się w ulubiony fotel, przy świetle małej, osłoniętej abażurem lampki.

Na pukanie syna odpowiedział krótkim *proszę*, wypowiedzianym tym samym tonem, jakim wzywał interesantów do swego biura.

Odłożył książkę, przetaił chustką okulary, po czym nasunął je z powrotem i spojrzał badawczo na Janusza.

Był znakomitym psychologiem i od pierwszej chwili poznał, że coś się stało i że syn przychodzi, by pomówić z nim o ważnej zasadniczej sprawie.

— Siadaj! Chcesz ze mną o czymś ważnym pomówić!

Janusza nie po raz pierwszy wprowadziła w zdumienie intuicja ojca.

— Przyszedłem z tobą istotnie pomówić w sprawie bardzo ważnej.

— Tak też od razu przypuszczałem. Zapal duże światło i podaj mi cygara. Stoją tam, na kominku. Tak!... A teraz możesz mówić.

— Chciałem ci tylko powiedzieć, że postanowiłem się ożenić.

Prokurator Garda poświęcał swą całą uwagę równemu obcięciu cygara. Wreszcie skończył tę czynność i ozwał się ze skinieniem głowy.

— To bardzo pięknie! Małżeństwo nakłada na młodego człowieka nowe obowiązki i budzi poczucie większej odpowiedzialności życiowej.



— Przypuszczam ojcze, że osoba mojej żony nie będzie ci obojętna.

— Właśnie! Właśnie! Ponieważ mówisz mi o swoim małżeństwie, przypuszczam, że zakomunikujesz mi także, kim jest twoja wybrana. Nie mówiłeś mi dotąd, że jesteś kimś zajęty. Zresztą twe myśli i uczucia należą do ciebie, nie myślę się w nie mieszać.

Następowała decydująca chwila. Janusz z uwagą dobierał wyrazów.

— Przypuszczam, że znasz dziewczynę, którą kocham. Widziałeś mnie kiedyś, gdy szedłem z nią do kawiarni *Europejskiej*.

— Szedłeś wówczas w towarzystwie dwu kobiet. Która to z nich?...

— To jest ta wyższa i szczuplejsza. Panna Rena Łaska.

Prokurator Garda pochylił się w fotelu.

— Panna Łaska? — rzekł przyciszonym głosem, a świszczący ton tego szeptu był bardzo niemiły. — Poczekaj, Januszu, zdaje mi się, że sobie coś przypominam. Pytałem cię o to wtedy, kim były te dwie młode kobiety. Ona jest, zdaje się, ekspedientką.

Janusz potwierdził ruchem głowy.

— Jest ubogą, lecz uczciwą dziewczyną.

— Hm! Chcesz się więc żenić z ekspedientką — powtórzył prokurator, przeciągając i akcentując wyraźnie ostatnie słowo, po czym włożył znowu w usta cygaro, które rozjarzyło się czerwonym krążkiem.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że grozi mi popełnienie mezaliansu? Obawiam się, że to spóźniona teoria.

— Masz rację! Nie ma już teraz mezaliansów, o ile chodzi o różnice rodowe, o herby i tytuły. Jednakże zawsze istnieją i będą istnieć mezaliansy innego rodzaju. Te, które wytwarza różnica społeczna, te, które wytwarza różnica poziomów kulturalnych i intelektualnych, te wreszcie, które rodzą się z różnicy poziomów moralności i uczciwości. Dlaczego mówisz mi o twym zamiarze?

— Dlatego, że dzisiaj wyznaliśmy sobie miłość i postanowiliśmy pójść przez życie razem.

Prokurator Garda uśmiechnął się.

— *Razem!*... To piękne i ważne słowo. A może byśmy do tego tematu podeszli z innej strony. Jeżeli ta dziewczyna ma jakieś pretensje do ciebie...

Garda uczynił ręką charakterystyczny gest płacenia.

— Sprawę tę można by załatwić jednorazowo pewną sumą, o ile naturalnie pretensje tej dziewczyny nie będą zbyt wygórowane.

Janusz zerwał się z miejsca, drżący z oburzenia.

— To jest podłość! Jak ojciec nawet może...

Starszy pan nie obraził się.

— Zupełnie nie rozumiem twego oburzenia. Wy młodzi macie krew gorącą i często określacie mianem podłości to, co wiek dojrzały nazywa po prostu rozważą. Ta dziewczyna nieco zbyt szybko i skwapliwie skorzystała z twojej oferty, by nie budziło to moich zastrzeżeń.

— Jestem bardzo szczęśliwy, że odwzajemniła mi moje uczucia. Mówisz ze mną tak, jakbyś zupełnie nie pamiętał, że ją kocham. Kocham naprawdę i szczerze.

— Gdybyśmy żenili się z każdą kobietą, której obiecujemy małżeństwo lub którą kochamy, na świecie zapanowałoby wielożeństwo. Tak jednak nie jest, Januszu. Kochasz tę dziewczynę, podoba ci się, to bardzo proste. Masz do tego prawo. Ale zaraz żenić się — to niepotrzebne.

— To jest wszystko, co masz mi do powiedzenia? — zapytał Janusz suchym, obojętnym tonem.

— Nie! To jeszcze nie wszystko! Skoro zaczęłeś ze mną rozmowę o tej dziewczynie musimy doprowadzić ją do końca. Zamiast oburzać się na mnie i mieć niesłuszny żal, powiedz mi lepiej, co ty wiesz o niej?

Było to pytanie proste i logiczne, a jednak Janusz zmieszał się.

Istotnie, cóż wiedział o Renie? Wiedział tylko tyle, że pracuje w magazynie Szalskiego, wiedział tylko tyle, że jest ładna i że podoba mu się, i że kocha ją ze wszystkich sił. Poza tym nie wiedział o niej nic.

Prokurator Garda dostrzegł to zmieszanie syna okiem starego inkwizytora.

— Chciałbym coś usłyszeć o niej — rzekł, poprawiając się w fotelu. — Gdzie mieszka? Kto są jej rodzice? Jakie są jej warunki życiowe? Przypuszczam, że zainteresowałeś się tym, skoro osoba owa ma zostać twoją żoną.

Młody człowiek był zupełnie zgnębiony.

Stary Garda, widząc pochyloną, zgiętą postać syna, ozwał się raz jeszcze:

— Nie odpowiadasz mi nic, Januszu?

— Ja nic o niej nie wiem! — wyrwało się z ust syna.

Brwi prokuratora uniosły się w górę z oznaką wielkiego zdziwienia.

— Jak to? Nic o niej nie wiesz? Gdzie ona mieszka?

— Niestety, nie mogę ci służyć adresem.

— Jak to? — zapytał raz jeszcze prokurator Garda tonem tego samego rzetelnego zdziwienia. — To ty nawet nie znasz jej adresu?

— Powiedziałem ci już, że nie znam. Czy to jest rzecz, która by mogła dyskwalifikować nasze uczucia?...

— Pozwól, Januszu! Pozwól! Dlaczego nie znasz jej adresu!

— Po prostu dlatego, że nie życzyła sobie tego — odpowiedział Janusz, zdając sobie sprawę, że ta szczerość jest po prostu zabójcza.

Garda pochylił się i zgasił z uwagą cygaro.

— Hm! — mruknął swoim zwyczajem domyślnym tonem. — To szczególnie.

Następnie wstał i podszedł do Janusza.

— Uspokój się, chłopcze — rzekł głosem, w którym czuć było silenie się na serdeczność. — Nie będę sprzeciwiał się twemu małżeństwu, skoro kochasz tę dziewczynę i jesteś przez nią istotnie kochany, ale stawiam jeden warunek.

— Możesz być pewny ojczy, że zgodzę się na każdy, który nie będzie przeszkadzał w spełnieniu mych marzeń.

Starszy pan dotknął lekko ręką jego ramienia.

— Czekaj! Nie obiecuj tak pochopnie! Wolałbym naturalnie, by twoja żona nie była ekspedientką. Zezwalam jednak na twoje małżeństwo pod warunkiem, iż przekonam się, że dziewczyna, którą kochasz jest uczciwą i solidną osobą. Jeżeli zaś nie... No, wówczas użyję wszelkich przysługujących mi środków, by cię odwieść od tego szaleństwa.

— Co masz zamiar uczynić?

— Nie obawiaj się. Jestem przecież prawnikiem i znam wartość dowodów. Gdybyś się jednak mylił w swych poglądach na tę dziewczynę i gdybym musiał zażądać od ciebie zerwania, postaram się wtedy dostarczyć ci niezbitych dowodów — takich, byś został przekonany.

Janusz wstał i podszedł do ojca.

— Jestem spokojny, że takich dowodów nie będziesz mógł mi dostarczyć. Rena jest uczciwą dziewczyną. Nie rozumiem poza tym, w jaki sposób chcesz to uczynić?

Prokurator Garda robił wrażenie szczerze rozbawionego.

— Bądź spokojny. Zapominasz, że mam w tych sprawach zawodowe doświadczenie.

Chcę po prostu zbadać te rzeczy, o których ty nie wiesz, chcę się przekonać, gdzie ta dziewczyna mieszka, w jakich mieszka warunkach, z jakiej pochodzi sfery i kim są jej rodzice. Bądź spokojny, mówię ci raz jeszcze, że zrobię wszystko z taktem i dyskrecją. Cóż, widzę, że nie jesteś zbytnio zadowolony? Czyżby już ogarniał cię niepokój?

— O, nie! — Janusz nerwowym ruchem przesunął ręką po włosach. — Twoje postanowienie sprawia mi jednak przykrość. To wstrętne takie szpiegowanie kogoś, kto jest mi bardzo drogi.

— To jest tylko rozsądne i celowe. Jednej tylko rzeczy muszę od ciebie żądać, że z chwilą, gdy powiem *nie* i umotywuje ci to w sposób dostateczny, temat ten będzie raz na zawsze wyczerpany i skończony.

— Ciągłe jednak zapominasz o jednym. O tym, że ja ją kocham.

— A więc nie chcesz dać mi zobowiązania, że zerwiesz ten stosunek, jeżeli panna Łaska nie okaże się ciebie warta?

— Można kochać czasem człowieka, który nie jest tego zupełnie wart — rzekł ponuro Janusz. — W sprawach uczuć żadne argumenty nie są wystarczające.

Ha, jeżeli tak, to obawiam się, że mój trud będzie daremny. Pamiętaj jednak Januszu, że w tym wypadku nie będziesz mógł liczyć na moje żadne względy, absolutnie żadne.

— Chcesz przez to powiedzieć, że odmówisz mi wówczas wszelkiej pomocy?

— Naturalnie, nie możesz wtedy liczyć na żadną moją pomoc materialną. Każdy, kto idzie w poprzek mojej woli, musi być na to przygotowany.

— O, tak! To zupełnie zrozumiałe! Postąpisz wtedy ze mną tak, jak ze stryjem Oskarem. Jego osoba była ci też niewygodna.

Prokurator Garda zbladł i stanął przed synem. Przez chwilę zdawało się, że wybuchnie gniewem i uniesie się, jednakże zapanował nad sobą i zmusił się do spokojnego tonu.

— Nie masz prawa roztrząsać mi sumienia i mieszać się do tych rzeczy. Sprawę twoją i tej dziewczyny zbadam, jak już ci obiecałem, i dam ci odpowiedź w najkrótszym czasie. A teraz idź i wyśpij się dobrze. Działasz pod wrażeniem. Jutro rano te sprawy może będą ci się inaczej przedstawiały. Jest przysłowie, które mówi, że ranek jest mądrzejszy od wieczoru.

— To jest wszystko, co w tej chwili możesz mi powiedzieć?

— Tak! Sądzę, że zupełnie jasno sprecyzowałem moje stanowisko.

— Nie pozostaje mi wobec tego nic innego, jak tylko życzyć ci dobrej nocy.

Prokurator Garda skinął głową.

— Dziękuję ci, Januszu. Sypiam zawsze jednakowo dobrze.

## ROZDZIAŁ IX

W Arturze Szalskim od szeregu dni wrzała głucha wściekłość, którą ukrywał pod maską tej samej dobrze udanej obojętności, z jaką zawsze starał się odnosić do wszelkich zjawisk życiowych oraz do ludzi, z jakimi miał do czynienia.

Nurtował w nim gniew od chwili, kiedy w restauracji ujrzał Renę w towarzystwie tego samego młodego człowieka, który do niedawna tak często zachodził do magazynu i przeciągał, jak mógł najdłużej, scenę kupna z piękną ekspedientką.

Szalski był typem człowieka, dla którego jedyną treścią życia były kobiety. W młodych latach poświęcił się handlowi, kierując swoje wszystkie ambicje na wybicie się i na zrobienie jak największych pieniędzy. Był to okres, kiedy rzucał się na najbardziej ryzykowne i czasem nawet niezbyt jasne interesy z całą drapieżnością swej zaborczej natury i szedł naprzód, roztracając ludzi, którzy stawali mu na drodze. Na drodze do pieniędzy, których chciał mieć dużo – jak najwięcej.

Pod tym względem dopisało mu szczęście. Miał teraz swych ukochanych pieniędzy, ile tylko pragnął. Pogoń za pieniądzem znużyła go z biegiem lat i przestała być dla niego atrakcją.

Wówczas jego nienasycona, ciągle żądna nowych wrażeń i nowych podbojów, prymitywnie despotyczna natura zwróciła się w innym kierunku i zainteresowała się czymś innym. Przedmiotem tego zainteresowania stały się kobiety.

Nigdy nie był jednak wybredny w swych podbojach i szedł drogą łatwą, wykorzystując tę sytuację, jaką mu dawało kierownicze stanowisko w magazynie, w którym pracowało około setki młodych i ładnych dziewcząt.

Większość z nich uważała i poczytywała sobie za zaszczyt, że Szalski – człowiek na stanowisku, zamożny, a przy tym elegancki i wytworny – zwrócił na tę czy tamtą uwagę. Każda z nich marzyła o tym, wierzyła naiwnie, że zdoła tego dokazać, że stanie się jedyną i ostatnią, że zdoła wzbudzić w nim uczucie, które utrwali ją na stanowisku oficjalnej przyjaciółki bogatego dyrektora, a w razie niezwykle sprzyjających okoliczności – kto wie? – może żony.

Wszystkie myliły się w swych rachubach, nigdy bowiem u Szalskiego nie grało roli serce, a zawsze zmysły i pożądanie.

Powodzenie i brak oporu uczyniły dyrektora magazynu niezmiernie pewnym siebie w tych sprawach, toteż zimna obojętność i brak zainteresowania, jakim odpowiedziała Rena na szereg wyróżnień, które ją od niego spotykały, napełniły go zrazu jedynie zdziwieniem.

Zdziwienie to szybko jednak zmieniło się w gniew i nieprzepartą chęć postawienia na swoim, gdy zupełnie niespodziewanie, w chwili, gdy postanowił, że na dobre zabierze się do dziewczyny, na drodze do niej stanął mu młody człowiek, który również sięgał po Renę, a co więcej miał najwidoczniej o wiele większe szanse w jej oczach.

Szalski zrobił krok, na jaki w zwykłych warunkach ze względu na własną godność nie byłby się ważył. Udał się do mieszkania Reny i tam przeprowadził rozmowę z jej matką. Świadomość, że ta tak bardzo mało przez niego znana, a tak piękna i pożądana dziewczyna może mu się wymknąć, że może należeć do innego, mąciła mu zmysły.

Rena wiedziała dobrze już teraz, że podoba się panu dyrektorowi. Matka mówiła jej o

wizycie Artura Szalskiego w obleśnym domu o trzech podwórzach.

Dziewczyna nie powiedziała nic o tym Januszowi. Nie chciała wtajemniczać go w te rzeczy, bo musiałyby równocześnie powiedzieć, kim jest jej matka.

Dziś Rena była szczególnie źle usposobiona. Rano, tak jak się umówili, Janusz wyszedł naprzeciw niej. Musiała przecież dowiedzieć się jak najrychlej, jak wypadła rozmowa z ojcem? Przez całą noc nie spała prawie zupełnie, wahając się między nadzieją i radością a najgłębszą rozpaczą.

Niewiele sobie mogli powiedzieć w czasie krótkiej drogi do domu towarowego. Janusz był bardzo oględny i mówił półsłówkami. Stwierdził, że ojciec ma pewne zastrzeżenia. Rena jednak zrozumiała doskonale, że rzeczy wyglądają poważniej i że ojciec Janusza po prostu sprzeciwia się bardzo energicznie ich małżeństwu.

Ogarnął ją lęk, czy Janusz nie załamie się pod naporem woli prokuratora. Był przecież tak młody i miał tak mało życiowego doświadczenia.

W takim była nastroju ducha, gdy polecono jej udać się do Szalskiego. Domyśliła się czym będzie ta rozmowa. Teraz rozumiała dobrze, jaki był charakter wyróżnienia jej przez udzielenie jej podwyżki pensji.

Szalski podniósł się żywo zza biurka na jej widok.

— Niech się pani nie boi — oświadczył jej zaraz na wstępie — nie jest pani wezwana w sprawie jakiegokolwiek nagany, nie jest to w ogóle sprawa dotycząca pracy. Chcę panią prosić, by zechciała pani poświęcić mi kilka chwil i nie traktować mnie przez ten czas jak swego szefa. Będzie po prostu rozmawiał Artur Szalski z panną Reną Łaską. Niechże pani siada.

— Czym mogę służyć panu dyrektorowi?

Szalski przez chwilę przypatrywał się uparcie Renie, bawiąc się jakimś drobiazgiem podjętym z biurka.

— Musi mi pani wybaczyć — ozwał się — że będę mówił z panią w sposób bardzo szczerzy, który być może wyda się pani brutalny. Niech pani jednak pamięta, że jestem człowiekiem interesu i wszelkie sprawy załatwiam w swój swoisty sposób.

— Mogę pana zapewnić, że zwrócę uwagę tylko na treść tego, co pan mówi.

— Czy pani naprawdę nie domyśla się, co chcę pani teraz powiedzieć? — Przestał się bawić bibelotem i położył go na biurku. — Chciałem pani zaproponować, by w najbliższym czasie rzuciła pani pracę w magazynie. Chcę pani zapewnić inny, lepszy los.

Rena już od pierwszej chwili rozmowy zdawała sobie sprawę z tego, iż przyszła chwila, której się najbardziej bała.

Przybladła nieco i zapytała, siłąc się na spokój.

— A z jakiego to powodu robi mi pan, panie dyrektorze, tego rodzaju propozycję? Czy nie przyszło panu na myśl, że może to mnie obrazić?

W odpowiedzi wstał i przeszedł przez gabinet, po czym zbliżył się do Reny i przesunął ręką po jej włosach.

Niechętnym gestem pochyliła głowę.

— Mówię z panią o tym dlatego, że panią kocham. Jestem tak zajęty w mym życiu, że nie mam, niestety, czasu na staranie się i zabieganie o kobietę. Dlatego właśnie załatwiam sprawę w ten sposób, o którym mówiłem pani, że może on panią zrazić. Przypatrywałem się pani dość długo, zebrałem o pani i o pani życiu bardzo ściśle dane. Mówię o tym z panią dziś, ponieważ dziś decyzja moja dojrzała.

— Nie wiem, czy dobrze rozumiem, ale mam wrażenie, że zaproponował mi pan małżeństwo?

Szalski osłupiał. Wszystkiego się spodziewał w swym cynizmie, tylko nie tego prostego i

logicznego pytania. Został po prostu przyparty do muru. Sięgnął po swoją zwykłą broń w takich wypadkach. Tą nieodzowną bronią było kłamstwo.

— Mówiłem już pani, że będę szczerzy do końca. Nie wątpi pani chyba, że byłoby to dla mnie wielkim szczęściem, gdybym mógł pani to zaproponować. Niestety jednak, jest to w tej chwili niemożliwe. Byłem swego czasu żonaty. Od lat nie żyję już z żoną, która bawi stale za granicą i przez prostą złośliwość udaremnia wszelkie próby rozwodu.

— Jak więc pan sobie wyobraża to zajęcie się moim losem?

— Nie chcę, by marnowała pani swą młodość na tej ciężkiej pracy. Zapewnię pani po prostu dobrobyt, zajmę się również pani matką. Będziemy jednym słowem dobrymi przyjaciółmi, a życie samo ureguluje pomiędzy nami inne sprawy.

Wpatrywał się w nią z coraz to większym upodobaniem i pożądaniami, czując nieprzeparłą chęć porwania jej w ramiona i zdławienia jej w swym uścisku. Była niewypowiedzianie piękna i ponętna w owym zmieszaniu, z jakim słuchała jego słów.

— Był pan u mojej matki — odezwała się przyciszonym głosem. — Ma pan dobry wywiad. Wie pan doskonale o jej nieszczęśliwym nałogu. Widział pan też zapewne otoczenie, w którym mieszkamy. Dlaczego, pan wygrywa to wszystko jako swe atuty, by zaproponować mi rzecz tak podłą.

Przeczekał spokojnie wybuch jej rozżalenia.

— Nie widzę nic złego w tym, co robię — rzekł pojednawczo.

Rena wiedziała i pamiętała tylko o jednym, iż musi tak manewrować, by nie stracić posady, by nie rozgniewać Szalskiego i nie wyjść z jego gabinetu z dymisją.

O pomoc do Janusza nie mogłaby się zwrócić w żadnym wypadku. Nigdy by się na to nie zdobyła, a tym bardziej teraz, kiedy domyślała się ze słów jego, iż prokurator Garda do małżeństwa ich odnosi się sceptycznie.

— Nie zapytał mnie pan nawet — powiedziała — czy pana kocham.

— Pani sama przecież powiedziała, że prawie się nie znamy. Musimy więc zostać parą przyjaciół i poznać się dobrze. Przyjdzie czas, kiedy pomówimy i o tych rzeczach. Rozumiem, że spadło to na panią dość nagle i zdaje mi się, że uprzedzę pani myśli, proponując, byśmy decyzję w tej sprawie odłożyli na kilka dni. Tylko, gdyby pani i wtedy odniosła się niechętnie do moich planów...

— To co wtedy? — spojrzała na niego oczami, do których znowu napływały łzy.

— Przypuszczam, że pani praca w magazynie byłaby wówczas dla nas obojga również niemiła.

Podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

— Przypuszczam jednak, że wszystko będzie dobrze! — ton jego głosu brzmiał pogodnie.

— Tak! — odpowiedziała. — W tej chwili rozumiem zupełnie dobrze, czego mam się spodziewać.

Szalski pozostał sam.

W mózgu jego rysował się w niejasnych jeszcze kształtach prawdziwie makiawelski<sup>(1)</sup> plan, który miał jednak te złe strony, że mógł, w razie niesprzyjającego Szalskiemu zbiegowi okoliczności, obrócić się przeciw niemu i przynieść mu kompromitację.

Pan Artur wiedział jednak, że nie ma powodzenia bez ryzyka. Ośrodkiem tego planu i sprężyną, która miała odegrać główną rolę, stać się miała Kazia Wnukówna.

Połączył się z odpowiednim działem i polecił wezwać ją do siebie.

— Niech pani siada — przyjął ją łaskawie. — Mamy z sobą do pomówienia.

— Słucham, panie dyrektorze.

Przypatrywał jej się z uwagą.

— Pani jest, zdaje się, rozsądną i mądrą dziewczyną... Przypuszczam, że zależałoby pani na wzmocnieniu swego stanowiska w firmie? Przypuszczam, że wolałaby pani mieć spokojną głowę i mówić sobie, ale naturalnie tylko sobie, że jak długo Szalski jest głównym akcjonariuszem i dyrektorem, ma pani pracę zapewnioną.

Kazia rozumiała coraz mniej, jednakże wrodzony spryt pozwolił jej domyśleć się natychmiast, że Szalski potrzebuje jej pomocy w jakiejś poufnej sprawie.

— Bardzo bym się z tego cieszyła, panie dyrektorze.

— To dobrze! Musi pani jednak pamiętać, że karierę w życiu robić mogą tylko ci ludzie, którzy umieją milczeć.

— Pan dyrektor może być spokojny! — była już zupełnie ośmielona. — Chociaż jestem kobietą, potrafię dochować każdej tajemnicy.

— Proszę mi odpowiedzieć na kilka pytań. Pani jest przyjaciółką panny Łaskiej? Do niedawna były panie nierozłączne...

— Tak... Do niedawna...

— Obecnie wraca często pani do domu sama. Panna Łaska korzysta teraz częściej z towarzystwa pewnego młodego człowieka... Pani wie o kim myślę... — odezwał się.

— O Januszu Gardzie...

— Podoba się pani ten Garda. I to bardzo.

— To nieprawda! — zawołała, a policzki jej zapłonęły.

Szalski odsunął z hałasem fotel.

— Dlaczego pani kłamie? Wiem doskonale, że interesuje się nim pani i że jest pani z całą pewnością zazdrosna o Renę. Co więcej narzuca się pani Gardzie, mimo że ten młokos jest tak zadurzony w Łaskiej, że nawet mówić z panią nie chce. Nie dalej jak przedwczoraj dzwoniła pani do niego z magazynu. Sposób, w jaki skończyła pani rozmowę świadczy o tym, że z tamtej strony powieszono słuchawkę.

Kazia zbladła silnie, lecz odpowiedziała spokojnym tonem:

— Chciałam się z nim zobaczyć. Powiesił istotnie słuchawkę. Podoba mi się bardzo, to też prawda.

— Kocha go pani? Czy chciałaby pani, by pan Janusz Garda zmienił swoje postępowanie?

— Tak...

— To dałoby się zrobić. Widzi pani... — zawahał się. — Nie jest chyba tajemnicą dla pani, że interesuję się panną Reną i ten młody człowiek wchodzi mi trochę w paradę, życie tworzy więc z nas sojuszników. Pani zależałoby na tym, by znajomość ich została zerwana, a dla mnie również byłoby to wygodne.

Chciał mówić dalej, lecz dzwonek telefonu począł hałasować na biurku. Podjął słuchawkę.

Kazia przypatrywała się uważnie Szalskiemu. Rozumiała już doskonale, że Szalski jej potrzebuje. Obliczała, co może zyskać na tym niespodziewanym przymierzu.

Czy kochała Janusza? Z tego nie zdawała sobie w tej chwili sprawy. Podobał się jej, a fakt że był zupełnie nieczuły na jej wdzięki doprowadzał ją do rozpacz, w przystępie której nabierała przekonania, że go kocha. Przy tym z całą zawiścią, głęboko tajoną w sercu, odnosiła się do Reny, zazdroszcząc jej powodzenia. Janusz obraził ją śmiertelnie, odkładając słuchawkę telefoniczną, gdy znowu dzwoniła do niego i proponowała widzenie. Myślała o zemście. Teraz nadarzała się sposobność i to z bardzo potężnym sojusznikiem!

Myśląc o tym, Kazia nie traciła ani jednego słowa z tego, co mówił Szalski przez telefon.

Wszystko może się przydać da świcie, nie wiadomo kiedy i jak. Zapamiętała sobie

dobrze nazwisko, które padło z ust Szalskiego. Dzwonił jakiś Hufnagel.

Szalski tymczasem słuchał relacji od owego Hufnagla.

— Dobrze... dobrze — zapewniał tamtego. — Te sprawy będą załatwione. Przyjdę do pana do domu... Jutro lub pojutrze... Tak!... Zgoda!... Albo lepiej, spotkamy się tam, gdzie zwykle... Niech pan zresztą zadzwoni jutro do mnie. Dobrze, już dobrze!... Do widzenia!

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Kazi:

— Nie mam, niestety, czasu w tej chwili, by mówić z panią o tym dłużej. Muszę jednak już teraz wiedzieć, czy chce mi być pani pomocna w tej sprawie, czy też nie?

— Nie rozumiem w jaki sposób da się to zrobić, by stosunki między Reną, a Januszem... a panem Gardą — poprawiła się — uległy rozluźnieniu.

— Sądzę, że nietrudno będzie do tego doprowadzić. Gdyby tak, na przykład, ten młody człowiek nabrał przekonania bardzo silnego i niezbitego, że panna Łaska jest moją kochanką, że łączą nas intymne stosunki, przypuszczam, że zerwałby z nią natychmiast. Młodzi ludzie są zazdrośni, szczególnie o dobrze sytuowanych starszych panów.

Kazia potrząsnęła głową. . .

— To wszystko dobrze, ale ja nie mam najmniejszego pojęcia, jaką mogę z tego wyciągnąć korzyść.

— Odegra pani wówczas rolę bardzo łatwą i wdzięczną. Rolę pocieszycieli biednego, zawiedzionego chłopca, którego ukochana okazała się kobietą niegodną prawdziwego uczucia.

— Teraz rozumiem.

— A więc krótko i węzłowato! Zrobiliśmy targ. Rena – dla mnie, Janusz Garda – dla pani. Czy zgoda?

Cynizm jego hipnotyzował ją wprost. Odpowiedziała bez wahania:

— Zgadzam się!

---

<sup>(1)</sup> makiawelski – przebiegły; podstępny; przewrotny; obłudny. Od nazwiska N. Machiavellego (1469-1527) – florenckiego dyplomaty.



## ROZDZIAŁ X

Drzwi otworzyły się i zamknęły szybko.

Małgorzata Łaska w pierwszej chwili nie poznała człowieka, który wszedł, on jednak był tu już widocznie, zachowywał się bowiem z zupełną swobodą.

Zrobił uspokajający gest, po czym zdjął kapelusz i wraz z łaską położył na stole.

— Cóż, poznaje mnie pani?

— Naturalnie, że poznaję. Pan przecież był raz tutaj. Zdaje się w sprawie Reny.

— Bardzo to sobie pani dobrze przypomina.

Artur Szalski powiódł niechętnie okiem po izbie. Wzrok jego spoczął na otwartej bieliźniarce, w której wszystko było poprzewracane i porozrzucane w nieładzie.

Małgorzata Łaska dostrzegła jego badawcze spojrzenie i nieco zmieszana i niespokojna podreptała zamknąć szafę, wyjaśniając mu przy tym:

— Przepraszam pana bardzo, ale ja tu szukałam jedynie jednej rzeczy i nie miałam czasu wszystkiego poukładać.

— Szukała pani... — rzekł, żeby tylko coś powiedzieć.

— Tak jest. Niech pan sobie wyobrazi, Rena poszła z domu i zabrała z sobą wszystkie pieniądze. Przewróciłam wszystko, ale nie znalazłam nawet grosika. Czasem się w domu gdzieś coś zapłącze i człowiek znajduje wtedy walutę, gdy jej najbardziej potrzebuje.

Wargi Szalskiego drgnęły ledwo dostrzegalnym uśmiechem.

— Panna Rena jest roztargniona — odpowiedział. — Dużo pani potrzebuje pieniędzy?

— Iiii... kilka złotych. Z pięć by wystarczyło.

Mężczyzna sięgnął ręką do kieszeni marynarki i wyjął portfel. Wydobył z niego plik banknotów, aż starej Łaskiej zaświeciły się oczy, jak u kota.

Szalski ujął w palce banknot pięćdziesięciozłotowy i rzucił niedbale na stół.

— Pożyczę pani.

Sucha ręka starej wyciągnęła się po banknot i zatrzymała w pół drogi.

— Proszę pana, ja nie mogę tego brać. Kiedy i jak ja to oddam?

— Już się jakoś policzymy, niech pani bierze.

— Ale pan nic nie powie o tym Renie?

— Nie, nic nie powiem! — uśmiechnął się rozbawiony, po czym, jakby odgadując jej myśli, dodał: — Jeżeli ma pani do załatwienia jakiś pilny interes, proszę zaraz posłać.

Obracała w palcach kolorowy papiererek.

— Chciałam sobie od dawna kupić trochę wódki, by rozgrzać stare kości — odpowiedziała z naiwną szczerością. — Jeżeliby pan chwilkę zaczekał, poszłabym tylko do sąsiadki, by jej synek skoczył do sklepiku.

— Dobrze! Proszę iść, ale wracać prędko.

Spojrzał na zegarek. Miał zobaczyć się z Hufnaglem, lecz pozostawało mu jeszcze pół godziny. Ten czas mógł poświęcić na rozmowę z Łaską.

— No, dobrze, że pani jest — przywitał jej powrót. — Niech pani teraz siada, porozmawiamy z sobą.

Spojrzał na nią uważnie, po czym zapytał.

— Nikt nam tu nie przeszkodzi?

— Z pewnością nikt.

Do izby zapukano. To chłopiec przyniósł zakupioną butelkę wódki i zakąskę.

Stara Łaska odebrała skrupulatnie resztę, przeliczając ją z dokładnością, która zdradzała jej skąpstwo.

Patrzył na nią z wyrozumiętym uśmiechem. To, że była alkoholiczką, odpowiadało mu zupełnie. Stanisław, który przeprowadził wywiad, udzielił mu już dawno tego ważnego szczegółu.

— Proszę, niech pani się napije.

Potem, gdy odkorkowywała butelkę, zapytał:

— Mówiła pani z Reną?

— A mówiłam. Nawet słyszeć o tym nie chce.

— Co powiedziała?

— Nic miłego. Niech pan lepiej nie pyta — pociągnęła z kieliszka.

— Sądzi więc pani, że w niczym nie może mi pani pomóc?

Zrobił gest, jakby chciał wyjść. Przestraszyła się tego. Był już drugi raz i poprzednim razem także zostawił jej pieniądze. Nie należało pozwolić mu tak odejść.

— Pomówię z nią jeszcze — rzekła szybko — muszę tylko znaleźć sposobną chwilę. Pan przecież ożeni się z nią.

— Tak! Tak!... Naturalnie! Gdy tylko to będzie możliwe. Niech pani pamięta, że robi to pani dla dobra córki. Nawet jeżeli jej się zdaje, że tak nie jest. Młode dziewczęta nie wiedzą często, gdzie jest ich szczęście. Zawrócił takiej lada młokos w głowie i już leciałaby za nim na kraj świata. Dopiero potem okazuje się, jakie zrobiła głupstwo. Niech pani pije, pani Łaska. Proszę się mną nie krępować.

Nachylił się ku niej i ciągnął konfidencjonalnie:

— I to pani jeszcze powiem, że w dniu kiedy Rena się stąd wyprowadzi, złożę pani coś ciepłą ręką na książeczkę.

— Ile?... — zapytała chciwie.

— No, trzy... może pięć tysięcy złotych.

— Pięć tysięcy... — powtórzyła nieco bezmyślnie. — Nie, panie, ja nie mogę sprzedawać córki.

— Głupia pani jest! — zachnął się bezceremonialnie. — Kocham pannę Renę i chcę, by do mnie należała. To proste. I zupełnie jasną jest rzeczą, że nie chcę, by jej matka mieszkała jak żebraczka. Rena będzie elegancką damą i nie mogłaby pani tutaj odwiedzać.

— Rozumiem! — pokiwała głową, wpatrując się w niego wyblakłymi oczami. — Ale co będzie, jak Rena się nie zgodzi?

— Gdy krople długo padają na kamień, drążą w nim dziurę — wyjaśnił filozoficznie. — Trzeba jej tylko o tym mówić, wciąż mówić, nawet gdyby gniewała się o to na panią. Przyjdzie taki dzień, gdy znudzi się jej to otoczenie, ten dom, ta nędza, te wilgotne ściany i wtedy będzie pani wdzięczna za to, o co teraz może będzie miała do pani pretensję.

— Będę jej o tym ciągle mówiła.

Szalski spojrzał na napoczętą butelkę, na nagle zaczerwienione policzki wdowy i na jej przekrwione oczy. Zrozumiał, że nie ma tu więcej co robić i że musi skończyć szybko rozmowę, jeżeli ma coś z niej utkwić w głowie alkoholiczki. Jak wszyscy notoryczni pijacy upijała się bardzo szybko.

— Dowiem się tutaj za jakiś czas, co pani zwojowała — rzekł, biorąc ze stołu kapelusz i

laskę.

Nie podając matce Reny ręki, skierował się ku drzwiom.

Nagle, jakby go coś tknęło. Odwrócił się i stuknął laską o podłogę.

— Pani Łaska!

— Słucham pana dyrektora!

— Proszę to sobie dobrze zapamiętać — mówił z naciskiem, akcentując każde słowo. —

Gdyby ktokolwiek pytał panią o pannę Renę – wszystko jedno kto, a raczej ktoś obcy... – proszę tak z nim rozmawiać, by odniósł wrażenie, iż łączą mnie z Reną bliskie stosunki, że opiekuję się nią, że żyję z nią. Niech pani tak mówi, by można się było domyślać wszystkiego, a zarazem niczego. Słyszysz mnie pani dobrze, pani Łaska?

— Tak, tak... Mam powiedzieć, że pan jest z Reną blisko.

— Koniecznie! To będzie bardzo sprzyjało naszym planom i te pięć tysięcy złotych będą pani bliższe. Proszę więc to sobie zapamiętać.

Skinął jej jeszcze raz głową, po czym wyszedł i z kapeluszem nasuniętym na oczy szybko prześlizgnął się przez podwórze.

Skierował się teraz w żydowską dzielnicę miasta i zniknął w bramie jednego z domów.

Wszedł wolno na trzecie piętro po ciemnych frontowych schodach.

Na małej zatartej tabliczce widniał napis

### *Natan Hufnagel*

Szalski szarpnął za rączkę dzwonka. Oczekiwano go tak, jak przypuszczał, drzwi bowiem otworzyły się natychmiast.

W przedpokoju oświetlonym ciemną, oszczędnościową żarówką ukazała się postać tego samego Żyda, który swego czasu był w magazynie, ściągając tym na siebie niezadowolenie Szalskiego.

— Sam pan jest?

— Zrozumiałe! Może pan wejść spokojnie, panie dyrektorze.

Żyd mówił przesadnie poprawną polszczyzną, wyraźnie akcentując każdą głoskę.

Wprowadził Szalskiego do małego gabinetu urządzonego z typowym gustem żydowskim. Meble pełne galeryjek i złocen. Wielki żyrandol u sufitu. W oszklonej bibliotece rzędy książek o grzbietach ozdobionych tytułami w hebrajskim alfabecie.

— Jakże tam, Hufnagel? Wszystko w porządku?

— Co nie ma być w porządku?

Szalski z uśmiechem pokiwał głową.

— To dobrze, Hufnagel. Siadajmy teraz i weźmy się do interesu. Muszę zaraz wracać do magazynu.

Usiadł przy biurku, Żyd sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej zatłuszczony notes.

— Odebrał pan pieniądze od Schwarckopfa?

— Co do grosza. Pewny klient. Wykupił weksle w terminie.

— To dobrze. Niech pan to sobie zabierze, jako swój procent. Mamy rozliczenia, ale nie będziemy ich robić w tej chwili. Jedźmy dalej! Co słychać z Jagielskim? Z tym oficerem?

— On płaci dziesięć procent miesięcznie. Był u mnie i skarży się, że nie może tyle płacić, że to go zupełnie rujnuje i że do końca życia nie ureguluje długu.

— Ale w karty przegrać umiał. Niech pan nie ma dla mego żadnych względów.

— Ja miałem z nim przeprawę. On mi groził. Jak on mnie nazwał? Powiedział *pijawka* i

jeszcze gorsze wyrazy.

Twarz Szalskiego była surowa, prawie drapieżna.

— Niech pan będzie spokojny! Nic panu nie zrobi. To niech pan jemu zagrozi, że jeżeli nie zapłaci jednego marnego procentu, prześle pan jego weksle komendzie miasta. A ostatecznie, niech mu pan rozłoży to na mniejsze raty. Niech płaci dwa lata dłużej, ale musi nas spłacić co do grosza. Ja mu to powtórzę. Na pewno się zgodzi, ja tam bym się zgodził w takim wypadku. A jak będzie z podziałem procentów?

— Tak, jak zawsze. Po połowie. Pan ryzykuje *wsypę*, a ja pieniądze. Równe ryzyko.

— Kiedy pan dyrektor dostarczy mi te pieniądze dla adwokata Saskiego, o które telefonowałem. To musi być szybko. Mówiłem panu dyrektorowi, co grozi synowi adwokata...

— Musisz poczekać jeszcze dwa, trzy dni, mój Hufnagel. To duża suma. Muszę zmobilizować gotówkę.

Artur Szalski spojrział na zegarek.

— Przejrzemy jeszcze listę zaległych dłużników i naradzimy się, co z nimi zrobić. Dawaj tu ich szybko, bo czasu mam już niewiele.

Lichwiarz znowu sięgnął po swój notes i jął przewracać jego kartki artretycznymi<sup>(1)</sup> palcami.

Artur Szalski, dyrektor i główny akcjonariusz Domu Towarowego, był zarazem bankierem lichwiarza. Pochylony nad Żydem, słuchał jego relacji i wydawał dyspozycje.

---

<sup>(1)</sup> artretyzm; dna moczanowa – bolesna choroba stawów.

## ROZDZIAŁ XI

Prokurator Garda zatrzymał się przed domem, w którym według danych biura adresowego miała mieszkać Rena Łaska. Sprawdził numer i zagłębił się w bramę domu. Szukał listy lokatorów, lecz nie znalazł jej i chcąc nie chcąc, musiał zwrócić się do dozorczy.

Dozorca objaśnił go z pewnym niepokojem.

— Trzecie podwórze, na prawo, na parterze.

Garda poszedł we wskazanym kierunku.

W oknach mieszkań, pozasłanianych potarganymi firankami lub wypłowiałymi płachtami przedziwnych barw i kształtów, pojawiały się szybko i równie szybko znikwały to męskie, to kobiece głowy!

Prokurator Garda zdawał sobie doskonale sprawę, iż jest przedmiotem uwagi całej kamienicy, iż mieszkańcy wszystkich trzech podwórzy wiedzą już doskonale o jego przybyciu i że zaniepokojeni są tym niecodziennym gościem.

Robiło mu się coraz bardziej ciężko na sercu, czuł się coraz bardziej przygnębiony i samotny w tym otoczeniu, któremu był tak dalece niechętny, obcy i wrogi.

Tutaj więc, w tym domu i w tym otoczeniu, wśród jaskiń rozpusty, wśród melin paserskich i wśród złodziejskich hotelików mieszkała Rena Łaska.

Prokurator Garda rozumiał teraz doskonale dlaczego starała ukryć swój adres przed Januszem.

Odetchnął z ulgą, gdy przeszedł wreszcie wszystkie podwórze i skierował się do sieni wiodącej do mieszkania, którego numer miał wypisany na kartce biura adresowego.

Tomasz Garda zastukał do tych drzwi i nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte...

Pan Tomasz odetchnął z ulgą. Matka Reny była więc w domu i mógł od ręki załatwić to, z czym przyszedł.

Ujrzał przed sobą kobietę starą i zwiędłą, o twarzy pomarszczonej i haczykowatym nosie. Na czoło jej opadały kosmyki siwych, zaniedbanych włosów.

Wzrok prokuratora spoczął na stole, na którym stała pusta butelka po wódce i resztki jedzenia na zatłuszczonym papierze.

Garda przez chwilę nie chciał jeszcze wierzyć, jednakże niepewne ruchy staruszki przekonały go, że podejrzenia jego były słuszne.

Przystąpił bliżej i zapytał:

— Czy mam przyjemność z panią Łaską?

— Małgorzata Łaska to ja jestem. Pan właściwie w jakiej sprawie?

Garda nie odpowiedział od razu. Odczuł ogromną przykrość, że musi rozmawiać z tą starą kobietą znajdującą się najwyraźniej pod wpływem alkoholu. To była więc matka Reny! W tej chwili miał tylko jedno pragnienie, by wyjść jak najprędzej z tego ubogiego mieszkania i znaleźć się co rychlej jak najdalej od tego zakazanego domu.

Dopiero teraz zrozumiał, że przyrzekając Januszowi, iż sam zbada sprawę, brał na siebie obowiązek, który miał go wiele kosztować.

— A pan w jakiej sprawie? — powtórzyła pijaczka, gdy Garda milczał i nie mógł się zdobyć na rozpoczęcie rozmowy.

Prokurator odchrząknął.

— Niech mnie pani posłucha, pani Łaska...

— Nie potrzebuje pan tych długich wstępów. I tak wiem, o co chodzi.

— A skądże pani wie, w jakiej sprawie tu przyszedłem? — zapytał mimo woli Garda.

— Skąd wiem? Przecież to jasne. Przychodzi pan w sprawie Reny. No, niech pan spróbuje zaprzeczyć.

— Nie będę przeczyć!... — wyjąkał prokurator ogromnie zmieszany. — Jak się pani szybko domyśliła!

Wydęła pogardliwie wargi.

— Phi... Nie pan pierwszy i nie pan ostatni. Dziewczyna ładna, toteż frajerów kręci się koło niej a kręci.

Spojrzała na niego z nagłą nieufnością.

— Po co pan tu przyszedł i czego pan właściwie chce ode mnie? Co to za przespiewki co do Reny?

Prokurator Garda był przygotowany na to pytanie.

— Mam posadę w moim biurze — użył niezręcznego wykrętu. — Słyszałem o niej, jako o dobrej pracownicy i chciałem się o niej czegoś dowiedzieć, a od kogóż można się lepiej dowiedzieć, jak nie od matki?

Stara pokiwała głową z uśmiechem pełnym niedowierzania. Była pijana, ale nie tak dalece, by nie rozumieć, co do niej mówiono.

— Niech pan tam sobie zdrów gada! Wiem dobrze, co myślę o wizycie pana. Posadę pan chce jej dać? Wy byście jej wszyscy chcieli dać dobrą posadę.

Przypomniała sobie naraz to, co mówił jej przed chwilą Szalski, że gdy ktoś przyjdzie i będzie pytał ją o Renę, należy mu odpowiedzieć tak, by domyślił się, iż córkę jej łączą bliskie stosunki z dyrektorem magazynu.

— Nie macie tu wszyscy czego szukać — pokiwała głową. — Rena już jest zajęta i wkrótce będzie wielką panią. Niedługo się stąd wyprowadzamy.

Garda wyjął chustkę i otarł nią czoło. Było mu po prostu duszno.

— Wyprowadza się stąd pani?

— To już zależy od Reny i od niego — gorliwie wypełniała polecenie dane jej przez Szalskiego, bowiem wizja pięciu tysięcy złotych stała jej ciągle przed oczyma. — Ma dziewczyna szczęście, wpadła bowiem w oko dyrektorowi magazynu. Był tu właśnie... Ma grube pieniądze. Wiadomo, w miłości to grunt, a Rena jest mądra dziewczyna. Szalski...

Uczyliła ręką gest, jakby chciała zasłonić sobie usta, jak gdyby wygadała się i nazwisko to powiedziała mimo woli.

— Bardzo się cieszę, że córka pani będzie szczęśliwa...

Prokurator podniósł się ociężale z krzesła i sięgnął po kapelusz.

W oczach Łaskiej ukazały się iskierki niepokoju. Mimo wszystko zaniepokoiła się nagle, czy nie uczyniła czegoś, co mogłoby Renie zaszkodzić.

— Nie wiem nawet, kto pan jest? — powtórzyła. — Co mam powiedzieć Renie?

Prokurator spoglądał na nią poważnie.

— Najlepiej pani zrobi, jeżeli pani nie powie zupełnie córce o mojej wizycie.

Przynajmniej przez kilka dni.

Odwrócił się i spojrzał raz jeszcze na pustą butelkę po wódce, która stała na stole.

Gdy znalazł się w sieni, włożył kapelusz i odetchnął z ulgą. Brwi zbiegły mu nad czołem.

Namyślał się przez krótką chwilę.

— Muszę mu to powiedzieć dziś jeszcze — mruknął do siebie. To, co wiedział o Renie przesądzało sprawę.

Cały wieczór prokurator czekał na syna, by z nim pomówić. Janusz jednak długo nie wracał. Wreszcie, gdy wybiła jedenasta godzina, a Janusza jeszcze nie było, Garda udał się do swej sypialni, by położyć się do łóżka, z postanowieniem, że nie będzie jednak spał i że nie będzie odkładał tej rozmowy do dnia następnego.

Nie wiedział, jak Janusz to przyjmie. Wiedział, że syn był o tyle uczuciowy, o ile on sam był obojętny i niedostępny dla wrażeń, jakie przynosiło życie.

Pan Tomasz Garda rozebrany już zupełnie, w szlafroku i pantoflach, udał się do pokoju syna.

Nie czynił tego dlatego, że chodziło tu o Janusza. Zrobiłby to samo w stosunku do każdego człowieka.

Wiedział doskonale, w której szufladzie biurka chował syn rewolwer. Kto wie? Mógł w chwili determinacji strzelić sobie w łeb albo, co było by równie złe, targnąć się na Szalskiego. To byłoby zupełnie niepotrzebne, bo przecież minie kilka tygodni i Janusz przeboleje swój zawód.

Biurko było otwarte. Tomasz Garda wysunął jedną z szuflad. Widział raz, jak syn chował tam broń.

Rewolwer leżał na swoim miejscu. Prokurator włożył broń do kieszeni szlafroka i powrócił do swej sypialni. Szybko schował broń do nocnego stolika, usłyszał bowiem zgrzyt klucza w zamku, a potem ciche kroki.

Janusz wrócił.

Znajdował się właśnie w jadalnym pokoju, do którego wpadała przez uchylone drzwi smuga światła z sypialni prokuratora.

Janusz nie chciał przeszkadzać ojcu i nie miał zamiaru wstępować do niego. Usłyszał jednak głos ojca, który go wzywał do siebie.

Młody człowiek stanął w progu.

— Dobry wieczór! Wołałeś mnie?

Stary Garda leżał w łóżku, oparty o ułożone wysoko poduszki.

— Tak, wołałem cię. Jest wprawdzie późno, jednakże chciałem jeszcze dziś pomówić z tobą. Proszę cię, siadaj.

A gdy syn usłuchał, rzekł po długiej chwili milczenia:

— Ustaliłem adres panny Łaskiej i byłem u jej matki.

— Dziękuję ci. Od razu się domyśliłem, że o tym chciałeś ze mną pomówić.

Starszy pan przymrużył nieco oczy.

— Januszu, ta historia musi być jak najprędzej zakończona. Ty nie możesz pod żadnym warunkiem żenić się z tą dziewczyną.

Janusz przybladł i patrzył na ojca, jakby jeszcze nie rozumiał dobrze.

— Dlaczego? — padło wreszcie z jego ust.

Garda mówił dalej powoli i z namysłem, jak to sobie postanowił. Głos jego był obojętny i zimny.

— Logika i rozum mówią, że powinieneś zapomnieć jak najprędzej, iż istnieje na świecie jakakolwiek Rena Łaska.

— Dlaczego? — powtórzył Janusz.

— Dlatego, że jest ona wychowana wśród mętów społecznych. Mówiłeś mi, że nie podała ci swego adresu i broniła się przed tym uparciem. Nie rozumiałem tego, dopóki tam nie poszedłem. Ona mieszka w domu, gdzie każdy mieszkaniec jest niemal przestępcą, gdzie każdy prawie

mieszkaniec notowany jest w kartotekach urzędu śledczego. Złodzieje, paserzy, prostytutki – oto środowisko, w jakim żyje panna Łaska, przyszła żona Janusza Gardy.

Poruszył gwałtownie ręką, widząc, że syn otwiera usta, by przemówić.

— Powiem ci dalej, że mówiłem z matką panny Łaskiej, która jest zacną matroną, szukającą pociechy w wódce i rajfurząca<sup>(1)</sup> swą córką. Zostałem ją właśnie w takim alkoholycznym transie. I teraz może zrozumiesz, dlaczego ta dziewczyna nie chciała, byś wiedział, gdzie ona mieszka. To wszystko może bezpośrednio nie dyskwalifikuje jeszcze tej dziewczyny. Ale ona ma przyjaciela... oszukuje cię...

— Rena? To kłamstwo!

— Wiem to z najbardziej wiarygodnych ust – od jej matki. Jestem spokojny o to, że mówiła ona prawdę, a mówiła mi o stosunkach, jakie łączą ją z szefem magazynu.

W twarzy Janusza nie było ani kropli krwi.

— Z kim? — wyjąknął z trudem. — Czyżby miała na myśli Szalskiego?

Prokurator Garda rozłożył ręce.

— Zazdrosnych i zakochanych nigdy nie myli intuicja.

— To jest niesłychany nonsens... Szalski...

Słowa zamierają nagle na ustach Janusza. Długo tłumione podejrzenia i wątpliwości wybuchają naraz z całą siłą. Janusz przypomina swą rozmowę z Kazią, przypomina sobie to, co mówiła o Szalskim, że Rena podoba mu się i że jest ona mądrą i rozsądną dziewczyną.

— Przecież ona mówiła mi, że mnie kocha... — wyrwa się z ust młodego człowieka.

Prokurator Garda oparł się na łokciu i nie spuszczał oczu z syna.

— Cóż z tego, że ci mówiła? Rozumujesz, jak naiwne dziecko, Januszu. To bardzo proste. Ta dziewczyna chciała widocznie mieć dwu kochanków. Jednego od kieszeni, drugiego od serca. Być może zresztą, ta sprytna dziewczyna zrozumiała, że lepiej by było dla niej zostać twoją żoną, niż być kochanką Szalskiego. To dałoby jej pozycję towarzyską.

Janusz słuchał owych słów z głową opuszczoną, ze wzrokiem utkwionym w ścianę.

Gdy prokurator skończył mówić, wyrwał się z apatii i poruszył się żywo.

— Nie! — rzekł z nagłym przyplływem energii. — Ty się mylisz. Tym razem musisz się jednak mylić. Rena nie byłaby zdolna do takiej podłości. Widziałeś ją raz przelotnie, nie mówiłeś z nią nigdy. Skądże czerpiesz te informacje? Od jej matki, którą zastałeś pijaną? Przyznaję, Rena nie mówiła mi o nałogu, w jaki popadła stara Łaska, ale przypuszczam, że właśnie dlatego, że mieszka w tak strasznych warunkach ukrywała przede mną prawdę. Może obawiała się, że mnie to zrazi, może wstydziła się po prostu. Nie można tak łatwo budować tak potwornych oskarżeń. Gdyby Rena była przyjaciółką Szalskiego, nie mieszkałaby w takiej norze, jak opowiadasz, i opływałaby we wszystko.

Tomasz Garda przypatrywał się z uwagą swym paznokciom.

— To prawda! — zauważył obojętnie, po czym podniósł głowę i spojrzał na Janusza. — Matka Reny mówiła mi właśnie, że córka jej i ona wyprowadzają się wkrótce do innego mieszkania. Można się z tego domyślać, iż mieszkanie to sprawia im Szalski. Nie chcę się wcale wdawać w analizę tych rzeczy. Zrobiłem to, co ci przyrzekłem. Muszę ci przypomnieć naszą rozmowę sprzed kilku dni. Nie pozostaje ci nic innego, jak dotrzymać mi przyrzeczenia i zerwać z tą dziewczyną natychmiast, ponieważ nie jest ona warta twego uczucia.

— Zerwać z nią? Dlaczego żadasz ode mnie tak trudnych rzeczy?

Głos starego Gardy brzmiał teraz surowo i despotycznie.

— Zobowiązałeś się do tego.

Janusz wstał i przeszedł się po pokoju. Podniósł rękę do czoła. Było ono zroszone zimnym potem.



Przesunął językiem po suchych wargach.

— Co mam uczynić? — zapytał bezradnie.

— Zapomnieć! — zabrzmiała znudzona już odpowiedź prokuratora.

Gdy syn wyszedł z sypialni, starszy pan, wsparty na poduszkach, siedział przez chwilę zamyślony, po czym szepnął do siebie, sięgając po przygotowaną na nocnym stoliku książkę:

— A jednak zrobiłem dobrze, zabierając mu ten rewolwer.

---

<sup>(1)</sup> rajfurzyć – tu: stręczyć nierząd.

## ROZDZIAŁ XII

Wbrew temu, co powiedział ojcu, w pokoju młodego Gardy płonęło światło tej nocy przez długie jeszcze godziny.

Cierpienie Janusza było tak wielkie, że sprawiało mu po prostu fizyczny ból.

W wyobraźni jego po tym, co usłyszał z ust ojca, pojawiła się inna postać Reny, postać zupełnie nieznana, obmierzła i odpychająca. Czy było to możliwe, by ta cudna dziewczyna, o niewinnych oczach dziecka była tak przewrotna i cyniczna. Czy było to możliwe, by snuła wraz z nim marzenia o wspólnym życiu i równocześnie była przyjaciółką pana Szalskiego, dlatego tylko, że pan Szalski miał o wiele, wiele więcej pieniędzy, niż posiadał ich w tej chwili Janusz?

Nie mógł w to uwierzyć, nie mógł się z tym pogodzić.

W całym domu panowała głęboka cisza nocy, a on przebiegał pokój tam i z powrotem, porając się ze swymi ciężkimi myślami.

Wreszcie uczył wielkie zmęczenie i położył się, postanawiając sobie, że zaraz rano wyjdzie naprzeciw Reny, by zobaczyć się z nią jeszcze zanim pójdzie do magazynu i by wyjaśnić nareszcie tę straszną omyłkę, bo to przecież musiała być omyłka! Ojciec jego był tylko człowiekiem i mógł się mylić jak wszyscy ludzie.

Gdy obudził się jednak z ciężkiego snu i spojrzął na zegarek przekonał się, iż zaspał. Dochodziła dziewiąta. O tym, by mógł zdążyć jeszcze i zobaczyć się z Reną przed jej pójściem do magazynu nie mogło być nawet mowy.

Wówczas przyszło mu na myśl, by udać się do magazynu, nie do Reny jednak, lecz do Szalskiego.

Pomysł był nierozsądny i młodzieńczy, ale Janusz nie zastanawiał się nad tym. Zatracił zupełnie zdolność chłodnego myślenia i kontrolowania swych czynów. Poszedł za pierwszym impulsem, uległ pierwszej myśli, jaka mu się nasunęła.

Szalski musi mu powiedzieć prawdę! Musi mu dać wyjaśnienie, a jeżeli nie...

Ubrany już w lekki letni płaszcz, wrócił do swego pokoju i wysunął szufladę biurka, w której zawsze chował rewolwer.

Broni jednak nie było.

Ktoś zabrał broń z szuflady. Nie mógł tego uczynić nikt inny jak tylko ojciec.

— Naturalnie — pomyślał zjadliwie — obawia się, że targnę się na życie, albo porachuję się z Szalskim. Byłby to istotnie fakt, który mógłby podważyć karierę pana prokuratora Gardy.

Przeszedł do pokoju ojca i ogarnięty gorączkowym podnieceniem jął szukać browninga<sup>(1)</sup>. Ogarniała go wprost pasja.

Wreszcie znalazł go. Był w szufladzie nocnego stolika, tam gdzie wczoraj wieczór schował go prokurator.

Na widok rewolweru Janusz odczuł ulgę.

— Jeżeli nie udzieli mi wyjaśnień, palnę mu w łeb — wyjąknął przez zaciśnięte zęby.

Potem, gdy wielokrotnie męczono go pytaniami i żądano od niego szczegółów wizyty u Szalskiego, przypominał sobie bardzo mało. To, co wówczas przeżywał, sprawiło, iż wspomnienia owych chwil zamazały się w jego pamięci w mglistą plamę.

Gdy Szalskiemu przyniesiono bilet Janusza, domyślił się natychmiast o co chodziło i uśmiechnął się zjadliwie.

— Proszę poprosić tego pana — rzekł krótko do Stanisława.

Woźny nie doszedł jeszcze do drzwi, gdy w Szalskim zrodziła się refleksja, że lepiej jednak będzie zachować środki ostrożności. Kto wie, co strzeliło do głowy temu młokosowi?

— Stanisławie! — zawrócił od drzwi woźnego. — Niech Stanisław kręci się tu pod drzwiami i uważa. W razie, gdyby ten pan podniósł głos lub gdyby Stanisław usłyszał coś podejrzanego, proszę wejść natychmiast do gabinetu pod jakimkolwiek pozorem.

— Rozumiem pana dyrektora — uśmiechnął się porozumiewawczo fagas.

Wyszedł, by wezwać Janusza, podczas gdy Szalski wysunął nieco szufladę, w której między papierami leżał rewolwer. Miał zwyczaj nie rozstawać się nigdy z bronią i jeden z browningów spoczywał stale w jego biurku w biurze, drugi zaś posiadał w mieszkaniu.

Janusz wszedł śmiałym krokiem do gabinetu, jednakże na widok Szalskiego, który wstał i czekał na niego oparty o biurko ogarnęło go nagie zniechęcenie.

— Czym mogę panu służyć? — wypowiedział Szalski zwyczajną formułkę.

Janusz stał przed Szalskim z dłońmi ukrytymi w kieszeni płaszcza, z kapeluszem na głowie.

— Pan zapewne wie, kim ja jestem — odezwał się gwałtownie. — Tym łatwiejsza będzie nasza rozmowa.

Starszy pan uśmiechnął się uprzejmie, choć wrzał w nim gniew.

— Kim pan jest dowiedziałem się z biletu wizytowego. Jestem gotów spełnić każde rozsądne życzenie pana, jeżeli zechce pan zachować się w sposób kulturalny.

Te proste słowa zbiły z tropu młodego Gardę. Zdjął kapelusz, i nie wiedział przez chwilę, jak się zachować. Szalski przypatrywał mu się z nietajoną złośliwością.

— Niech pan siada — podjął swym opanowanym tonem, którym na swych pracowników wywierał tak sugestywny wpływ.

— Przyszedłem pana prosić o pewne wyjaśnienia, wyjaśnienia w czysto osobistej sprawie. Nie wątpię, że zechce mi ich pan udzielić.

— Jeżeli tylko uznam to za możliwe.

— Przyszedłem do pana w sprawie panny Reny Łaskiej.

— Panna Łaska jest ekspedientką w magazynie. Chce pan, bym udzielił panu referencji o niej?

— Nie chodzi mi o żadne referencje. — Młodego Gardę poczęło znowu ogarniać wzburzenie. — Pan zresztą bardzo dobrze wie, o co chodzi. Chcę wiedzieć, co pana z nią łączy?

Starszy pan wpatrywał się w Janusza, jak gdyby chcąc zahipnotyzować go wzrokiem.

— To pięknie. Na jakiej podstawie i jakim prawem pyta mnie pan o to.

— Kocham tę dziewczynę — odpowiedział z prostotą Janusz.

— Kocha ją pan — powtórzył z wolna Szalski. — To w porządku, ale wobec tego daleko prościej byłoby ją zapytać, jak się przedstawiają te sprawy.

Młody Garda zrozumiał, że ośmieszył się w oczach tego człowieka. Już nie myślał o rewolwerze, który ciążył mu w kieszeni ubrania.

— Dziwię się bardzo, że pyta mnie pan o to — zabrzmiał zimny głos Szalskiego. — Nie myślę wyjaśniać panu, jak wyglądają sprawy, ale gdybym nawet był przyjacielem czy kochankiem panny Łaskiej nie dowiedziałby się pan i tak ani słowa ode mnie. Między dżentelmenami – a za takiego uważam siebie i chcę uważać pana – podobne tematy są wykluczone.

— Więc pan zaprzecza?

Szalski uśmiechnął się i ruszył ramionami.

— Jestem daleki od zaprzeczania — wytrzymał krótką pauzę — podobnie zresztą, jak i od potakiwania. Powiedziałem już panu, iż nikt za żadną cenę rozmowy na podobne tematy nie będzie ze mną prowadził.

Janusz wstał. Zrozumiał, że Szalski, zaprzeczając, potwierdza. Tak by to zresztą zrozumiał każdy na jego miejscu i w jego nastroju.

— To jest wszystko, co może mi pan o tym powiedzieć.

— Naturalnie.

— Zatem dziękuję panu.

Dyrektor skinął głową.

— Zanim pan pójdzie, ja jeszcze chciałem coś panu powiedzieć. Rozumiem pana wzburzenie i pojmuję doskonale, że to porywczosć młodości skłoniła pana do tego nieprzemyślanego kroku. Proszę przyjąć do wiadomości, że w chwili, kiedy pan stąd wyjdzie, wizytę pana uznam za niebyłą. Zapomnę o niej.

— A ja nie zapomnę!

W głosie Janusza zabrzmiał ton ukrytej groźby. Skinął lekko głową i wyszedł.

Szalski po wyjściu Janusza, po bardzo krótkim namyśle, nacisnął guzik dzwonka.

— Wezwać Wnukównę — polecił. — A zaraz potem pannę Łaską. Tylko szybko.

---

<sup>(1)</sup> Autor nazywa błędnie browning rewolwerem. To jest pistolet.

## ROZDZIAŁ XIII

Zanim Kazia przyszła, miał Szalski telefon od Hufnagla, który przypominał mu o obiecanych pieniądzach dla mecenasa Saskiego.

W nawale interesów i zajęć, sprawa tych pieniędzy wyszła Szalskiemu zupełnie z głowy. Wysłuchał biadań Hufnagla, że lada godzina może być za późno, bowiem może być wykryta defraudacja popełniona przez młodego Saskiego, po czym udzielił mu suchej odpowiedzi, że pieniądze dostarczy mu sam pojutrze i że nie mogą one być ani o godzinę wcześniej.

Na widok ekspedientki Szalski skinął głową.

— Niech pani siada — polecił bez wstępów — będziemy pisali.

— Jestem gotowa, panie dyrektorze.

— Przypominam pani rozmowę, jaką mieliśmy z sobą. Nadszedł czas realizacji naszego planu. To, co pani podyktuję musi pani przepisać, zmieniając o ile możności najwięcej charakter pisma.

— Anonim do Janusza Gardy — zapytała domyślnie.

— Nie. Zaadresuje pani list do prokuratora Tomasza Gardy. Tutaj ma pani papier — dodał, widząc, że rozgląda się po biurku i wskazał jej na blankiet firmowego papieru z nadrukiem *Dyrekcja*.

Kazia ujęła ten blankiet i poczęła ołówkiem notować brulion listu, jaki dyktował jej Szalski. Ani przez chwilę nie zawahała się i nie zastanowiła, że popełnia jedną z największych podłości, jakich się można dopuścić.

Dyrektora natomiast denerwowało redagowanie anonimu.

Gdy list był gotów wyciągnął rękę i ujął brulion.

— Pisz pani niewyraźnie! — rzekł mimochodem, czyniąc swą ręką kilka poprawek na arkuszu papieru.

— W każdym razie dość wyraźnie, by pan prokurator Garda odczytał ten list — zaśmiała się złośliwie Kazia.

Dyrektor domu towarowego zmarszczył brwi.

— Niech pani słucha uważnie! — powiedział, oddając dziewczynie opatrzony poprawkami brulion anonimu. — Przepisz pani ten tekst na zwyczajnym listowym papierze, zmieniając charakter pisma. Wrzuci pani list dziś wieczór w głównym urzędzie pocztowym, w ten sposób, by jutro rano go doręczono. Zaraz po przepisaniu zniszczy pani ten brulion. Najlepiej będzie go spalić.

— To wszystko, panie dyrektorze?

— Tymczasem tak. Proszę się nie obawiać! Jutro panna Łaska będzie doszczętnie skompromitowana w oczach Janusza Gardy i wówczas otworzą się przed panią nowe możliwości.

Szalski podał jej na pożegnanie rękę, ale, gdy była już u drzwi, zawrócił ją.

Przyszło mu na myśl, że nie było rzeczą zbyt bezpieczną zostawianie brulionu listu w rękach Kazi. Jakkolwiek bądź, mogła to być broń przeciwko niemu.

— Jeszcze jedno! Brulion ten zwróci mi pani jutro lub przy najbliższej okazji.

Zniszczymy go razem.

Sprytna dziewczyna skinęła potakująco głową i uśmiechnęła się domyślnie.

Wracając z biura dyrektora do magazynu, zastanawiała się nad tym, jak uczynić, by brulion listu pozostał w jej rękach. Na brulionie było kilka poprawek poczynionych ręką Szalskiego i to nadawało owemu arkuszowi szczególną dla niej wartość. Posiadanie go dawało Kazi broń przeciw dyrektorowi magazynu i to broń nie lada, w jej bowiem mocy byłoby wówczas skompromitowanie Szalskiego w każdej chwili, kiedy by tylko chciała.

Niedługo zadzwoniono na przerwę i Kazia wyszła szybko z magazynu.

W małej restauracyjce, gdzie czasami spożywała obiad, zażądała atramentu i pióra i postępując w myśl wskazówek pracodawcy, przepisała z brulionu treść anonimu. Następnie nalepiła znaczek i wrzuciła list do skrzynki na placu Napoleona.

Brulion anonimu schowała starannie w torebce, przyrzekając sobie, iż nie odda go Szalskiemu wcześniej, aż ten upomni się o niego zupełnie wyraźnie.

Tymczasem Stanisław natychmiast po wyjściu Kazi, wezwał do Szalskiego Renę.

Była tego dnia szczególnie zdenerwowana i rozdygotana. Jakiś bezrobotny zagrożony eksmisją z domu, w którym Rena mieszkała, powiesił się na klatce schodowej. Dziewczyna, idąc do pracy, była właśnie świadkiem, jak ciało zabierano do prosektorium i uczyniło to na niej wstrząsające wrażenie.

Westchnęła, gdy wezwał ją Szalski. Wiedziała, że będzie znowu musiała bronić się przed jego natarczywością.

Szalski stawał się coraz zuchwalszy i atakował coraz bardziej. Myślała o tym z coraz większą rozpaczą. Przecież podczas ostatniej rozmowy dał jej wyraźnie do poznania, że jeżeli chce pracować, musi należeć do niego.

W sercu jej, które nie знаło dotąd nienawiści, poczęło się budzić to uczucie. Ten człowiek usiłował brutalnie wcisnąć się w jej życie wtedy, gdy pokochała po raz pierwszy i gdy miłość ta mogła stać się jedynym jasnym promieniem w jej ciężkim życiu.

Szalski nie prosił jej tym razem by usiadła, nie powiedział jej jednego słowa powitania, lecz od razu przystąpił do rzeczy.

— Jest pani zredukowana. Dziś, po przerwie obiadowej, może już pani nie wracać do magazynu. Zaraz wydam polecenie, by buchalteria dokonała z panią obliczenia. Otrzyma pani naturalnie pensję za okres wypowiedzenia i za urlop. Przykro mi bardzo, że musimy się rozstać.

Pod Reną ugięły się nogi.

— Panie dyrektorze... Dlaczego?

Wielkie, śliczne oczy wpatrywały się rozszerzone przerażeniem w surowe rysy Szalskiego.

I nagle przypomniała sobie dzisiejszy ranek i owego trupa, którego zdejmowano z futryny okna w klatce schodowej. Dopiero od dziś rana wiedziała i pojęła, co to jest bezrobocie.

— Panie dyrektorze!... — zaczęła prosić. — Czy nie mógłby pan zmienić tej decyzji?... Mam przecież na utrzymaniu biedną, starą matkę... Pan sam wie dobrze o niej wszystko... Jeżeli proszę pana o coś — głos jej załamał — to tylko ze względu na nią...

Rozłożył ręce.

— Względy były bardzo wielkie, pani jednak sama z nich zrezygnowała.

Dziewczyna obróciła się i jęła iść ku drzwiom, gdy zatrzymał ją głos szefa.

— W ostatecznym razie mogę wziąć pod uwagę wyjątkowe położenie pani. Nie mam jednak w tej chwili czasu, by mówić o tym z panią.

Czekała, co powie dalej. Domyśliła się, że teraz odkryje przed nią swe karty.

Jakoż nie pomyliła się. Dyrektor Szalski po chwilowej pauzie ozwał się znowu:

— Jeżeli pani chce, byśmy o tym wspólnie pomówili, możemy to zrobić. Może znajdzie dla pani inne możliwości. Tutaj jednak nie ma mowy o tym, bym znalazł spokojną chwilę.

— Chce pan zatem, byśmy się spotkali — przerwała mu z ironią.

— Tak! — powtórzył spokojnie. — Jeżeli pani chce byśmy pomówili o sprawie tej dymisji, możemy to uczynić u mnie w domu. Nigdzie indziej. I to nie dzisiaj. Powiedzmy jutro. Najlepiej jutro o ósmej. Zna pani mój adres?

Wymienił go zupełnie dokładnie, nie spuszczając z niej oka.

Rena podniosła głowę i spojrzenia ich zmierzyły się. Ogarnął ją nagły spokój. Powzięła decyzję. Powiedziała sobie, że pójdzie do Szalskiego. Musi pójść. Nie ma na to innej rady. Jeżeli nie pójdzie jutro i zostanie wyrzucona z pracy, wówczas może się zdarzyć, że pod wpływem nędzy i głodu będzie musiała skorzystać z innej podobnej, tylko mniej uprzejmej oferty. Nie pamiętała w tej chwili o Januszu, nie zdawała sobie sprawy z tego, czy powie mu o tym, czy zasięgnie jego rady, czy też zamilczy przed nim wszystko. W tej chwili myślała tylko o tym, że jeżeli nie powie Szalskiemu *dobrze*, będzie musiała zebrać manatki, dokonać rozliczenia w buchalterii i wynosić się natychmiast z domu towarowego. Musiała zapobiec temu.

— Rozumiem pana doskonale — rzekła, nie tytułując go już dyrektorem. — Adres pamiętam bardzo dobrze. Będę u pana jutro o ósmej. Jeżeli mnie pan jednak dotknie — dodała z nienawiścią — zabiję pana!

Uśmiechnął się ironicznie. Słowa te były dla niego najlepszym dowodem, jak dalece czuła się bezsilna.

— Jestem spokojny, że postąpi pani, jak człowiek rozsądny.

— Uczę się stale rozsądku, panie dyrektorze — odpowiedziała z goryczą.

Gdy drzwi zamknęły się za Reną, Szalski uśmiechnął się do siebie. Był spokojny o to, że upragniona dziewczyna, której sam widok w najwyższym stopniu drażnił jego zmysły, będzie w jego ramionach, nawet wbrew swej woli.

Umiał dobrze aranżować te rzeczy i nie wątpił o tym, że reszta będzie należeć do niego, gdy tylko przestąpi próg jego mieszkania. Zresztą w danej chwili nie o to jeszcze chodziło. Stokroć ważniejsze będzie to, że młody Garda będzie się mógł przekonać, iż podejrzenia jego są smutną prawdą. Pozory zgubią Renę i nie pomogą żadne jej wysiłki, by wytłumaczyć Januszowi, iż myli się w oskarżeniach.

## ROZDZIAŁ XIV

Wszystko składało się jak najgorzej.

Poprzedniego dnia, przed ową rozmową z ojcem, która obudziła w nim taką rozpacz, Janusz, rozstając się z Reną, umówił się z nią, iż wyjdzie ona w czasie południowej przerwy z magazynu i że razem udadzą się na obiad.

Rozstali się przecież w jak najlepszych humorach i nic nie wróżyło Januszowi, że w domu czekać go będzie ojciec z hiobowymi wieściami.

Oczekiwał ją w miejscu, gdzie się umówili, na skrzyżowaniu ulic, na których rogu mieściła się ulubiona restauracja Reny. Nigdy bardziej nie pragnął, by przyszła prędej, nigdy nie oczekiwał jej bardziej niecierpliwie, nigdy z większym niepokojem i rozterką nie wypatrywał jej wdzięcznej smukłej sylwetki. Nigdy częściej nie spoglądał na zegarek i nie śledził poruszających się szybko wskazówek.

Tyle miał spraw do omówienia. O tak wiele wyjaśnień chciał ją prosić!

Rena jednak nie przychodziła.

Nie wiedział, że po rozmowie, jaką miała z Szalskim, dziewczyna udała się do garderoby ekspedientek i tam wtulona w kąt płakała gorzko i długo. Rozległ się dzwonek na przerwę, ale Rena nie myślała wcale o tym, by wyjść na spotkanie z Januszem. Nie spieszyło się jej wcale do niego i nawet – czego nie mogła sobie wytłumaczyć – odczuła po raz pierwszy, od kiedy się znali, jakąś dziwną niechęć do kochanego człowieka.

Cóż on mógł jej poradzić? Cóż mógł poradzić, skoro zależny był finansowo od ojca i, o ile chodziło o ich małżeństwo, musiał się liczyć z jego wolą, a nawet i z kaprysem? Czy polepszyłoby to w czymś sprawę, gdyby powiedziała mu wszystko? Po co zresztą miałyby to czynić? Jutro o ósmej i tak wszystko się skończy, a jeżeli nie jutro, to pojutrze, za tydzień lub za dziesięć dni.

W jej rozgorączkowanym umyśle Szalski przedstawił się teraz, jako złowroga siła, której niepodobna uniknąć.

Młody Garda czekał daremnie i owego południa nie doczekał się Reny.

Był to jeden z najbardziej męczących i przykrych dni, jakie przeżył.

Zadzwoił do domu, by donieść, że nie przyjdzie na obiad, po czym wałęsał się po mieście, aż przyszła godzina, kiedy trzeba było udać się do kancelarii adwokata Saskiego, u którego odbywał praktykę adwokacką.

Punktualna obecność jego była tym bardziej konieczna, że mecenas Saski był w ostatnich dniach niezwykle zdenerwowany i roztargniony, tłumacząc przed nim ten swój stan niedyspozycją i przemęczeniem.

Janusz miał owego dnia wiele roboty, która pozwoliła mu na okres dwu godzin zapomnieć o smutnej rzeczywistości. Nie było rady, musiał zdobyć się na cierpliwość i doczekać się chwili, kiedy Rena będzie wychodzić z magazynu. Inaczej nie sposób było ją zobaczyć. Przygotowywał się już do wyjścia, gdy zadzwonił znajomy dziennikarz, donosząc mu, iż zgodnie z wyrażoną przed kilku dniami prośbą będzie mu mógł służyć nazajutrz wolnymi biletami do teatru.



Podziękował z zadowoleniem, jego bowiem młoda natura nie mogła znajdować się długo w stanie przygnębienia i smutku. Przyszło mu na myśl, że będzie mógł jutro pójść z Reną do teatru, co zawsze było dla nich ogromną radością.

Idąc w kierunku domu towarowego, wstąpił na chwilę do jakiegoś baru, by zaspokoić głód, po czym już w lepszym nastroju znalazł się o zmroku pod magazynem.

Rena wyszła sama, blada i wymęczona. Spodziewała się, że Janusz wyjdzie po nią, jednakże przywitała go bez żadnej radości.

Rozmowa zaczęła się od łagodnej wymówki Janusza, że przez półtorej godziny czekał na nią bezskutecznie, że nie dotrzymała przyrzeczenia. Pytał wreszcie, co się stało, co robiła w tym czasie i czy nie spotkała jej jakaś przykrość.

Ruszyła niechętnie ramionami. Głowa bolała ją ogromnie i jedynym jej pragnieniem było znaleźć się jak najprędzej w domu, położyć się do łóżka i zasnąć, by chociaż podczas snu nie myśleć o matni, w jakiej się znalazła.

— Nie gniewaj się — odpowiedziała mu chłodno — nie mogłam przyjść. Wiesz przecież, że gdybym mogła, byłabym z pewnością to zrobiła.

Ogarnęło go nagle rozdrażnienie.

— Sądzę, że możesz mi powiedzieć, co się stało? Chciałbym teraz pójść z tobą do jakiejś kawiarni i pomówić o bardzo ważnych rzeczach.

— Co ty wiesz, Januszu o ważnych rzeczach! Jakież ważne rzeczy mogą dziać się w twoim życiu. Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś rozmowę naszą odłożył na inny raz.

— Szkoda! — odpowiedział, czując, że wzbiera w nim gniew. — Rozmawiałem wczoraj wiele z ojcem o tobie i... twojej rodzinie.

Zdenerwowanie jego bynajmniej nie wpłynęło na nią uspokajająco. W tonie, jakim wypowiedział słowa *i twojej rodzinie*, wyczuła chęć obrazy. Była to najczulsza struna, jakiej można było dotknąć.

— Co chcesz powiedzieć o mojej rodzinie? Czy ojciec twój szpiegował nas?

— Reno! — ozwał się rozżalony. — Dlaczego nie powiedziałaś mi w jakich warunkach mieszkasz i dlaczego nie mówiłaś mi o swej matce?

Szli obok siebie, przeciskając się przez rojną ulicę, obcy w tej chwili dla siebie i dalecy. Rena nie od razu odpowiedziała. Wszystko zbiegło się naraz. I dymisja i zuchwałe żądania Szalskiego i przeniknięcie przez Janusza jej tajemnicy.

— Posłuchaj mnie, Januszu — rzekła wreszcie. — Nie mówiłam ci nic o tym, bo uważałam, że jest czas jeszcze na to i że nic mi w tym pomóc nie będziesz mógł. To, że matka moja jest notoryczną pijaczką, jest zbyt smutne dla mnie, bym miała się tym chwalić. Uważam przy tym, że jeżeli mnie kto kocha, kocha mnie dla mnie samej.

— Mimo to, powinnaś była powiedzieć mi wszystko.

— Masz o to do mnie pretensję?

— Tak. Chciałbym wiedzieć jeszcze jedno. Chciałbym wiedzieć, jaką rolę odgrywa w twym życiu pan Szalski?

Rena znowu przystanąła. Krew rzuciła się jej do twarzy. Ogarnęło ją ogromne wzburzenie. Janusz w tej chwili stał się prawie nienawistny.

— Obawiam się, że pożegnamy się tutaj — powiedziała drżącym głosem. — Przyszedłeś widocznie pod magazyn z tą myślą, by mnie obrazić, a ja obrazić się nie pozwolę.

Spojrzał na nią ostro.

— Jak to, Reno, nie chcesz mi odpowiedzieć?

— Nie, Januszu!

Głos jej drżał i połykała gorzkie łzy. Jakże pragnęłaby przytulić się do jego ramienia i opowiedzieć wszystko, co ją dzisiaj spotkało, wyzalić się przed nim i wypłakać z mocną, niewzruszoną wiarą, iż pomoże jej i wyrwie ją ze strasznej sytuacji, w jakiej się znalazła.

Nie mogła jednak tego zrobić. Z tych dwu pytań, jakie jej zadał, zrozumiała, że stary Garda dostarczył synowi dokładnych informacji o jej osobie i warunkach, w jakich żyła, nadając owym faktom odpowiednie zabarwienie. Konkluzją była na pewno rada lub nacisk, by porzucił myśl o małżeństwie. Była zdana jedynie i wyłącznie na własne siły.

Janusz nie odpowiedział na jej ostatnie słowa i przez długą chwilę szli w milczeniu.

Wreszcie innym już tonem ponowił swą prośbę, by nie szła do domu, lecz by spędzili wieczór razem. Potrząsnęła głową i odpowiedziała, że stanowczo chce udać się zaraz do domu.

— Wobec tego jutro wybierzemy się do teatru — rzekł, ujmując jej rękę i siłąc się na pogodę.

— Niestety, i jutro będzie to niemożliwe. Jutro mam wieczór zajęty.

— Masz zajęty wieczór? — powtórzył niezmiernie zdziwiony. — Czy nie mogłabyś mi powiedzieć — dodał lodowatym tonem — gdzie i jak spędzasz jutro wieczór?

— Nie! Tego ci nie powiem.

— Szalski! Szalski! Szalski! — przebiegało nieustannie przez myśl Janusza i czuł, że serce zamiera mu w piersi. Coraz gorsze i potworniejsze podejrzenia poczęły go opanowywać z coraz to większą mocą. Rena po raz pierwszy tak mówiła do niego. Po raz pierwszy miała zajęty wieczór, odkąd się znali. Dotąd zawsze wszystkie wieczory, które chciał, były do jego dyspozycji.

Wydawała mu się w tej chwili ogromnie obca i niezrozumiała. Szukał dla niej jakichś dobrych i serdecznych słów, nie mógł ich jednak znaleźć.

A Rena po raz pierwszy w życiu poczęła obliczać i kalkulować jak lichwiarz. Musiała przeprowadzić podwójną grę, a celem tej podwójnej gry było nie zrywać z Januszem, którego kochała, i nie tracić pracy, która była dla niej kwestią bytu.

Jedyną nadzieją w tej chwili było oszukiwanie Szalskiego i odraczanie wszelkimi sposobami decydującego momentu. Być może w owym działaniu na zwłokę nastreczy się jakieś szczęśliwe rozwiązanie, znajdzie się jakaś droga wyjścia? Tymczasem musiała dołożyć wszelkich starań, by Janusz niczego nie wiedział, bo wówczas mogłyby się stać straszne rzeczy.

— Januszu! — rzekła — dlaczego mi nie wierzysz? Nie wiesz może, jak bardzo potrzebuję w tej chwili kilku słów pokrzepienia. Przyjdzie czas, kiedy być może, będę ci mogła wszystko powiedzieć.

W odpowiedzi ruszył niechętnie ramionami.

— Nie postępujesz ze mną uczciwie. Jeżeli masz jakąś troskę, powiedz ją mnie, poradzę ci, jak będę umiał najlepiej. Jeżeli będzie trzeba, wystąpię w twojej obronie.

— Nie mogę, Januszu! Nie mogę!...

Popatrzył na nią zamglonym wzrokiem. W umyśle jego mieściła się tylko jedna prawda, jedno zdanie, które wypowiedziała Rena. *Mam jutro wieczór zajęty...*

Zbliżył się właśnie do czerwonej kuli przystanku tramwajowego.

— Odwieszysz mnie do domu, Januszu?

Pokręcił przecząco głową.

— Nie, Reno!...

— Gniewasz się na mnie?

— Nie gniewam się, tylko cię nie rozumiem.

— To gorsze, niż gdybyś się gniewał.

— Skoro masz przede mną tajemnice, nie widzę po prostu podstaw do naszej dalszej

rozmowy.

Pociemniałymi od bólu oczyma wpatrywała się przez chwilę w jego zmienioną twarz.

W oddali pojawił się oświetlony numer tramwaju. Był to wóz idący w kierunku domu

Reny.

— W takim razie... — głos jej drżał lekko, jak gdyby tłumiła łzy - nie pozostaje nam nic innego, jak pożegnać się z sobą.

— I ja tak sądzę! — rzekł zawzięcie, chociaż gniew i uraza topniały już w jego sercu.

Podniósł do ust jej rękę. Tramwaj podjeżdżał do przystanku. Rena stała nieporuszona i patrzyła na Janusza. Zadawała sobie pytanie, czy to, co się teraz dzieje, jest rozstaniem już raz na zawsze. Czy też Janusz zrozumie ją i powróci serdeczny i kochany, taki, jakim był dawniej?

Panowała nad sobą ostatkami woli.

Przystąpiła do niego szybko i zanim mógł się zorientować, wspięła się na palce, po czym, nie zważając na otaczających ich ludzi, pocałowała go w usta.

— Pamiętaj! — wyszeptała zdławionym głosem. — Pamiętaj, cokolwiek dowiedziałbyś się o mnie, że tylko ciebie jednego kochałam...

I z oczyma pełnymi łez wskoczyła na platformę tramwaju.

## ROZDZIAŁ XV

Anonim, pisany ręką Kazi, wręczył listonosz prokuratorowi w bramie domu, tam bowiem spotkał pana Tomasza Gardę wychodzącego do sądu z teką pełną akt.

Starszy pan, do którego domu rzadko kiedy przychodziły listy, obejrzał kopertę z wielkim zaciekawieniem. Była adresowana ręką kobiecą, a na odwrocie koperty nie było nazwiska nadawcy.

Pan Tomasz zatrzymał się przed bramą i rozdarł niecierpliwie kopertę.

Rzucił okiem na podpis *Osoba życzliwa* i już rozumiał, że ma do czynienia z anonimowym listem.

Sięgnął po binokle i przeczytał anonim powoli i uważnie, po czym schował go starannie do koperty i wrzucił do teki.

Anonim dotyczył Janusza i Reny.

Garda uczynił ruch, jak gdyby miał zamiar zawrócić z drogi i udać się do mieszkania, by pokazać anonim Januszowi.

Uczynił już kilka kroków w kierunku klatki schodowej, zatrzymał się jednak i porzucił ów zamiar. Uznał, zgodnie ze swymi zwyczajami, że nie należy działać zbyt pośpiesznie. Trzeba było zastanowić się nad listem i działać powoli i ostrożnie.

Zajął miejsce w taksówce i w czasie jazdy raz jeszcze sięgnął po anonimowe pismo.

Obojętne było, kto był autorem anonimu, choć nieudolnie zmieniony charakter pisma zdradzał kobietę.

Istnieje stare powiedzenie, że w każdym kłamstwie mieści się łut prawdy. Istnieje też stara zasada, której hołdują władze policyjno-sądowe, że w każdym anonimie mieści się odrobina prawdy, chociażby nawet w swym założeniu list anonimowy był oszczerstwem.

*Życzliwa osoba* podawała dokładnie godzinę, w której Rena Łaska miała dzisiaj odwiedzić Szalskiego. Cóż było prostszego, jak przekonać się, czy mówiła prawdę, coż było prostszego, jak pozwolić Januszowi przekonać się naocznie o prawdzie anonimu?

Był w tej chwili zadowolony, że nie poszedł za pierwszym impulsem, że nie wrócił się i nie pokazał synowi natychmiast anonimu. Oszczędził mu w ten sposób kilku godzin zdenerwowania.

Prokurator Garda bowiem, zaraz po drugim przeczytaniu listu, rozstrzygnął pytanie, czy pokazywać synowi ów list, czy też nie.

Odpowiedź dał sobie momentalnie, a odpowiedź ta brzmiała: pokazać.

Rena była nieuczciwą, wyrafinowaną dziewczyną, która oszukiwała Janusza, kłamiąc mu o swej miłości i utrzymywała zarazem stosunek ze swym bogatym szefem. Cudzej utrzymanki i córki alkoholiczki nie mógł jego syn pojąć za żonę. Złamałoby mu to całe życie i obowiązkiem ojcowskim prokuratora było obronić syna przed popełnieniem głupstwa. Wykorzystać ów list było jego powinnością.

Bolesnym lekarstwem miał być dla Janusza anonim, jeszcze bolesniejszym lekarstwem miało być przekonanie się o prawdziwości słów anonimu, jednakże Tomasz Garda, będąc człowiekiem surowych zasad i zwolennikiem bezwzględnych i zdecydowanych posunięć

życiowych, uważał, iż ranę należy wypalać żelazem i że lekarstwo tym bardziej skutkuje, im bardziej jest przykre.

Przyoblekając się w toę z czerwonymi wypustkami myślał jeszcze ciągle o owym anonimie i układał sobie, w jaki sposób będzie rozmawiał z synem. Zdążył jeszcze zatelefonować do domu i powiedział służącej, by powiadomiła Janusza, iż chce się z nim koniecznie zobaczyć w czasie obiadu.

W kwadrans potem zapomniał już o wszystkim. Złowrogi anonim spoczywał w tece, ale prokurator Garda nie myślał już o trosce swego syna ani o przykrości, jaką miał mu wyrządzić, lecz chłodny i opanowany, z nieubłaganą logiką i właściwym sobie ciętym, nieco kostycznym dowcipem, oskarżał w wielkim procesie fałszerzy pieniędzy.

Janusz obudził się dnia tego późno i żałował, że nie mógł spać dłużej. Sen bowiem przynosił mu zapomnienie, a zaraz po obudzeniu opadły go wspomnienia przykrej rozmowy z Reną oraz dręczyć go poczęły te wszystkie podejrzenia, jakich nabrał w ciągu dwu ostatnich dni.

Nie ulegało wątpliwości, że wszystkie pozory świadczyły przeciwko dziewczynie, iż zbieg okoliczności, na który złożyły się informacje jego ojca, rozmowa z Szalskim oraz fakt, że nie chciała mu powiedzieć, jak i gdzie spędzi ten wieczór bez niego, układał się przeciwko niej.

Jedno, połączone z drugim, formowało się w wielkie oskarżenie Reny i trzeba było mieć bardzo wiele cierpliwości, zimnej krwi i doświadczenia życiowego, by myśleć inaczej i by nakazać sobie spokój.

Powiedziała mu Józefowa, że ojciec prosił go, aby był punktualnie na obiedzie. Wyszedł więc z domu tylko na chwilę, by odwalić termin w sądzie grodzkim, po czym wrócił z pośpiechem do domu, jak gdyby obawiał się, iż ulegnie pokusie i wyjdzie w południe pod magazyn, by zobaczyć się z Reną.

W oczekiwaniu na ojca, odszukał w książce telefonicznej adres Artura Szalskiego. Nie wiedział dokładnie, dlaczego to robi. W każdym jednak razie zapamiętał sobie dobrze ten adres.

W takim nastroju zastał go ojciec.

Stary prokurator miał dla niego to samo zdawkowe współczucie, jakie miałby dla każdego innego człowieka, któremu musiałby zadać cierpienie. Po przywitaniu, jął z synem prowadzić pogodną, beztreściwą rozmowę, przeskakując z tematu na temat. Rozmowa rwała się, bowiem Janusz odpowiadał półsłówkami, nie zdradzając ochoty do podtrzymywania jej.

Wreszcie, przy czarnej kawie, Garda wstał od stołu i sięgnął do swej teki.

— Chciałem się dowiedzieć, Januszu, czy widziałeś się po naszej ostatniej rozmowie z panną Łaską?

— Owszem, widziałem się!

Janusz mówił z przymusem, unikając wzroku ojca.

— Nie wątpię, że pytałeś ją o te szczegóły jej życia, o których cię poinformowałem — mówił powoli dalej Tomasz Garda, grzebiąc w tece w poszukiwaniu anonimowego listu.

Gdy syn nie odpowiadał, podniósł głowę i zapytał, mrużąc oczy:

— Jakże? Mówiłeś z nią? Hę?...

— Mówiłem! — padło krótko z ust Janusza.

— Rzecz prosta, przekonała cię, że to wszystko kłamstwo?

— Mylisz się! Nie chciała ze mną o tym wcale mówić.

Prokurator pokiwał domyślnie głową.

— To bardzo wygodne... Chciałbym jeszcze wiedzieć, czy nie umówiłeś się z nią na dziś wieczór?

— Nie wiem, dlaczego cię to interesuje.

Pan Tomasz obracał w ręku niewielką kopertę.

— Rad bym się tylko upewnić, czy na twoją propozycję zobaczenia się z nią, bo nie wątpię, że taką propozycję jej zrobiłeś, nie odpowiedziała ci, że ma wieczór zajęty lub też, czy nie użyła jakiegoś wykrętu. Na przykład choroba matki lub coś równie naiwnego a prawdopodobnego.

Janusz drgnął i pochylił się ku ojcu, patrząc na mego rozszerzonymi oczami.

— Skąd... skąd wiesz o tym? — wykrztusił wreszcie.

— Mój drogi! — w głosie ojca brzmiała wielka wyrozumiałość. — Zapominasz, że w moim wieku ma się już sporą dozę doświadczenia. Przyjrzyj się tej kopercie. Czy znasz to pismo?

Młody człowiek zaledwie spojrzął na kopertę:

— Nie... Nie znam.

— Wobec tego zdobądź się na odrobinę spokoju i przeczytaj ten list. Otrzymałem go dziś rano. Właśnie dlatego prosiłem, byś był na obiedzie, ponieważ chciałem, byś go na czas przeczytał. List adresowany jest do mnie, ale treść jego dotyczy ciebie.

Przeczuwając, że spada na niego nowy cios, Janusz Garda wysunął z koperty arkusz zapisanego papieru i spojrzął w pierwszym rzędzie na podpis.

— Osoba życzliwa... — odczytał półgłosem, po czym kładąc list na stole, rzekł pogardliwie: — Anonim?...

— Masz rację! Jest to istotnie anonim. Mimo to radzę ci przeczytaj go uważnie, a potem powiesz mi, co o tym sądzisz.

Janusz Garda ujął list z powrotem w rękę i począł go czytać. W miarę jak oczy jego przebiegały pismo, litery poczęły mu skakać przed oczyma, a dłoń trzymająca arkusz papieru poczęła drżeć.

Anonim brzmiał:

*Zapewne wiadomo Panu, że syn Pana od pewnego czasu nawiązał bliższy stosunek z niejaką Reną Łaską, ekspedientką w „Domu Towarowym A. Szalski i S-ka”.*

*Nazwisko moje musi pozostać nieznane, niech mówią za mnie dobre chęci. Spieszę jednak ostrzec Pana Prokuratora, iż owa Rena Łaska, córka alkoholiczki znajdującej się na dnie upodlenia, prowadzi wobec syna Pańskiego nieuczciwą grę. Od dłuższego czasu łączą ją intymne stosunki z szefem magazynu, panem dyrektorem Arturem Szalskim.*

*Jeżeli pragnie Pan oszczędzić synowi bolesnych rozczarowań, radzę nie taić przed nim prawdy. Ponieważ zazwyczaj nie daje się wiary listom anonimowym, komunikuję, iż wiadome mi jest, iż Rena Łaska ma dzisiaj wieczór spędzić w mieszkaniu swego przyjaciela. Wystarczy, by pan Janusz Garda, wieczorem około godziny ósmej znalazł się w pobliżu domu, w którym mieszka pan Artur Szalski, a będzie miał sposobność zobaczyć swą kochankę wchodzącą do bramy owego domu.*

*Piszę ten anonim z zupełnym spokojem, w świadomości, że oddaję Panu, Panie Prokuratorze, oraz synowi Pańskiemu wielką usługę, demaskując dwulicowość tej dziewczyny i nie dopuszczając, by pan Janusz Garda unieszczęśliwił się lekkomyślnym życiowym krokiem.*

Mijały długie chwile, a Janusz nie wypuszczał anonimowego listu z ręki, wpatrując się tępo w złowieszcze pismo.

Jedyna myśl, jaka wreszcie zdołała się skryształizować w jego umyśle, była to myśl, że Rena wbrew wszelkiej rzeczywistości, wbrew wszystkiemu, co o niej wiedział i co w niej kochał, była jednak utrzymanką Szalskiego. Miał więc rację ojciec, że wszystko, co mu mówiła, było niegodziwym, podłym kłamstwem i oszustwem były jej pocałunki i przyrzeczenia wierności.

Siedział osłupiały i oprzytomniał dopiero, gdy prokurator, widząc niesamowitą bladłość jego twarzy, pochylił się przez stół i wyjął arkusz papieru z jego bezwolnych palców.

— Pozwolisz, że zachowam ten list — rzekł stary Garda, nadając głosowi ton ostry, by przywołać tym Janusza do przytomności.

Syn podniósł głowę i spojrzał na niego błędnym wzrokiem.

— To nie może być prawdą... — wyszeptał.

Garda położył rękę na ramieniu syna.

— Mój biedny chłopcze — ozwał się cieplej niż zwykle. — Czyż i teraz nie wierzysz? A jeżeli jest to prawda, w co ja, niestety, nie wątpię, to trzeba znieść cios mężnie, jak przystało mężczyźnie.

Janusz jednak ukrył twarz w dłoniach i jął powtarzać z akcentem rozpaczony:

— Reno!... Reno!... Reno!...

Garda potrząsnął nim silnie.

— Nie można przecież tak rozpaczać z powodu sprawy, którą sam za kilka tygodni uznasz za epizod w swym życiu. Musisz sobie powiedzieć, że między tobą, a dziewczyną skończone jest wszystko raz na zawsze.

Janusz Garda oparł się o krzesło i ozwał się naraz innym, twardym już tonem:

— Daj mi ten list, ojcze!

— Po co?

— Pójdę, pokażę jej ten list. Muszę dowiedzieć się wreszcie prawdy. Muszę, inaczej oszaleję!

Stary prokurator ruszył ramionami.

— Więc jeszcze nie wierzysz?

— Nie! — wybuchnął Janusz z nowym akcentem rozpaczony.

— Uspokój się! Listu tego nie dostaniesz. Jeżeli nie wierzysz, to masz przecież bardzo prosty sposób przekonania się o prawdziwości tego, co pisze anonim. Idź o oznaczonej godzinie i bądź nieopodal domu, w którym mieszka Szalski. Cóż prostszego, jak przekonać się o wszystkim naocznie?

— Masz rację! To takie proste...

W głosie Janusza obok goryczy było wahanie. Garda zrozumiał, że Janusz obawia się, iż anonim zawiera jednak prawdę.

— Widzę, że obawiasz się tej próby? Ja rozumiem doskonale, że to rzecz bardzo ciężka. Jeżeli nie odradzam ci tego kroku, jeżeli ci go nawet sam poddałem, to tylko dlatego, że jestem zwolennikiem radykalnych kuracji. Musisz mi jednak przyrzec, że nie zobaczysz się przedtem z tą dziewczyną i że nie wywołasz żadnej awantury. Inaczej, choć jestem dorosły, nie pozwolę ci ruszyć się stąd krokiem.

— Dobrze... A jeżeli Reny nie będzie u Szalskiego?...

— Jeżeli panna Łaska nie będzie dziś u Szalskiego, to znaczy, jeżeli anonim okaże się częściowo nieprawdziwy, zbadam jeszcze raz całą sprawę. To mogę ci obiecać, jeżeli przyrzekniesz mi, że postąpisz tak, jak sobie życzę.

Janusz namyślił się.

— A więc zobowiązuję się, że nie będę się widział z Reną w ciągu całego dnia dzisiejszego. Czy jesteś teraz zadowolony?

— Nie wątpiłem, ani przez chwilę, że zastosujesz się do moich warunków — odparł pan Tomasz z dużą dozą pewności siebie.

Artur Szalski dnia tego od rana był w znakomitym humorze, tak dalece, że zwracało to nawet uwagę jego podwładnych.

Był pewny, że Rena, chcąc nie chcąc, ulegnie moralnej presji i w obawie bezapelacyjnej utraty pracy zjawi się u niego tego wieczoru w mieszkaniu. Wiedział doskonale, że nie miała innego wyjścia, jak tylko stać mu się powolną.

Najtrudniejszą bowiem rzeczą było sprowadzenie dziewczyny do domu. Gdy raz znajdzie się w jego mieszkaniu, Rubikon<sup>(1)</sup> będzie już przekroczony. Będzie wówczas na jego łasce i niełasce.

Potem, gdy będzie już po „fakcie”, znajdzie się na pewno trochę łez i obłudnej już nieco rozpaczy, w rezultacie jednak Rena, podobnie jak i jej poprzedniczki, pogodzi się z losem, który nie będzie zresztą wcale przykry. Odezwie się w niej też kobieca chytryść i postara się niewątpliwie wyciągnąć materialne korzyści z pożycia z nim, przeciwko czemu zresztą nic nie miał; był bowiem chętnie hojny dla kobiet, które mu się podobały.

Jego pobudliwa wyobraźnia erotyczna pracowała coraz żywiej, przedstawiając mu ponętne obrazy wzruszeń, jakie miał przeżywać, i Renę, powolną mu już i chętną, spoczywającą w jego ramionach.

Zatelefonował do mieszkania i polecił lokajowi, by przygotował wszystko do wystawnej kolacji. Polecił kupić dużo kwiatów i owoców, przy czym poświęcił chwilę namysłu wyborowi marki koniaku i wina.

Potem, naturalnie, dzwonił Hufnagel. Szalski załatwił go z wielkim zniecierpliwieniem. Żyd alarmował o pieniądze, powiadamiając go, iż mecenas Saski godzi się na wszystkie warunki, byle tylko wydestać żadaną sumę dla ratowania syna.

Szalski zwlekał dotąd, ponieważ istotnie płynną gotówkę miał zaangażowaną w szeregu interesów i czuł przy tym jakąś dziwną niechęć do tej transakcji. Upewnił jednak Hufnagla, iż już niezawodnie nazajutrz rano przyniesie mu sam owe dwadzieścia tysięcy złotych, jeszcze przed udaniem się do magazynu.

Po odłożeniu słuchawki, zastanowił się przez chwilę, po czym zdecydował, iż najlepiej będzie, gdy spienięży papiery procentowe, które miał schowane w biurku.

Dobrze się składało, że nie trzymał ich w mieszkaniu, bowiem zmniejszyło to kłopot transakcji. Włożył pakę obligacji do teki i wyszedł z domu towarowego. Sprzedaż ich musiała mu się opłacać z całą pewnością. Lichwa lepiej bowiem procentowała od nich, a pożyczka udzielona za pośrednictwem Hufnagla adwokatowi Saskiemu, miała, po odliczeniu procentu Żyda, przynieść w krótkim czasie dwadzieścia pięć procent. Udał się do małego kantoru wymiany przy ulicy Marszałkowskiej, gdzie był zupełnie nieznanym i sprzedał część obligacji. Następnie w innym niewielkim domu bankowym pozbył się reszty i z teką wypchaną paczkami banknotów powrócił do magazynu.

Zajęty tymi sprawami i z coraz to większą niecierpliwością śledzący upływające godziny, które dzieliły go od upragnionej chwili, zapomniał zupełnie, iż powinien był zażądać od Kazi zwrotu brulionu listu anonimowego, owego brulionu, na którym własną ręką poczynił poprawki.

Zapadł wreszcie zmierzch i Szalski wyszedł z magazynu wcześniej, niż zwykle.

Dla pewności, przed opuszczeniem magazynu predefilował przez piętro, na którym pracowała Rena i pokazał się jej ostentacyjnie, jakby chcąc w ten sposób przypomnieć dziewczynie, iż nie wolno jej uchylić się od wizyty w jego mieszkaniu.

Rena zaś trwała w swym postanowieniu, nie widząc innego środka ratunku jak ten, który wczoraj obmyśliła, rozgoryczona na Janusza, biedna, opuszczona przez wszystkich i nie mająca



się przed kim wyzalić. Chwilami wpadała w tępy gniew, tym gorszy, że dławiony nie mógł się wyładować. W gniewie tym myślała, że spełni jednak słowa wypowiedziane do Szalskiego i że zabije go, jeżeli będzie się starał ją osiąść.

I ona, podobnie jak Szalski, spoglądała często na zegarek i im bardziej zbliżały się wskazówki do terminu, w którym dzwonki w magazynie miały oznajmić koniec pracy, tym bardziej posępna stawała się jej dusza.

\* \* \*

O tej samej jednak porze więcej było jeszcze w Warszawie niespokojnych ludzi.

Po wyjściu syna, prokurator Garda daremnie starał się wytłumaczyć sobie, iż dzień dzisiejszy jest dniem zwykłym, takim samym, jakich wiele już było i będzie w jego życiu.

Ostatecznie bowiem były to rzeczy tak ludzkie i normalne, że ktoś sam młody i uwiedziony urodą młodej, czarującej dziewczyny, zadurzył się w niej, nie bacząc na jej wartość moralną. Były to rzeczy ludzkie i normalne, że potem poczęły mu się otwierać oczy na prawdę i że prawda ta była bolesna i bezwzględna. Było to rzeczą bardzo ludzką i normalną, że Janusz cierpiał i że przykra rzeczywistość złamała go chwilowo.

Mimo wszystko jednak prokurator nie mógł tym razem oderwać swych myśli od syna. Zasiadł do czytania jakiegoś historycznego dzieła, jednakże szybko odłożył książkę i przyłapał się na tym, że odruchowo spojrzął na zegarek. Gdzie mógł być w tej chwili Janusz? Czy nie był to postępek zbyt lekkomyślny, wysłania go pod dom Szalskiego?

Stary prokurator siedział zamyślony, nie próbując już zwalczać niepokoju o syna, jaki go ogarniał.

Po dłuższej dopiero chwili postanowił powrócić do czytania i zabić w ten sposób czas, który dłużył się niezwykle. W wielkim pokoju jadalnym czuł się osamotniony i przybity, przeszedł więc do swej sypialni, by zagłębić się w ulubionym fotelu. Zapalił wszystkie światła, jakby mrok wpływał na niego denerwująco, i wysunął szufladę nocnego stolika, chcąc wziąć z niej specjalne okulary, jakich używał, czytając przy sztucznym świetle.

Wysunął szufladę nieco bardziej i naraz znieruchomiał.

Pamiętał przecież doskonale, że w głąb szuflady schował rewolwer syna.

Miejsce, na którym położył broń w futerale, było jednak puste. Rewolweru nie było.

Stary Garda zapomniał o wzięciu okularów. A więc Janusz dostrzegł, że ojciec zabrał mu rewolwer. Dostrzegł i szukał broni. Szukał jej i znalazł... Po co zabrał broń? Czyżby w głowie Janusza powstała jakaś straszna myśl, czyżby zrodził się jakiś plan rozpaczliwy, plan do którego wykonania potrzebny był właśnie... browning.

Jaki miał być ten plan? Do kogo zamyślał Janusz skierować śmiertcionośną lufę?

Do Szalskiego, do Reny, czy do siebie?

Jeżeli Janusz miał się ważyć na jakieś szaleństwo, należało je sparaliżować, należało ostrzec, kogo tylko ostrzec się da z bohaterów niespodziewanego dramatu.

Prokurator wrócił do jadalni, chwycił książkę telefoniczną i jął kartkować ją w poszukiwaniu telefonu Szalskiego. Jego przede wszystkim należało ostrzec, bo ostrzec go było najłatwiej.

Od dawna już nie był Garda w tak wielkim podnieceniu. Nerwowo szarpnął tarczą automatu, nastawiając numer.

W słuchawce odezwał się sygnał. Telefon Szalskiego był zajęty.

Słuchawka, którą trzymał Garda, zatoczyła łuk i spoczęła z powrotem na widełkach.

Fakt, że telefon był zajęty, przeważał na inną stronę szalę decyzji. Garda opanował się. Nieszczęsna rozwaga, którą, prokurator kierował się dotąd zawsze i tym razem wzięła górę.

Przyszła refleksja, która powiedziała mu, iż wyolbrzymia sobie niebezpieczeństwo. Dzwonić do Szalskiego i ostrzegać go przed własnym synem, byłoby śmiesznością. Mógł to zrobić każdy inny człowiek, ale dowodu takiego nieopanowania nie mógł składać prokurator Garda.

Zamknął książkę telefoniczną i znowu spojrzał na zegar.  
Była godzina siódma minut czterdzieści pięć.

\* \* \*

W mieszkaniu Szalskiego bieleje obrus na stole, na którym widnieją dwa nakrycia. Krząta się z kocią zręcznością lokaj Szalskiego, ustawiając kwiaty i przygotowując wszystko do kolacji.

W napełnionym lodem kubelku zamraża się flaszka wina. Złoci się na stole koniak w wysmukłej butelce.

Szalski znajduje się w nastroju radosnego oczekiwania. Załatwia kilka telefonów, byle jak najszybciej. Odmawia jakiemuś zaproszeniu. Ma wieczór zajęty...

Jest wyświeżony i ubrany jak z igły. Lokaj wodzi za nim wzrokiem, z niedostrzegalnie drwiącym uśmiechem. Nie pierwszyżna mu! Zna dobrze ten nastrój swego pana.

Nie po raz pierwszy przygotowuje taką intymną kolację na dwie osoby.

Szalski przypomina sobie, iż tekę z pieniędzmi, przeznaczonymi dla Hufnagla pozostawił w przedpokoju. Postanawia przenieść ją do swego gabinetu.

Gdy przechodzi przez jadalnię, źle zamknięta teka otwiera się i kilka banknotów wypada na podłogę.

Dyrektor magazynu uprzedza lokaja i podnosi je. Znosi tekę do gabinetu i rzuca na biurko.

Następnie wraca do jadalni.

— Czy wszystko gotowe, Feliksie?

— Wszystko, proszę pana.

Wprawnym okiem lustruje Szalski stół.

— Bardzo dobrze, Feliksie. Masz dzisiaj wieczór wolny. Możesz wrócić, o której chcesz. Nie wchodzi po powrocie do pokojów bez mego dzwonka.

Ta formułka jest też bardzo dobrze znana lokajowi. Słyszał ją już wiele razy. Jest bardzo zadowolony, ilekroć pan jego ma kobietę w domu, zawsze bowiem ma wtedy wolny wieczór i może nie liczyć się z czasem.

Tym razem jednak Szalski nie kończy jeszcze rozmowy.

Zagłębia rękę w kieszeni marynarki i wyjmuje monetę dziesięciozłotową.

— Proszę, Feliksie! To ci się przyda na drobne wydatki.

Feliks przyjmuje monetę z miną pełną godności. Rozumie doskonale, że panu zależy na tym, by znikł najprędzej.

Poufałym tonem, właściwym staremu służącemu, znającemu wszelkie *chody* swego pana, mówi do Szalskiego, znikając w drzwiach:

— Życzę dobrej nocy, panu dyrektorowi...

\* \* \*

Janusz Garda przebiegał ulicę miasta, roztrącając przechodniów.

Szedł jak człowiek pijany, krokiem szybkim i nerwowym, chcąc nadmiarem fizycznego ruchu uspokoić się chociażby trochę. Żałował teraz, że wyszedł tak wcześnie z domu. Czas mijał bardzo powoli. Doszedł do końca Alei Ujazdowskich, po czym zawrócił i skierował się do śródmieścia.

Dochodziła właśnie godzina siódma, gdy mijał gmach Domu Towarowego.

Opanowała go pokusa, by jednak zatrzymać się i poczekać na Renę, by powiedzieć jej o anonimie i zakłąć ją na wszystko, co dla niej święte, by wyznała mu prawdę.

Przemógł się jednak, nie tyle może z powodu obietnicy, jaką dał ojcu, ile dlatego, że istotnie chciał się naocznie przekonać, czy list anonimowy mówił prawdę.

Gdyby zobaczył się teraz z Reną, uniemożliwiłby wyświechtanie sprawy.

Jeżeli jednak anonim zawierał prawdę?...

Gdy myśl ta wracała natrętnie, Janusz pochylał głowę i zaczynał iść jeszcze prędzej, jak gdyby chciał przed nią uciec.

Wkładał też wtedy rękę do kieszeni letniego płaszcza i dotykał rewolweru, z którym się teraz nie rozstawał.

Już sam fakt posiadania broni przynosił mu ogromną ulgę. W nastroju, w jakim się znajdował, nie rozumuje się już, lecz działa impulsami. Między jego osobą fizyczną a przeżyciami, w których brał udział i które go jeszcze czekały, istnieć poczynał jak gdyby rozłam. Było to uczucie dziwne, jakiego doznawał po raz pierwszy, ale zarazem odnajdywał pewien spokój w owym nastroju i pragnął pozostać w nim jak najdłużej. A ponieważ czerpał ten nastrój ze świadomości, iż ma przy sobie browning, który pozwoli mu w każdej chwili stać się panem sytuacji, był po prostu wdzięczny owemu małemu stalowemu przedmiotowi, iż towarzyszy mu w tej męczącej drodze.

Znalazł się wreszcie przed domem, w którym mieszkał Szalski. Było niewiele po siódmej i czasu miał jeszcze dużo.

Jął się przechadzać po drugiej stronie ulicy, od czasu do czasu rzucając spojrzenie na dom, jednakże zdawał sobie sprawę, iż jest jeszcze za wcześnie i że będzie musiał zdobyć się na sporą jeszcze dozę cierpliwości.

Cierpliwości tej jednak poczęło mu już brakować.

Wąłęsał się teraz naprzeciwko domu, zmęczonymi oczyma obserwując każdego przechodnia, w każdej kobiecie, która zbliżała się do bramy, przeczuwając Renę.

Raz po raz odginał rękaw, by spojrzeć na zegarek. Minuty biegły szybko i ósma godzina była już niedaleko.

Sam nie wiedział dobrze, jak doszedłszy do najbliższej przecznicy, zawrócił, przeszedł na drugą stronę ulicy i znalazł się przed bramą domu, w którym mieszkał Szalski. Dozorca domu rozmawiał właśnie z jakimś młodym człowiekiem, odznaczającym się pełnymi układności rysami twarzy oraz przesadnie wymuskaną elegancją.

Dobiegł go strzęp rozmowy pomiędzy dozorcą domu, a owym człowiekiem.

— ...no i wieczór mam wolny, jak zwykle wtedy, kiedy oczekuje jakiejś dzierlatki. Na służbę u starego skarżyć się nie mogę. Dał mi nawet dzisiaj dychę na zabawę...

Lokaj Feliks roześmiał się szeroko, uderzył otwartą dłonią po kieszeni, jakby dla zadokumentowania, że w niej właśnie przechowuje owe dziesięć złotych, które mu pan podarował, po czym z poczuciem własnej wyższości uchylił kapelusza, wykręcił się na pięcie i poszedł dalej.

Dozorca domu patrzył za nim z uśmiechem.

Januszowi krew uderzyła do głowy, gdy dosłyszał słowa lokaja. Był przekonany, że mowa była o Szalskim i że to był jego służący.

To, w co nie chciał wierzyć, stawało się rzeczywistością. Szalski był w domu i oczekiwał kobiecej wizyty. Kobieta, która miała go odwiedzić, była Rena, a nie kto inny.

Janusz pobiegł znowu naprzód przed siebie po to, by wrócić za chwilę.

Raz jeszcze rzucił okiem na zegarek. Było już pięć minut po ósmej.

Nabrał naraz pewności, że musiał przeoczyć Renę, że przybyła już na pewno i niedostrzeżona przez niego zniknęła w bramie domu, że niewątpliwie jest już w mieszkaniu Szalskiego.

Sięgnął ręką do kieszeni i palce jego natknęły się na rewolwer.

Nie wahał się już dłużej. Postanowił udać się do mieszkania Szalskiego i przerwać mu sam na sam z Reną, postanowił na własne oczy przekonać się o jej hańbie, a swoim nieszczęściu.

Z pochyloną głową wciśniętą w ramiona, z ręką dzierżącą ukryty w kieszeni rewolwer, wpadł jak wichler do bramy, rzucił wzrokiem na listę lokatorów, po czym, przeskakując po trzy schody, pognął na drugie piętro.

Dozorca domu chciał Janusza zatrzymać, zapytać, czego szuka, jednakże zrezygnował z tego, popatrzył tylko za nim i machnął ręką.

\* \* \*

Wyszła z magazynu natychmiast po dzwonku i spieszyła się bardzo, pragnęła bowiem podkreślić niezwykłość i niecodziennosc swojej wizyty u Szalskiego – punktualnym zjawieniem się o oznaczonej porze.

Wychodząc, rozejrzała się wokoło, spodziewała się bowiem, że Janusz będzie jej oczekiwał. Przygotowana była na to, by pożegnać się z nim po kilku chwilach rozmowy i nie odstąpić od skryzalizowanego zamiaru.

Janusza jednak nie było.

Rena ruszyła ramionami. Nie było czasu zastanawiać się teraz nad tym. Rozporządzała zaledwie godziną, w której musiała udać się do domu, ponieważ na dobytek wszystkich zmartwień i nieszczęść, matka jej zachorowała, ulegając przeziębieniu niezbyt w jej wieku bezpiecznemu.

Postanowiła przy tym przebrać się w lepszą sukienkę. Postanowiła być piękną tego wieczoru i urodą swą urzec nienawistnego człowieka.

Nie chciała być ładną dla Szalskiego, by sprawić mu tym przyjemność, lecz w olśnieniu go swą pięknnością widziała jedyną drogę, by z upatrzonej ofiary zamienić się w panią sytuacji, by onieśmielić go i zmusić, by jej był powolny. Pozwoliłoby jej to grać, z powodzeniem, na tak bardzo upragnioną zwłokę.

Jadąc tramwajem do domu, układała sobie, iż rozwinie przed nim cały czar swej kokieterii, iż podbije go i zniewoli swoim urokiem, że powie mu, iż nie należy do kobiet, które przy pierwszym spotkaniu padają w ramiona mężczyzny. Musi sobie zasłużyć na nią, chociażby kosztem dostosowywania się do jej kaprysów.

To będzie właśnie dla niego największa niespodzianka. W jego mieszkaniu nie będzie stała przed surowym szefem wylękniona, drżąca przed groźbą redukcji ekspedientka, lecz młoda kobieta, świadoma swych ponęt i powabów, zdająca sobie sprawę, jak bardzo jest pożądana i tą siłą pożądania tryumfująca. Znajdzie się wobec starszego mężczyzny pragnącego jej całą siłą rozplomienionych zmysłów. Będzie roześmiana, dowcipna, uwodzicielska – zonglująca

dialogiem jak piłką. Kusząca i zwodnicza – niczym nie będzie przypominać nieśmiałego, zgnębionego przez życie dziewczątka, jaką widywał ją dotąd.

To będzie droga, na jakiej osiągnie zwycięstwo i wymknie się z zastawionych na nią sideł.

Po przyjeździe do domu, Rena przekonała się, że stan zdrowia matki bynajmniej nie uległ poprawie. Przeciwnie, staruszka w godzinach popołudniowych dostała gorączki i leżała teraz w łóżku, z wypiekami na twarzy, od czasu do czasu zanosząc się przykrym kaszlem.

Zamiast myśleć o przebraniu się, Rena, zaniepokojona chorobą matki, musiała podążyć do odległej apteki, by zakupić proszki.

Było jej ogromnie przykro, że musi w tym stanie zostawić matkę samą, trzeba więc było jakoś zaradzić temu. Sąsiadka ofiarowała się z chętną pomocą i obiecała Renie, iż będzie siedziała przy chorej, dopóki stara Łaska nie zaśnie.

Zarówno jednak udanie się do apteki, zapewnienie matce opieki sąsiadki i przebranie się zajęło Renie tyle czasu, że gdy gotowa już do wyjścia spojrzała na zegarek, dostrzegła przerażona, iż jest właśnie godzina ósma.

Obliczyła, że nie będzie u Szalskiego wcześniej jak około pół do dziewiątej. Nie mogło być nawet mowy o wykonaniu pierwotnego postanowienia i o punktualnym zjawieniu się w mieszkaniu Szalskiego, nawet gdyby wzięła taksówkę.

Ucałowała pospiesznie matkę, skinęła głową sąsiadce, która krzątała się nad zaparzeniem jakichś ziół napotnych dla chorej, i szybko wybiegła z domu.

Gdy śpieszyła do tramwaju, ogarnął ją niepokój, czy Szalski nie obrazi się na tak wielkie spóźnienie. Należało go zawiadomić, iż przyjdzie i że się tylko spóźni. Wbiegła do jasno oświetlonej owocarni, odszukała numer Szalskiego w książce telefonicznej i połączyła się z nim, chcąc wytłumaczyć mu, że zaraz przyjdzie.

Po chwili usłyszała w słuchawce głos Szalskiego i zaczęła do niego mówić, a twarzyczka jej wyrażała wielkie zdziwienie, gdy usłyszała jego odpowiedź.

\* \* \*

Po wyjściu służącego Szalski pozostał sam w mieszkaniu. Wszystko było przygotowane na przyjęcie miłego gościa, mimo to jednak starszy pan dokonał raz jeszcze lustracji stołu, po czym zadowolony, że znalazł wszystko w porządku i że Feliks, jak zwykle, bez zarzutu wywiązał się ze swego zadania, przeszedł do gabinetu, gdzie w oczekiwaniu Reny postanowił załatwić swą prywatną korespondencję.

Naraz przyszedł mu na myśl Janusz i anonim wysłany przez Kazię do starego Gardy. Tak bardzo rozgorączkowany był myślą o tym, że Rena będzie u niego, iż zapomniał prawie, że dzisiejszego wieczoru upiec miał dwie pieczenie przy jednym ogniu. Nie tylko miał zdobyć Renę, ale ponadto miał odciąć jej wszelką drogę odwrotu, stawiając ją w niedwuznacnej sytuacji wobec Janusza Gardy. Był pewny, że prokurator dał list synowi do przeczytania i że Janusz Garda zjawi się pod jego domem, by przekonać się, czy anonim mówił prawdę, czy też był oszczerstwem.

Dopiero jednak teraz zastanowił się nad tym, iż młody człowiek pod wpływem rozpaczki może porwać się na jakiś czyn równie szalony jak bezmyślna była jego wizyta w magazynie u Szalskiego. Janusz Garda po przekonaniu się, iż Rena faktycznie udała się do Szalskiego, mógł stracić panowanie nad nerwami, przyjść do mieszkania i zrobić skandal. Kto wie zresztą, na jaki akt determinacji mógł się ważyć młody zapaleniec?

Artur Szalski należał do ludzi ostrożnych i lubił być przygotowany na każdą ewentualność. Toteż, gdy uświadomił sobie, że Janusz może go odwiedzić w domu, podobnie, jak odwiedził go w biurze, wstał co prędzej z fotela i z małej szafki wyjął browning ukryty wśród papierów.

Obejrzał broń, która była świeżo wyczyszczona, co należało do obowiązków Feliksa. Ponieważ browning był nienabity, z innej szuflady wyjął amunicję i naładował magazynek.

Po chwili wahania zarepetował broń, wprowadzając kulę do lufy, po czym przeszedł do jadalni przylegającej do przedpokoju i położył browning za żardinierką<sup>(2)</sup> z kwiatami.

Naraz szybki i ostry głos dzwonka rozdarł ciszę.

— Rena! — pomyślał starszy pan i szybko wybiegł do przedpokoju.

\* \* \*

Był wówczas tak pewny, że to nic może dzwonić kto inny, że nie pytał nawet, kto jest za drzwiami i odsunął zatrask. Zapomniał zupełnie o swych obawach o Januszu Gardzie.

Gdy jednak otworzył drzwi, ujrzał właśnie jego i wówczas powiedział głosem suchym, władczym i odpychającym.

— Czego pan tu szuka?...

Nigdy nie usłyszał odpowiedzi na te słowa. Ponieważ Szalski zasłaniał mu przejście swoją osobą, Janusz odepchnął go gwałtownie i wpadł do przedpokoju.

Ujrzał światło, wpadające jasną smugą do przedpokoju i rzucił się do drzwi, przez które sączył się blask.

Był pewny, że ujrzy Renę, że stanie naprzeciw mej twarzą w twarz.

Reny jednak nie było. Natomiast ujrzał stół zastawiony potrawami i butelkami oraz dwa nakrycia.

Te nakrycia na dwie osoby powiedziały mu wszystko. Powiedziały mu tę resztę, w którą nie chciał jeszcze wierzyć. Teraz wiedział, że wszystko było prawdą. Wszystko, co mówił mu ojciec, wszystko o czym donosił przekłety anonim.

Usłyszał za sobą głos Artura Szalskiego, surowy i niechętny jak poprzednio.

— Może by mi pan zechciał wytłumaczyć, z jakich powodów nachodzi pan moje mieszkanie i zachowuje się w ten sposób.

Dyrektor domu towarowego posiadał tę właściwość dojrzałego wieku, która pozwala zachować spokój i zimną krew wobec niespodziewanych wydarzeń.

Przypomniał sobie, iż na małym stoliku, za żardinierą, leży jego browning i stanął przed Januszem tak, by być jej jak najbliżej.

Janusz Garda nie mógł się zdobyć na żadną odpowiedź. Kurczowo ściśnięte gardło nie pozwalało mu wypowiedzieć ani jednego słowa.

Już po raz drugi znajdował się wobec Szalskiego w poniżającej i ośmieszającej sytuacji.

— Czego pan tu szuka? Zapewne panny Łaskiej, którą prześladuje pan swymi miłosnymi wyznaniem!...

— Istotnie, nie pomylił się pan ani trochę! — rzekł wreszcie Janusz ze złowrogim uśmiechem. — Widzę jednak, że przybyłem za wcześnie.

— Ma pan dość drastyczne sposoby dochodzenia prawdy. — Szalski nie spuszczał z oka swego przeciwnika. — Ułatwię jednak panu w zupełności właściwe zrozumienie sytuacji...

— Uważam ją za zupełnie jasną — ozwał się Janusz tym samym groźnym tonem. — Widzę doskonale, że kolacja przygotowana jest na dwie osoby i nie mam żadnych wątpliwości,

kto będzie pańską partnerką...

Mówiąc te słowa Janusz ruchem pełnym zdenerwowania sięgnął do kieszeni. Nie był to jednak ruch do rewolweru. Szalski pomyślał o tym widocznie, cofnął się bowiem o krok i wykonał gest, jakby chciał chwycić za broń ukrytą za żardinierą.

Młody człowiek wydobył z kieszeni papierośnicę, a na widok przerażenia Szalskiego na ustach jego pojawił się złośliwy uśmiech.

— Widzę, że pan się mnie obawia! — roześmiał się nieprzyjemnie, zapalając papierosa. W roztargnieniu zamiast schować papierośnicę, położył ją na rogu stołu.

Szalskiego ogarnęła nagła wściekłość na tego młokosa, który wdarł się do mieszkania i śmiał posądzić go o tchórzostwo. Przy tym Rena mogła nadejść istotnie w każdej chwili i trzeba było jak najszybciej zakończyć tę nieproszoną wizytę.

— Znajduje się pan w moim mieszkaniu wbrew mojej woli — rzekł ostro. — Proszę wyjść!

Gardę ogarnęła determinacja.

— Nie wyjdę — oświadczył, tracąc swój chwilowy spokój. — Nie wyjdę stąd, jak długo się nie przekonam, jak wygląda prawda i na kogo pan czeka.

Szalski chciał mu coś odpowiedzieć, jednakże w tej chwili zadzwonił telefon.

— Wybacz pan na chwilę. Zaraz dokończymy tej interesującej rozmowy...

Podchodząc do telefonu, musiał oddalić się od żardinier. Nie było jednak na to rady.

Podniósł słuchawkę i brwi jego wykonały gest zdziwienia.

— Zaraz!... — rzekł do telefonu, po czym zwrócił się do Janusza:

— Rozwieję pana wątpliwości. Proszę wziąć tę dodatkową słuchawkę.

Janusz nie wiedział nawet, jak to się stało, że usłuchał. Zdjął dodatkową słuchawkę z widełek i przyłożył ją do ucha. Obaj rywale stali teraz tuż obok siebie przy jednym telefonie..

Szalski nie mógł się powstrzymać od złośliwego uśmiechu.

— Co mi powiesz, dziecko? — rzucił do mikrofonu.

W odpowiedzi na te słowa, Janusz usłyszał zupełnie wyraźnie głos Reny:

— Przepraszam za spóźnienie, ale mama zachorowała. Jestem już w drodze...

— Bardzo dobrze, Reno! Przyjedź szybko, oczekuję cię z niecierpliwością... — brzmiała odpowiedź Szalskiego, po czym starszy pan z pośpiechem położył słuchawkę na widełki, jak gdyby się bał, że Rena powie coś, co będzie mu niewygodne. Ten telefon i spóźnienie dziewczyny przyszyły mu w samą porę.

Janusz stał dalej ze słuchawką w ręku, mimo że rozmowa była już dawno skończona. Dopiero głos Szalskiego przyprowadził go do przytomności:

— Zdaje mi się, że ten dowód przekonał pana. Dowód zresztą zupełnie przypadkowy. Niechże pan teraz nie robi skandalu i natychmiast opuści moje mieszkanie. Nie mam pretensji o to, co pan uczynił...

Ten ton dobrotliwy i drwiący zarazem, podziałał na młodego Gardę jak uderzenie biczem.

Wyprostował się i pochylił naprzód, jakby zamierzał rzucić się na rywala.

— Dobrze! Odejdę!... — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Odejdę, ale przedtem...

---

<sup>(1)</sup> Rubikon – w czasach Republiki Rzymskiej rzeka graniczna między Galią a Italią. Tu przenośnie: granica.

<sup>(2)</sup> żardiniera – stolik z ozdobnym pojemnikiem na kwiaty zamiast blatu; również sam pojemnik.





## ROZDZIAŁ XVI

Dozorca domu nie mógł sobie później przypomnieć z całą dokładnością godziny, mimo że pytano go o to wiele razy.

Pewne było jedno, że było to już po pół do dziewiątej, gdy do okna dyżurki zapukał ktoś dwukrotnie.

Dozorca domu uchylił niechętnie drzwi portierni i ujrzał listonosza.

— Telegram do pana Szalskiego...

— Drugie piętro z frontu... Mieszkanie numer osiem — objaśnił opryskliwie dozorca, po czym zatrzasnął drzwi dyżurki.

Było to objaśnienie wystarczające, toteż listonosz skierował się do frontowej klatki schodowej i jął powoli i ciężko wstępować na górę.

Zanim zbliżył się jeszcze do drzwi mieszkania oznaczonych numerem ósmym, sięgnął ręką do torby i wyjął z niej złożony i zlepiony blankiet telegraficzny, który miał doręczyć.

Gdy jednak wyciągnął drugą rękę, by zadzwonić do mieszkania i oderwał wzrok od mosiężnej tabliczki z napisem: *Artur Szalski*, dostrzegł ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że drzwi nie są zupełnie zamknięte, tak jakby ktoś nie zatrzasnął ich w pośpiechu.

W pierwszej chwili nie chciał wierzyć własnym oczom. Opuścił rękę, potem po raz drugi podniósł ją do dzwonka, lecz i tym razem nie zadzwonił.

Ogarnął go niczym niewytłumaczony lęk i przebiegł dreszczem po krzyżu. Instynkt powiedział mu, że nie należy naciskać guzika dzwonka.

Pchnął lekko drzwi, które otworzyły się bez szelestu.

Ukazał się długi, wąski przedpokój – mroczny – oświetlony jedynie białym blaskiem padającym z pokoju łączącego się z przedpokojem.

Widocznie drzwi pomiędzy pokojem, a przedpokojem były również otwarte i widoczne w pokoju owym paliło się światło.

Listonosz, trzymając ciągle w ręku blankiet telegramu przygotowany do doręczenia, przeszedł szybko przez ciemny przedpokój w kierunku padającego światła. Miękki chodnik, tłumiał jego kroki.

Przybyły zatrzymał się w progu i jednym rzutem oka objął jasno oświetlony pokój.

Drgnął nagle i blankiet telegramu wypadł mu z ręki, osuwając się z szelestem na podłogę.

Wzrok listonosza padł najpierw na stół, zasłany białym obrusem. Na stole tym, panował ogromny nieład, jak gdyby ktoś w pośpiechu zawadził o róg obrusa, wywracając butelki, rozsypując owoce i pozostawiając całą zastawę w nieładzie.

Patera z owocami była wywrócona, pomarańcze, jabłka i gruszki rozsypane były częściowo po stole, częściowo wały się po podłodze. Otwarta widocznie zawczasu butelka wiśniówki leżała wywrócona, a słodki płyn rozlewał się po śnieżnej bieli stołu, tworząc plamę podobną do ciemnej czerwieni krzepnącej krwi.

Nie to jednak spowodowało piorunujące wrażenie na oddawcy telegramu. Spojrzenie jego poszło w ślad za owocami, które rozsypały się po podłodze i dostrzegł wówczas inną plamę, która nie była jednak plamą pochodzącą od rozlanej wiśniówki.

Była to bowiem plama prawdziwej krwi, a w jej kałuży zmięta jak łachman i skurczona leżała postać wysokiego, tęgiego mężczyzny.

Postać ta leżała tuż koło stołu, a koło niej, zwrócona twarzą do drzwi, klęczała młoda dziewczyna ubrana w granatowy płaszcz. Kapelusz na głowie dziewczyny przekrzywiony był na bok, w jednej ręce, opuszczonej bezwładnie, widniał rewolwer, druga zaś drgającymi palcami dotykała zarazem z lękiem i odrazą czoła leżącego.

Nie wiadomo, czy na szelest padającego na podłogę blankietu telegraficznego, czy też wiedzona intuicją, klęcząca kobieta podniosła nagle głowę i oczy jej, ogromne, rozszerzone trwogą zatrzymały się na stojącym w drzwiach mężczyźnie.

Dziewczyna podniosła się powoli, jak gdyby we śnie, oparła się ciężko o stół i jedną rękę podniosła do głowy, do miedzianych włosów wymykających się spod zsuniętego kapelusza. Z drugiej ręki wymknął się z zeszytniałych palców rewolwer i z łoskotem upadł na podłogę.

Hałas ten doprowadził do przytomności listonosza, który w pierwszej chwili osłupiał na widok tej niesamowitej sceny.

Oddawca telegramu podbiegł do ciała i podniósł szybko browning. W ten sposób stawał się panem sytuacji

Równocześnie przelotne spojrzenie na leżącą postać wystarczyło mu, by nabrać pewności, że ma już do czynienia z trupem.

Rzucił młodej kobiecie tylko kilka słów tonem rozkazującym i groźnym:

— Proszę się nie ruszać! Proszę nie próbować ucieczki!

— Nie mam wcale tego zamiaru! — wybiegł drżący szept z wybladłych warg. — Ja nie zabiłam...

Mężczyzna dojrzał telefon stojący na stoliczku i przyszło mu na myśl, by zaalarmować komisariat.

Porzucił jednak ten zamiar, natomiast podbiegł do okna wychodzącego na podwórze. Ponieważ było zamknięte, wybił łokciem szybę i jął wołać z całych sił.

— Morderstwo!... Morderstwo!...

Wołanie to poruszyło całą kamienicę. W oknach ukazały się przerażone twarze, a widząc postać człowieka wychylonego przez rozbitą szybę okienną, zaczęto sobie powtarzać.

— To w mieszkaniu Szalskiego...

Dozorca domu wypadł ze swej dyżurki i biegł na górę po schodach, ile sił w starczych nogach. Równocześnie pomocnik dozorczy z gorączkowym pospiechem zatrząskiwał bramę.

Co śmielsi mieszkańcy domu poszli w ślad za dozorcą, ale on świadomy, jak należy postępować w takich wypadkach, zamknął drzwi i nie wpuścił nikogo.

Poczęli szybkimi, urywanymi słowami porozumiewać się z listonoszem.

— Tak, to pan Artur Szalski. — Dozorca domu spojrzał ponuro na ciało, podszedł i dotknął ręki. Była ciężka, sztywna i chłodna.

Wzrok jego spoczął na Renie, która bezsilna, z głową opartą na dłoniach, z oczyma, które zdawały się nie widzieć niczego, siedziała na niskiej sofie.

— To ta dziewczyna?...

— Zastąłem ją tutaj. Miała jeszcze broń w ręce.

— Człowiek był na dziewczęta łasy i lubił się zabawić, toteż i tak się skończyło.

Niczego pan tu nie ruszał?

— Zabrałem tylko ten rewolwer, który upuściła.

— To i dobrze. Trzeba zadzwonić do policji i do pogotowia.

Wszystko to, co mówili, dochodziło do uszu Reny jak gdyby przez grubą ścianę. Widziała ludzi, ale widziała ich jakby przez mgłę. Słyszała głosy, ale nie pojmowała ich sensu. Wiedziała

tylko, że stało się coś strasznego, coś potwornego i najgorszego, co mogło się zdarzyć w jej życiu.

Podczas, gdy tamci telefonowali, dobijając się do zajętego komisariatu, dziewczyna uniosła lekko głowę i jęła przytomniej rozglądać się po miejscu krwawej tragedii. Następowwała reakcja. Czuła, iż do oczu napływają jej łzy. Musiała zdobyć się na cały wysiłek swej zdruzgotanej woli, by łzy te nie popłynęły gorzkim, palącym strumieniem.

Przed oczyma jej przesunął się najpierw stół ze zrujnowaną zastawą. Rena pomyślała, że wszystko to zostało przygotowane dla niej i na jej przyjęcie. Potem – rozciągnięty na ziemi trup Artura Szalskiego. Już nigdy nie będzie jej groził redukcją, już nigdy nie będzie obiecywał jej dalszej pracy za cenę urody i miłości...

Przesunęła ręką po czole, jak gdyby chciała zebrać myśli. Poczęła zdawać sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na niej zaciąży. Zarówno dla tych dwu ludzi, którzy naradzali się przy aparacie telefonicznym, jak i dla wszystkich wina jej nie mogła ulegać najmniejszej wątpliwości. Jeżeli mówi się o ujęciu przestępcy na gorącym uczynku, to przecież właśnie ona została w ten sposób ujęta. Rewolwer, który trzymała w ręku, był druzgocącym dowodem i wszelkie zapieranie tego oczywistego faktu nie znajduje wiary.

Czekała ją wielka i pełna cierpień droga. Droga, w czasie której pozostanie samotna i obrzucona błotem.

Spojrzała znowu bezmyślnie na stół i naraz drgnęła.

Ledwie udało się jej powstrzymać okrzyk, który zawisł na wargach. Na rogu stołu, który był najbliżej niej, dostrzegła niewielki, kwadratowy przedmiot.

Poznała go w jednej chwili. Zbyt często go widziała, by miała go nie poznać.

Przedmiotem tym była – papierośnica. Papierośnica ta była własnością Janusza...

Janusz?... A więc był tutaj? Był tutaj na miejscu zbrodni przed nią? Był i zostawił papierośnicę. Wyszedł zapewne na krótko przed jej przyjściem.

Musiał tedy wiedzieć, że miała być u Szalskiego. Musiał wiedzieć i dlatego przyszedł, by zażądać od niego wytłumaczenia. Odchodząc – zapomniał papierośnicy.

Uświadomiła sobie nagle, że ta papierośnica może być groźnym dowodem przeciwko Januszowi, że może go zaplątać w sprawę zbrodni.

Tak być nie mogło. Dość już krzywdy było dla Janusza, iż odszedł stąd z głębokim przekonaniem, że oszukiwała go i była kochanką Szalskiego, by do tej krzywdy miała się jeszcze dołączyć krzywda druga – związanie jego nazwiska z popełnioną zbrodnią. Nazwiska ich nie miały połączyć się nigdy, nie miały się połączyć we wspólnym życiu, nie można więc było dopuścić, by połączyły się w aktach śledczych i na sądowej sali.

Ta nieszczęsna papierośnica była dowodem jego obecności tutaj. Papierośnica ta musiała zniknąć.

Rena spojrzała na dozorcę domu i listonosza. Dozorca meldował właśnie o morderstwie dyżurnemu przodownikowi. Dodzwonił się nareszcie. Obok niego, trzymając w ręku książkę telefoniczną, stał listonosz. Obaj odwróceni od niej.

Od sofy! na której siedziała, do miejsca, na którym leżała na stole papierośnica, były najwyżej trzy kroki.

Te trzy kroki należało przebyć cicho i bez szelestu, a należało je przebyć natychmiast, bo już za chwilę mogło być za późno. Tamci dwaj nie widzieli jeszcze papierośnicy, mogli ją jednak dostrzec lada moment, a wówczas byłoby wszystko stracone.

Zdawała sobie sprawę, iż od niej zależało wszystko. Nakazała spokój nerwom, sprężyła swą wolę.

Uczuła, że pot występuje jej na czoło, gdy podnosiła się z sofy, tak, by nie wywołać

najmniejszego szmeru. Skrzygnięcie bucika lub podłogi mogło popsuć całą sprawę.

Szybkie, ciche kroki do stołu. Szybkie wyciągnięcie ręki.

Błyskawiczny ruch i papierośnica Janusza znajduje się w jej dłoni.

Dziewczyna cofa się szybko. W tej chwili dozorca domu obraca się, lecz widzi ją już siedzącą z powrotem na sofie.

W ręce, przesuniętej nieco za siebie, trzyma Rena papierośnicę. Chłodny metal parzy jej palce. Spełniona jest dopiero połowa zadania. Nie może zatrzymać przy sobie papierośnicy, musi ją ukryć, zanim przyjdzie policja, która na pewno przeprowadzi u niej rewizję osobistą.

— Co tam panienka robi? — pyta dozorca domu tonem dziwnie łagodnym. — Proszę mieć trochę cierpliwości. Wezwałem już policję, to jej panienka wszystko opowie

— Siedzę spokojnie, jak pan widzi — odpowiada Rena.

Pochyla się ku ziemi i ręką, w której trzyma papierośnicę, dotyka pantofla, jakby go chciała poprawić. Równocześnie wsuwa papierośnicę pod ciężką narzutę, która okrywa sofę i w fałdach opada aż do ziemi.

## ROZDZIAŁ XVII

Wszystko szło zwykłym trybem.

Dozorca domu zaalarmował komisariat policji o wykrytej zbrodni. Dyżurny przodownik, który odebrał telefon, a któremu nazwisko Szalskiego było dobrze znane, w lot pojął, że ma do czynienia ze sprawą, która niewątpliwie nabierze rozgłosu, toteż pozostawił w komisariacie na dyżurze starszego posterunkowego, sam zaś z dwoma posterunkowymi udał się do mieszkania zamordowanego, by przypilnować zabezpieczenia terenu.

Przed opuszczeniem komisariatu, dyżurny przodownik połączył się z urzędem śledczym i złożył krótki raport pełniącemu wówczas służbę komisarzowi Mondszajnowi. Komisarz Mondszajn udzielił mu pierwszych wskazówek, po czym dopełnił obowiązku, zawiadomienia rejonowego sędziego śledczego. Sędzia śledczy doktor Kober był domatorem, toteż nietrudno było się z nim porozumieć.

Doktor Kober był człowiekiem gnuśnym, który dzielił swe życie prywatne między rozkosze kulinarne i rozkosze snu, gdy jednak trafiła się sprawa, w której można było zrobić dobrą robotę, sędzia śledczy stawał się zupełnie innym człowiekiem, wyzwalał się z rozleniwienia i wprowadzał w podziw swych podwładnych przenikliwością i energią w prowadzeniu dochodzeń.

Komisarz Mondszajn nie poprzestawał jednak na zawiadomieniu sędziego śledczego, lecz znając antagonizm, jaki istniał między nim a rejonowym podprokuratorem Adamem Gniewoszem, pośpieszył również powiadomić go o zbrodni, której ofiarą padł Szalski.

Gniewosz, jak każdy młody urzędnik, odznaczał się niezmierną, jeżeli już nie nadmierną gorliwością. Mondszajn zetknął się już raz z nim i z Koberem w poważniejszej sprawie fałszerzy banknotów i kierowany doświadczeniem, wynikającym z owego spotkania, wiedział, że wobec rywalizacji sędziego śledczego z prokuratorem, oficer policji prowadzący dochodzenie, spełniając rolę jęczyczka u wagi, mógł łatwo zapisać na swe konto lwią część zasługi wszystkich sukcesów śledztwa.

Tymczasem prokurator Tomasz Garda nie wiedział jeszcze o niczym. Miotał się pełen niepokoju po swym mieszkaniu targany najbardziej sprzecznymi uczuciami, niepewny, czy dobrze zrobił, rezygnując z telefonu do Szalskiego.

Koło wypadków było rozpędzone. On sam przyspieszył bieg tego koła, pokazując Januszowi otrzymany rano anonim i skłaniając go, by udał się pod mieszkanie Szalskiego.

Obecnie prokurator Garda zrobiłby wiele, by bieg owego koliska zatrzymać, by unieruchomić mechanizm przeznaczenia, który działał w tej chwili bez udziału jego woli, bez możliwości jego interwencji.

Czekał więc, niezdolny do zajęcia się czymkolwiek przebiegając pokój od zegara, którego każdy ruch wahał się potęgował grozę, do drzwi, których klamka pozostawała, niestety, nieporuszona.

Czas był nielitościwy i pastwił się nad nim. Janusz nie wracał. A przecież przyrzekł, że wróci jak najprędzej, że wróci, gdy tylko zobaczy, gdy tylko się przekona! Miał wrócić – zaraz. Nieskończenie długie było to zaraz.

Zegar obojętnie odmierzał sekundy. Coraz dalej posuwała się duża wskazówka.

Garda zerwał się od stołu i począł krążyć koło niego, nie mogąc zapanować nad swym rozdrażnieniem.

Chwilami zamieniał się w słuch i starał się złowić szmer klucza przekręcanego w zamku. Chwilami ulegał złudzeniu. Chwilami czekał na dźwięk dzwonka u drzwi wejściowych, choć wiedział, że Janusz dzwonić nie będzie, ponieważ zabrał klucz z sobą.

Wybiło pół do dziesiątej i zaraz potem usłyszał Garda dzwonek, ale nie był to ten dzwonek, którego oczekiwał.

Był to dzwonek telefonu.

Stara służąca, która zniecierpliwiona oczekiwaniem, weszła przed chwilą do pokoju i jęła nakrywać do stołu, spojrzała ze zdziwieniem na pośpiech, z jakim prokurator podbiegł do hałasującego aparatu.

Kto mówi?...

Mówił prokurator Gniewosz. Po raz pierwszy, odkąd pełnił służbę w swym rejonie, miał młody prokurator do czynienia z wypadkiem morderstwa, toteż przystępując do akcji śledczej, zdecydował się zawiadomić prokuratora Gardę i zasięgnąć jego wskazówek, tym bardziej, iż zdawał sobie sprawę, że zamordowanie znanego w mieście obywatela uczyni zbrodnię głośną, a tym samym zwiększy odpowiedzialność ciążącą na władzach policyjno-sądowych.

— Przepraszam bardzo, że zakłócam spokój pana prokuratora... — zaczął Gniewosz uprzejmą formułą, po wymienieniu swego nazwiska. Garda przerwał mu jednak gwałtownie.

— O co idzie? Proszę mi powiedzieć krótko.

— Chciałem zawiadomić pana prokuratora o zbrodni. Zamordowano Artura Szalskiego. Właściciela tego wielkiego magazynu.

Tomaszowi Gardzie zabrakło tchu. Uczuł zimno na policzkach. Wszystkie krew rzuciła mu się z twarzy do serca, które omal nie pękło pod naporem tej fali. I trzeba było opanowania wypracowanego przez długi szereg lat, by prokurator mógł wreszcie zdobyć się na wypowiedzenie dwu słów.

— Kto zabił?...

Gniewosz mógł mu powiedzieć tylko tyle, iż zbrodnię wykrył oddawca telegramu, a w mieszkaniu znaleziono dziewczynę, którą zatrzymano.

Tomasz Garda odetchnął, gdy usłyszał słowo *dziewczyna*, oczekiwał bowiem, że usłyszy, iż w mieszkaniu Szalskiego aresztowano Janusza i że właśnie dlatego Gniewosz do niego dzwoni.

Stary prokurator wiedział, kim była owa zatrzymana dziewczyna. Wiedział, iż była to Rena Łaska, i nic nie rozumiał. Nie mógł zresztą rozumieć. Zadał sobie pytanie, czy było to możliwe, by Rena akurat w tym dniu zamordowała kochanka. Zdarzały się bardziej niesamowite zbiegi okoliczności. Jeden był w tym wszystkim fakt błogosławiony, iż do tej chwili osoba Janusza nie była w to wmieszana.

Prokurator Garda myślał szalenie szybko i gdy Gniewosz istotnie zdziwiony sposobem jego rozmowy, zapytał go, czy nie ma jakich poleceń, odpowiedział Gniewoszowi, że sprawa jest istotnie bardzo ważna i że w ciągu pół godziny będzie w mieszkaniu Szalskiego.

Po położeniu słuchawki na widelkach Garda z trudem dowlókl się do najbliższego krzesła. Wiedział, że powinien tam jechać natychmiast, nie miał jednak sił na to. Tak, jak był teraz, rozdygotany, z rozigranymi nerwami, nie mógł pokazać się Gniewoszowi i wszystkim tym ludziom, których obowiązek sprowadza na miejsce przestępstwa. Musiał się uspokoić.

Walczył z natłokiem pytań, na które nie umiał dać sobie odpowiedzi. Czy to Rena zamordowała? I wreszcie dlaczego? Dla prokuratora Gardy nie ulegało żadnej wątpliwości, że

Rena była kochanką Szalskiego i że zbrodnia musiała powstać na tle nieznanego mu nieporozumienia pomiędzy nią a jej przyjacielem. Nie mógł zresztą inaczej sadzić po tym wszystkim, co usłyszał od starej Łaskiej, po liście anonimowym, który miał schowany w portfelu.

Co robił Janusz? Co się działo z Januszem? Czy uda się uniknąć wmieszania jego nazwiska w tę sprawę? Czy był pod domem i poszedł, skoro się przekonał, że Rena udała się do mieszkania Szalskiego? Czy nie popełnił jakiegoś lekkomyślnego kroku?

Miał jechać, by asystować tej sprawie, jednakże nie po to, by dążyć do ustalenia faktycznego jej stanu, lecz by trzymać rękę na pulsie śledztwa i by ewentualnie bronić nazwiska Janusza, które było i jego nazwiskiem.

Z tą myślą wstał, by wydać jeszcze kilka dyspozycji służącej a następnie wyjechać na miejsce zbrodni, gdy nagle zadał sobie pytanie, co zrobić, jeżeli jednak, wbrew jego przypuszczeniom, Janusz jest sprawcą zamordowania Szalskiego? Jeżeli Rena jest winna tylko w tej mierze, że zastano w mieszkaniu zabitego tuż po popełnieniu zbrodni. To było straszne! Przypomniał mu się nagle i niespodziewanie jego brat Oskar Garda...

Czyżby życie jego miało być skute jakby dwiema klamrami – dwiema zbrodniami, z których jedna stanęła przed nim w chwili, gdy był młodym prawnikiem rozpoczynającym swą karierę, druga zaś teraz, gdy znajdował się w pełni sławy i powodzenia?

W pamięci jego stanęła ta chwila, gdy dowiedział się, iż Oskar jest posądzony o zamordowanie kobiety, którą znaleziono martwą w garderobie opery. Usunął się wówczas, nie pośpieszył starszemu bratu z pomocą, nie zatroszczył się o niego, nie starał się z nim zobaczyć, czynił wszystko, by zapomniano, iż może on być spokrewniony z człowiekiem, który miał stanąć przed sądem pod tak hańbiącym zarzutem. A potem, gdy Oskar Garda został uniewinniony z braku dowodów, nie znalazł dla niego jednego dobrego słowa i nie chciał znać człowieka, do którego przyłgnęło miano mordercy, którego osądziła opinia, chociaż zwolnił sąd.

A teraz tą drugą klamrą zamykającą pasmo jego powodzeń życiowych miał być potworny fakt połączenia osoby jego syna z zamordowaniem Szalskiego. Czy i teraz postąpi wobec Janusza tak, jak postąpił wobec Oskara? Czy prokurator zwycięży ojca, tak jak zwyciężył brata? Nie był przesądny, nie wierzył w przeznaczenie i za nic miał sobie jakąkolwiek sprawiedliwość poza sprawiedliwością ziemską. W tym jednak momencie był gotów uwierzyć, iż życie przygotowuje mu odwet za jego stanowisko wobec tamtego morderstwa sprzed wielu, wielu lat. Jakże postąpi, gdy podejrzenie zwróci się przeciwko jego synowi? Czy pochyli czoło przed majestatem prawa, które swą dłoń karzącą położy na jego synu, czy też zbuntuje się? On – prokurator Garda...

Największym szczęściem byłoby teraz nie myśleć, ale myśli te wracały uparcie i nie dawały się odpędzić.

Trzeba było iść naprzeciw wypadkom. Trzeba było iść, choć Janusza nie było jeszcze ciągle.

Zjawił się jednak i to właśnie w chwili, gdy prokurator był już zupełnie gotów do wyjazdu na miejsce zbrodni.

W czasie gdy listonosz odkrył zbrodnię w mieszkaniu Szalskiego, w czasie gdy dzwięczały dzwonki urzędowych telefonów a na membranach drgało słowo *morderstwo*, Janusz Garda, półprzytomny, wałęsał się po mieście bez celu i bez zrozumienia tego, co czyni i co się wokół niego dzieje.

Było mu wszystko jedno, jakimi szedł ulicami. Było mu wszystko jedno, że kilkakrotnie omal nie znalazł się pod kołami tramwajów i samochodów, gdy zamroczony przecinał jezdnie w najruchliwszych punktach.

Wiedział o tym, że w życiu jego było wszystko skończone. Tragedia była już poza nim. Nie mógł się jednak oswoić z myślą o tym, co się stało. To było zbyt straszne...

Ocknął się przy kontuarze jakiegoś baru i ze zdziwieniem spojrzął na suchotniczą twarz kelnera i na ściany wytapetowane w jaskrawy, krzyczący deseń.

Przed nim stała angelka napełniona wódką, a kelner o suchotniczej twarzy mówił coś do niego z tą pełną ironii pobłażliwością, z jaką służba podobnych lokali traktuje pijanych. Niewątpliwie kelner uważał go za nietrzeźwego.

— Czy pan pije tę wódkę? — usłyszał słowa kelnera. — Zamówił ją pan już przed dziesięciu minutami i stoi pan jak malowany.

Janusz nie pamiętał wprawdzie, kiedy zamawiał wódkę i to całą angelkę, jednakże nie obraził się na kelnera. Sięgnął po szklaneczkę i wypił duszkiem, aż zakrztusił się palącym płynem.

To przywróciło mu świadomość.

— Następną! — polecił krótko.

Kelner już teraz znacznie uprzejmiej proponował jakąś zakąskę, Janusz jednak potrząsnął przecząco głową i wypił drugą porcję wódki, po czym, ku zdziwieniu bufetowego, zapłacił i wyszedł.

Był ogromnie zmęczony, skinął więc na taksówkę i zajął w niej miejsce. Podał adres domu.

Gdy wszedł do przedpokoju, ujrzał ze zdziwieniem ojca ubranego, z kapeluszem w ręku.

Teraz dopiero poczuł wpływ wypitego alkoholu. Szumiało mu w skroniach i znajdował się w stanie lekkiego oszołomienia.

— Ach, jesteś! — wyrwało się z ulgą z ust prokuratora.

Janusz rzucił kapelusz na mały stoliczek i skinąwszy ojcu głową, powiesił płaszcz na wieszadle.

— Jak widzisz, jestem — odpowiedział niechętnie.

Prokurator nie spuszczał syna z oka.

— Niepokoiłem się o ciebie. Gdzie byłeś tak długo?

Janusz Garda obrzucił raz jeszcze ojca pytającym spojrzeniem. Ojciec rzadko opuszczał mieszkanie o tej porze.

— Wychodzisz? — odezwał się, pomijając milczeniem słowa starego Gardy.

Pan Tomasz chciał zrazu powiedzieć mu wszystko, wstrzymał się jednak, jakby wiedziony instynktem. Uznał, że będzie lepiej, gdy słowo *Szalski* nie padnie między mmi.

— Mam bardzo ważną urzędową sprawę i muszę wyjechać na kilka godzin. Powiedz mi, jak to wszystko było?

— Według programu. Udało się wszystko znakomicie.

Ponieważ ojciec zagradzał mu drogę do pokoju, odsunął go lekko, po czym udał się wprost do siebie. Prokurator Garda poszedł w ślad za nim. Janusz jednak z hałasem przekręcił klucz w zamku.

Tomasz Garda stał przez chwilę jak wryty przed tymi drzwiami, po czym odwrócił się i skierował do wyjścia.

Ciężar, który niósł z sobą, stawał się coraz większy.



## ROZDZIAŁ XVIII

W mieszkaniu Artura Szalskiego dawno już nie było tak rojno i gwarno, jak podczas tego późnego wieczoru.

Gdy prokurator Garda przybył do domu zbrodni, zastał w jasno oświetlonym mieszkaniu przedstawicieli władz policyjno-sądowych przy gorączkowej pracy.

Stary, siwy lekarz pogotowia wypełniał pośpiesznie wiecznym piórem świadectwo zgonu, kierując zwłoki, zgodnie z decyzją podprokuratora Gniewosza, do zakładu medycyny sądowej, gdzie miała zostać dokonana sekcja.

Prokurator w towarzystwie Gniewosza i Mondszajna wszedł do stołowego.

— Gdzie jest ta dziewczyna, którą tu zatrzymano? — zwrócił się do komisarza.

— Przeprowadziliśmy ją do gabinetu.

— Kto to jest?

— Nazywa się Rena Łaska. Jest ekspedientką w magazynie, którego dyrektorem i właścicielem był Szalski.

— Aha!... — odparł krótko Garda. Wzrok jego padł na młodego jeszcze człowieka o twarzy nie tyle inteligentnej, ile sprytnej. Był to wywiadowca policji, cieszący się doskonałą opinią.

Prokurator znał go z wielu spraw, w których Karcz występował jako świadek oskarżenia.

— Dobry wieczór, Karcz! — przywitał wywiadowcę, wyciągając do niego rękę. — Mamy znowu robotę...

— Tym razem nietrudną, panie prokuratorze! — potrząsnął rozwichrzoną głową wywiadowca. — Sprawczyni jest na miejscu, a do tego przyznaje się.

Prokurator znalazł się w gabinecie, gdzie w wygodnym klubowym fotelu siedziała Rena pod opieką posterunkowego. Było jej widocznie gorąco, zdjęła bowiem płaszcz i kapelusz, pozostając w tej wizytowej sukni, którą włożyła, by wydać się Szalskiemu jak najpiękniejszą. Garda zauważył to jednym rzutem oka i zanotował ten szczegół na niekorzyść dziewczyny.

Po zdenerwowaniu, w którego stanie znajdował się od szeregu godzin, nastąpiła reakcja i prokurator Garda był teraz taki jak zawsze, wyniosły i chłodny, patrzący na wszystko, co się działo, z wyżyn swej doskonałości.

Rena podniosła się na widok wchodzących. Garda skierował na nią ciekawe spojrzenie. Tak więc wygląda dziewczyna, dla której Janusz stracił głowę, a omal nie stracił honoru. Przyznał w duchu, iż była bardzo ładna.

Dziewczyna nie miała pojęcia, kim był ów szpakowaty pan, który przystąpił do niej. Widziała wprawdzie ojca Janusza wówczas, gdy szli po raz pierwszy do *Europejskiej*, jednakże nie zapamiętała go zupełnie.

Garda wysunął wskazujący palec, jak to było jego zwyczajem, gdy zadawał przesłuchiwanemu jakieś pytanie.

— To panią tutaj zastano?

— Mnie...

Raz jeszcze przyjrzał się jej bladej twarzyczce.

— Niedługo będzie pani miała sposobność opowiedzieć nam, jak to było — powiedział tylko i zawrócił do jadalni.

Gniewosz miał sposobność raz jeszcze podziwiać przenikliwość starego prokuratora, który zainteresował się natychmiast pytaniem, gdzie była służba.

Z pobieżnych słów dozorczy wiedział już komisarz Mondszejn, że Szalski miał tylko jednego służącego, Feliksa, którego zwolnił na wieczór. Było to nowe potwierdzenie tezy prokuratora Gardy, iż anonim mówił prawdę i że Szalski zwolnił służącego, chcąc być sam w mieszkaniu.

Wszystkie role były już rozdane. Daktyloskop pełnił swą czynność, plan mieszkania był pobieżnie naszkicowany. Po krótkiej naradzie postanowiono nie przeprowadzać pierwszych dochodzeń na miejscu, lecz przesłuchanie przenieść do urzędu śledczego.

Komisarz Mondszejn polecił zabezpieczyć mieszkanie przez wystawienie w nim posterunku. Wywiadowca Karcz oraz dwaj inni wywiadowcy otrzymali polecenie dokonania dokładnej rewizji pokojów.

Karcz miał pozostać w mieszkaniu aż do powrotu służącego, którego miał natychmiast zaprowadzić do urzędu śledczego.

Sprowadzono dwie taksówki. Do jednej z nich wsiadła Rena w asyście policyjnej, do drugiej przedstawiciele władz, i obie taksówki podążyły do urzędu śledczego.

Dochodziła już północ i Warszawa układała się do krótkiego snu przed nowym dniem pracy. W urzędzie śledczym praca nie ustawała jednak ani na chwilę. W szarych i brzydkich pokojach biurowych urzędu śledczego oślepiającym blaskiem płonęły elektryczne lampy, przyświecając ponurej tragedii, których już tyle widziały owe surowe mury.

Najpierw przesłuchano listonosza Adama Bażyka. Z zeznań jego Garda zarejestrował w pamięci fakt, iż drzwi mieszkania Szalskiego były niedomknięte, w przedpokoju zaś było ciemno.

Padło teraz bardzo ważne pytanie, w której ręce Łaska trzymała rewolwer w chwili, gdy Bażyk zastał ją klęczącą koło trupa. Było to pytanie proste, jednakże listonosz w pierwszej chwili nie umiał dać na to odpowiedź!. Próbowano dopomóc jego pamięci. Uprzytomnił sobie całą scenę i odparł już bez wahania, że trzymała broń w lewej ręce. Prawą bowiem dotykała czoła zabitego.

W tym miejscu komisarz Mondszejn zdziwił się po raz pierwszy, a prokurator Gniewosz podzielił jego zdziwienie. Z zeznania bowiem Bażyka wynikało, że Rena Łaska musiałaby strzelać do Szalskiego, trzymając broń w lewej ręce. Jednakże strzał z lewej ręki jest rzadkością. Szczególnie człowiek nieumiejący obchodzić się z bronią, używając jej, chwytą ją w prawą rękę. Chyba, że Łaska była mańkutem.

Bażyk powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia, podpisał odczytane mu zeznania i wyszedł bardzo dumny z roli, jaką odegrał.

Mondszejn polecił z kolei przywołać dozorcę domu.

Opowiedział on, jak zaalarmowany wołaniem listonosza przybiegł na górę, opisał scenę, jaką zastał, i co robili z Bażykiem do czasu przyścia policji.

Mondszejn w dobrotliwy sposób pochwalił dozorcę domu za umiejętne zachowanie się i przypilnowanie, by w pokoju, w którym popełniono zbrodnię, niczego nie ruszono do czasu przybycia władz.

Potem padło pytanie:

— Co Dorskocz robił przedtem? Zanim zaalarmowano o morderstwie?

— Siedziałem w dyżurce.

— to nam już Dorskocz mówił. Ale, co robiliście przed pójściem do dyżurki?

— Zamiatalem bramę i na ulicy przed bramą.  
— To bardzo ważne. Widział Dorskocz tę panią, jak wchodziła do domu?  
— Nie. To musiało być zaraz po tym, jak powróciłem do dyżurki. Wejście na frontowe schody jest przed dyżurką, ja widzę tylko tych, którzy przechodzą do oficyn.  
— Więc Dorskocz z całą pewnością nie widział tej pani?  
— Nie.  
Doktor Kober niezadowolony pokręcił głową.  
— Co pan robił w dyżurce?  
— Czytałem kurierka.  
— Czy dużo czasu upłynęło od chwili, kiedy pan zabrał się do czytania kurierka, do chwili kiedy zapukał listonosz?  
— Dość dużo. Przeczytałem całą powieść i artykuł.  
Sędzia śledczy przesunął ręką po łysinie.  
— Posłuchajcie człowieku! — ozwał się z hamowaną pasją. — Chodzi nam, jak wszyscy tu jesteśmy, o dokładne ustalenie czasu, w którym dokonano zbrodni. Od tego zależy często wykrycie lub ustalenie osoby przestępcy. Jesteście dozorcą domu i możecie nam dużo powiedzieć, tym bardziej, że na krótko przed tą całą historią zamiataliście ulicę. Powiedzcie mi tedy, o której godzinie zeszliście do dyżurki, odłożyliście miotłę i zaczęliście czytać gazetę?  
— To chyba była niedaleko ósma.  
— Nareszcie! A czy pamiętacie, o której, tak mniej więcej, w przybliżeniu, poszliście zamiatać bramę i ulicę przed domem?  
— Pewnie koło pół do ósmej było. Może wcześniej. Trochę po siódmej.  
— Gdy tak zamiataliście ulicę i staliście przed bramą, musieliście widzieć, kto wchodził i kto wychodził z domu.  
— Feliks wychodził. Służący pana nieboszczyka Szalskiego.  
— Rozmawialiście z nim?  
— A jakże!  
— O czym rozmawialiście? Na litość boską! Wołami trzeba z was ciągnąć każdą odpowiedź.  
— Zaraz, panie komisarzu! Rozmawiać, tośmy tam niewiele rozmawiali. Feliks tylko powiedział, że ma znowu wolny wieczór, jak zawsze wtedy, kiedy u pana nieboszczyka Szalskiego jest dziewczynka. Potem poszedł do miasta.  
— A wy staliście dalej przed bramą?  
— Tak. Przypatrywałem się jednemu, co się koło domu kręcił.  
Dozorca nie spodziewał się nawet że słowa te wywrą takie wrażenie na przesłuchujących. Wszyscy trzej – Gniewosz, Kober i Mondszajn – podchwycili natychmiast ten szczegół, kierując się tym instynktem, jakim często odznaczają się ludzie służby śledczej.  
Nawet prokurator Garda, który zachowywał kamienny spokój i zdawał się w czasie przesłuchania dozorcę myśląc o czym innym, drgnął lekko i pochylił się nieco naprzód.  
— Kręcił się ktoś koło domu? Koło ósmej. Kto to był.  
— Jakiś młody facet, przystojnie nawet ubrany.  
— I on chodził koło domu?  
— Ciężkiem. Tam i z powrotem. To gdzieś szedł, to znowu wracał. Miałem nawet na niego uwagę. Niespokojny był bardzo. Jak przechodził koło domu, to patrzył do bramy.  
Garda pochylił się jeszcze bardziej przez stół, jak gdyby chciał rzucić się na dozorcę domu. Od pierwszej chwili wiedział, że to chodziło o Janusza. Z zapartym oddechem czekał na dalsze odpowiedzi przesłuchiwanego.

Doktor Kober strzelił z zadowoleniem tłustymi palcami.

— Co się stało z tym osobnikiem?

— Wszedł do domu. Na te schody, na których mieszka pan Szalski.

W łatwo zrozumiałym napięciu, jakie wywołała ta odpowiedź, nikt nie zwrócił uwagi na prokuratora Tomasza Gardę, który wstał nagle z krzesła i podszedł do okna wolnym, ociężałym krokiem. Ogarnęło go zdenerwowanie dotąd zupełnie mu nieznane. Wiedział, że jest błąd jak ściana, że twarz ma skurczoną i nie chciał, by ktokolwiek z tamtych ludzi zwrócił uwagę na zmianę, jaka w nim zaszła.

Straszne podejrzenie, zaledwie dopuszczane do mózgu, odpędzane rozpaczliwie, zaczęło kiełkować w jego duszy.

W ciągu krótkiej chwili wydarzył się fakt, którego nawet nie zauważył, nad którym nie miał nawet czasu się zastanowić. Fakt niezarejestrowany przez jego świadomość. Oto za jednym zamachem poszły w kąt wszystkie paragrafy, które dotąd były jedynymi bogami, jakim służyły. Poszły w kąt wszystkie zasady, jakie wyznawał.

Runęło to wszystko jak domek z kart i to pod naporem jednej tylko myśli, że Januszowi grozi ogromne niebezpieczeństwo, że lada moment skonkretyzować się mogą podejrzenia na osobie mężczyzny, który był nie kim innym, jak jego synem.

W owym prawdopodobieństwie zbrodni popełnionej przez syna było coś potwornego, co szarpnęło do głębi oschłym i zastygłym w swym egoizmie człowiekiem. W jednym myślowym skrócie, szybszym od błyskawicy, zrodziła się świadomość, że sprawa Janusza Gardy byłaby zarazem sprawą Tomasza Gardy. Ale nie Tomasza Gardy-prokuratora, lecz Tomasza Gardy-ojca.

Nie wiedział o tym, jak kilka sekund zmieniło cały jego sposób myślenia, zburzyło utarte schematy rozumowania, starło w proch ustalone pojęcia. W jakimś zakątku duszy drzemało uczucie dla syna, drzemał instynkt rodziny dławiony od lat, drzemała prymitywna, odwieczna solidarność krwi. To uczucie, ten instynkt, ta solidarność odezwały się teraz w prokuratorze, a im głębiej były uszione, im dłużej niedopuszczone do głosu, tym odezwały się silniej.

Tymczasem sędzia śledczy, którego twarz zdradzała najwyższe zainteresowanie, pytał w zupełnej ciszy, jaka nastąpiła w pokoju:

— Czy pan nie zatrzymał tego pana? Czy nie pytał pan, do kogo idzie?

— Gdzie tam! Biegł jak wariat. Zresztą ubrany był porządnie bardzo i solidnie wyglądał. Myślałem, że może czeka na kobietę i nie może się doczekać i że dlatego poleciał na górę.

Dozorca domu, którego zeznania zrazu uważano za prostą formalność, stał się nagle świadkiem niezmiernie cennym.

Zapytano z kolei Doskocza, jak wyglądał ów nieznajomy. Tu jednak zaczęła się tragedia. Dozorca nie mógł dać innego określenia poza tym jednym, że był to człowiek młody i solidnie ubrany. Jakichkolwiek innych szczegółów nie sposób było z niego wydobyć. Sędzia śledczy, komisarz i prokurator Gniewosz męczyli go przez kwadrans, aż wreszcie zrezygnowali z uzyskania od dozorca rysopisu.

— No, dobrze, dajmy już temu spokój. Kiedy ten pan wszedł z domu?

— Tego nie widziałem.

— Ach, tak!

— Siedziałem już pewnie wtedy w dyżurce.

— Czy tego nieznajomego widzieliście po raz pierwszy, czy widywaliście go przedtem?

— Pierwszy raz.

— Sądzę, że można go już zwolnić — odezwał się komisarz, spoglądając pytająco na Gniewosza. — Nic się więcej od niego nie dowiemy.

Podprokurator Gniewosz, a wraz z nim doktor Kober skinęli skwapliwie głowami.

Zupełnie jednak niespodziewanie Tomasz Garda dał znak ręką.

— Jeszcze mnie Dorskocz odpowie. Czy ta pani, którą zatrzymaliśmy, często bywała u pana Szalskiego? Czy często ją Dorskocz widywał?

Dozorca domu potrząsnął przecząco głową.

— Nie. Nigdy jej nie widziałem. Dopiero teraz po raz pierwszy.

Garda pokiwał głową i nie pytał już o nic więcej.

Dozorcę domu zwolniono, podobnie jak Bażyka. Zanim wezwano Renę Łaską, sędzia Kober zwrócił się do Mondszajna:

— Panie komisarzu, trzeba będzie znaleźć tego młodego człowieka. Zaczyna nam się wikłać śledztwo.

— Mam wrażenie, że ta zatrzymana dziewczyna będzie nam coś mogła powiedzieć o tym tajemniczym nieznanym — odparł komisarz Mondszajn z właściwym sobie uśmiechem.

Nacisnął guzik dzwonka.

— Wprowadzić zatrzymaną! — rozkazał posterunkowemu, który wsunął głowę do pokoju.

## ROZDZIAŁ XIX

Rena Łaska zjawiała się na przesłuchanie blada i mizerna, jednakże bardzo spokojna. W czasie owej godziny, kiedy przesłuchiowano listonosza i dozorcę domu, zdołała utwierdzić się w swym przekonaniu, że obowiązkiem jej jest tak zeznawać, by Janusz Garda pozostał daleki od owego ponurego dramatu, jaki rozegrał się w mieszkaniu Szalskiego.

Postanowienie to pociągało za sobą poważne konsekwencje. Wyłączało ono jakąkolwiek obronę, jakiegokolwiek stawianie w jaśniejszym świetle własnej osoby.

Przywitało Renę zupełne milczenie. Prowadzący śledztwo przypatrywali się jej badawczo, a każdy z nich w duchu podziwiał jej urodę, istotnie pyszną, mimo znękanego wyglądu.

Tylko prokurator Garda, wsparty rękami na stole, patrzył na nią wzrokiem twardym, w którym nie było ani cienia litości. Od dziewczyny zależał los Janusza.

Milczenie przerwał komisarz Mondszajn. Gdy mówił do Reny, głos jego stawał się mimo woli łagodniejszy i brzmiała w nim nuta pewnej życzliwości.

— Niech mnie pani uważnie posłucha! — rzekł. — Zebraliśmy się tutaj po to, by wyjaśnić zagadkę zgonu pana Artura Szalskiego. Chodzi nam o zdobycie prawdy materialnej. Może pani nam zechce dopomóc w tym trudnym zadaniu przez absolutną szczerść. Nikogo w tej chwili nie oskarżamy, jednakże sama pani przyzna, że sytuacja, w jakiej zastano panią, była bardzo niejasna.

Rena skinęła głową na znak, że dobrze rozumie, po czym odpowiedziała przyciszonym głosem:

— Nie mam zamiaru być nieszczerą. Sytuacja, o której pan mówi, była, niestety, zupełnie nieskomplikowana.

— Niech pani siada, będzie nam wygodniej rozmawiać. Co pani chce przez to powiedzieć?

— Tylko to, że ja zabiłam Szalskiego.

Tomasz Garda po raz pierwszy odczuł sympatię dla Reny Łaskiej.

Sędzia śledczy przewrócił szybko kilka kartek rosnącego szybko protokołu.

— Listonosz zeznał, że powiedziała mu pani wręcz co innego. Mam tu zaprotokołowane, że zaprzeczyła pani, jakoby pani zabiła Szalskiego.

— Tak było — potrząsnęła głową, odrzucając z czoła włosy. — W pierwszej chwili postanowiłam się zapierać, teraz jednak zrozumiałam beznadziejność mojej sytuacji.

— A więc przyznaje się pani.

Kober pochylił się ku protokolantowi i słowo w słowo podyktował mu ostatnie zdanie, wypowiedziane przez Renę. Mondszajnowi jednak przyznanie się Reny wydało się zbyt skwapliwe.

— Pani jest ekspedientką w domu towarowym, którego właścicielem był Szalski? — zapytał.

— Byłam — poprawił go. — Obecnie pewnie już nią nie będę.

— Jak długo pani pracowała?

— Niecałe dwa lata.

— Znała pani dobrze zabitego?

— Najlepiej, jak było można! — Brwi Reny ściągnęły się boleśnie. — Byłam jego przyjaciółką.

Zeznania Reny składane były tonem cichym, lecz wyraźnym i z jakimś dziwnym, charakterystycznym spokojem, który uderzył nie tylko Mondszejna, lecz i Gardę. Rena odpowiadała na pytania bezbarwnie i beznamiętnie, jak gdyby nie chodziło tu o jej osobę, jakby to nie jej rozgrywały się losy. Można było mniemać, iż przez cały czas myślała o czym innym.

— Czy dużo osób wiedziało w magazynie o tym, że była pani kochanką szefa? — padło nowe pytanie.

— Trzymaliśmy to oboje w najgłębszej tajemnicy. Przypuszczam, że nie wiedział o tym nikt.

Komisarz Mondszejn po raz drugi wykazał swój niezaprzeczony spryt.

— Wśród pracowniczek magazynu lub poza ich kołem miała pani zapewne przyjaciółki lub też jedną oddaną przyjaciółkę. Czy nie zwierzała się pani nikomu z tych rzeczy? Kobiety lubią się zwierzać.

— Jeżeli zwierzałam się to ze wszystkiego, tylko nie z tego.

— Jak często odwiedzała pani swego przyjaciela?

— Nie umiem tego określić — usiłowała się uśmiechnąć.

— Dozorca domu zeznał nam przed chwilą, że nigdy nie widział pani wchodzącej do kamienicy.

— W takim razie dozorca domu źle patrzył — odparta, ruszając ramionami, a prokurator Garda był jej wdzięczny za tę odpowiedź, bo zakwestionowanie zmysłu obserwacyjnego dozorcę było zarazem osłabieniem jego zeznań, co do Janusza.

— Niemniej, według wiadomości, które posiadamy, nie chodziła pani zbyt często.

Komisarz Mondszejn bluffował, chcąc uzyskać od Reny jaśniejszą nieco odpowiedź.

— Być może.

Komisarz spojrział w prześliczne oczy dziewczyny i uczuł się zażenowany pytaniem, które teraz zadał.

— Pozwalamy sobie przypuszczać, że stosunek pani i Szalskiego nie był platoniczny. Musieliście się przecież gdzieś spotykać.

— Naturalnie! — znowu namyślała się, co odpowiedzieć, aż wreszcie rzuciła się z brawurą: — Są przecież hotele w Warszawie.

Wypowiedziawszy te słowa, spojrzała na Gardę. Przypomniała sobie tę twarz, nie miała jednak pojęcia skąd. Garda zaś, w miarę jak słyszał nowe odpowiedzi Reny, nabierał coraz to większego przekonania, że miał najzupełniejszą rację, zabraniając synowi nawet myśli o małżeństwie z tą dziewczyną. Było prawdą to wszystko, co o niej wiedział, prawdę również mówił ów nieszczęsny anonim. Brawurę Reny, która bez wahania stawiała siebie w jak najgorszym świetle, byleby osłonić Janusza, brał za cynizm i dowód jej zepsucia. Jakkolwiek nad Januszem wisiało jeszcze obecnie niebezpieczeństwo, równie wielkie było to, którego uniknął, a którym byłoby połączenie się z tą dziewczyną.

Padaly tymczasem pytania zadawane osobom przesłuchiwanym, a po nich następowały bezbarwne, pozbawione wszelkiego wzruszenia odpowiedzi dziewczyny. Garda przekonał się szybko, że znacznie większe niebezpieczeństwo zaczyna grozić Januszowi ze strony komisarza Mondszejna niż ze strony Reny. Oficer policji miał po prostu podejrzenia co do prawdziwości słów dziewczyny. Z niezmiernie szybką orientacją, która cechowała jego lotny umysł, osaczał Renę pytaniami, a gdzie tylko dostrzegł cień niekonsekwencji lub niezgodność dwu odpowiedzi,

tam natychmiast podkreślał swe powątpiewanie. Trzeba było przyznać Mondszajnowi, że wszystkie jego spostrzeżenia tchnęły logiką, której nic nie można było zarzucić. Zauważyli to również Gniewosz i Kober i pozostawili mu swobodę działania. Czasami tylko jeden lub drugi pochylał się ku niemu i szeptał do niego kilka słów, czasami sędzia śledczy podsunął mu kartkę z jakąś uwagą lub pytaniem. Garda milczał jak zakłęty.

Rena chciała, by uwierzono we wszystko, co mówiła, ale szybko zrozumiała, że Mondszajn w wiele rzeczy nie chciał uwierzyć.

Po owym powiedzeniu, iż są hotele w Warszawie, Mondszajn przerzucił się na inny temat.

— Z adresu, który pani nam podała, wynika, że mieszka pani w fatalnej dzielnicy. Dostanę o tym zresztą dokładne relacje, poleciłem bowiem przeprowadzić rewizję w mieszkaniu pani.

Zdawało się, że Rena po raz pierwszy straci spokój. Wargi jej drżały, gdy pytała:

— Rewizję? Po co? Mój Boże, u mnie w domu? Mam chorą matkę, staruszkę.

— Spełniam tylko mój obowiązek. — Mondszajn odczuwał jak gdyby potrzebę wytłumaczenia się. — Zależy nam na ustaleniu najdrobniejszych nawet szczegółów. Konkretnie mówiąc, chodzi nam o ewentualną korespondencję pani. Wracam do mego pytania. Dlaczego pani mieszkała w takim podłym domu, kiedy miała pani zapewne możliwość mieszkania lepiej?

— Zarabiałam przecież tak mało.

— Jako ekspedientka – być może, ale była przecież pani, mówiąc delikatnie, utrzymanką swego szefa.

Pospieszyła wyjaśnić niekonsekwencję.

— Staralam się zachować pozory.

Krytycznym wzrokiem obrzucił jej sukienkę.

— Muszę jednak zapytać panią, w jakiej mierze korzystała pani z finansowych usług Szalskiego i co działo się z tymi pieniędzmi.

Odpowiedziała z szarżą, wydymając pogardliwie wargi.

— Był skąpy.

— Cóż więc w większej mierze łączyło panią z zabitym? Interes, czy uczucie.

— Sprawa uczuć należy do mnie. Co do interesu powiedziałam już, że był skąpy.

Stosunek ten dawał mi jednak korzyści i w dziedzinie mej pracy. Niedawno podwyższył mi pensję, chociaż co miesiąc redukowano w magazynie. Byłam ustalona na mym stanowisku. Zresztą, gdybym oparła się jego żądaniom, nie zawahałby się, by mnie usunąć.

Komisarz policji sięgnął po nowego papierosa.

— A teraz — rzekł, otaczając się kłębam dymu — proszę nam powiedzieć, jak to było.

Rena zaczerpnęła głęboko powietrza. Widziała skierowane na siebie inkwizytorskie spojrzenia. Pochyliła głowę i jęła mówić głosem suchym, nadając swemu opowiadaniu telegraficzny styl.

— Szalski zaczął mnie ostatnio zaniedbywać — szarpała nerwowo palcami chusteczkę.

— Miał mnie dosyć. Nie mówił mi tego, ale widziałam to wyraźnie z jego zachowania. W czasie początkowych uniesień miłosnych obiecywał mi mieszkanie. Otoczenie mnie zbytkiem. Potem zapomniał o wszystkim. Obchodził go coraz mniej. Byłam zazdrosna... Staralam się utrzymać na mej pozycji.

Dziś wieczór, po wyjściu z magazynu, pojechałam do siebie do domu. Zapowiedział mi już wczoraj, że nie może się widzieć ze mną, że zajęty ma wieczór. Mimo to przebrałam się i pojechałam do niego. Zastałam go w domu. Nie okazał zadowolenia, gdy mnie zobaczył. Przywitał mnie niechętnie. Weszłam do jadalni. Zobaczyłam zastawiony stół. Oczekiwał



widocznie innej kobiety. Mojej następczyni.

Przerwała swe opowiadanie i podniosła głowę. Była straszliwie blada, tylko oczy płonęły gorączkowym blaskiem.

— Powstała między nami awantura. Powiedział mi, że ma mnie dość. Wskazał mi drzwi i powiedział, że wydali mnie z pracy, jeżeli będę rościła do niego jakiegokolwiek pretensje.

Wówczas...

— Wówczas?...

— ...zabiłam go. Potem przyszedł ten listonosz...

— Nie rozumiem jeszcze wielu rzeczy — twarz komisarza miała szczególny wyraz. — Szalski sam pani otworzył drzwi?

— Sam.

— Czy paliło się światło w przedpokoju?

— Raczej tak! — odparła z wahaniem.

— Listonosz mógł wejść do mieszkania tylko dlatego, że drzwi były niezatrzaśnięte. Inaczej nie mógłby się dostać. Musiałby dzwonić...

— Tego szczegółu nie mogę panu wyjaśnić. Weszłam szybko i skierowałam się prosto do pokoju. Być może Szalski w pośpiechu źle zamknął drzwi.

Komisarz policji wyjął z kieszeni niewielki scyzoryk. Bawił się nim przez chwilę, ukrywając mały przedmiot w dłoni.

— Niech pani wstanie — rzekł. — Chcę pani coś pokazać.

Gniewosz i sędzia śledczy spojrzeli na siebie zdziwieni. Nie wiedzieli, do czego zmierza oficer policji. Tylko Garda zrozumiał i ukrył domyślny uśmiech.

Rena usłuchał i pochyliła się nad stołem. Mondszajn podniósł scyzoryk w rękę.

— Ten drobiazg znaleziono na miejscu zbrodni. Czy pani to poznaje?

Uczynił gest, jakby chciał podać jej scyzoryk i naraz podrzucił go w górę.

— Łap!... — krzyknął z naciskiem.

Dziewczyna drgnęła. Uległa rozkazującemu głosowi i wyciągnęła prawą rękę po scyzoryk, który zatoczył łuk i upadł na stół.

Nie rozumiała, czego od niej chciano. Usłyszała tylko śmiech sędziego śledczego i słowa skierowane do komisarza Mondszajna.

— Bardzo dobrze...

Komisarz policji miał tryumfujący wyraz twarzy.

— Może pani usiąść z powrotem. Wiemy już to, co chcieliśmy wiedzieć.

Nadal nie miała pojęcia, czego od niej chciano. Mondszajn tymczasem schował scyzoryk do kieszeni.

— Listonosz zastał panią z rewolwerem w lewej ręce. Pani naturalnie strzelała, trzymając broń w tej ręce?

— Tak.

— Nie, proszę pani, to nieprawda! Gdyby tak było, starałaby się złapać teraz ten scyzoryk nie prawą, lecz lewą ręką. Pod wpływem pierwszego odruchu. Jest to cecha właściwa każdemu mańkutowi. Dodam nawiasem, że ten scyzoryk nie ma nic wspólnego ze zbrodnią.

Rena przybladła.

— Nie pamiętam tego. Już nie pamiętam — wyjąkała.

Poczęła odczuwać wielkie zmęczenie. Spodziewała się, że poprzestaną na jej zeznaniach, oni jednak zasypywali ją gradem podchwytliwych pytań, żądali wyjaśnienia najdrobniejszej wątpliwości, najdrobniejszego szczegółu. Po co ją tak męczono, skoro przyznała się do winy?

Sędzia śledczy prześwidrował ją swymi małymi, tonącymi w tłuszczu oczyma.

— Jak to było z tym pobojuwiskiem na stole?  
— To było chyba po strzale. Szalski upadł. Biegnąc do niego, trąciłam silnie stół.  
— A więc jednak pamięta pani coś z tego, co działo się po strzale? Powiedziała pani przed chwilą, że od momentu zabójstwa nie wiedziała pani, co się z panią działo... — odezwał się Mondszejn zadowolony, że podchwycił nową sprzeczność.

— Przypominam sobie to teraz bardzo słabo.  
— Czy pani miała liczne znajomości? Mówię naturalnie o znajomościach męskich.  
— Nie.  
— Sądzę, że przy pani urodzie musiała mieć pani powodzenie, czy nie było jakiegoś człowieka, który by, poza Szalskim, mógł mieć prawa do pani, mógł być o panią zazdrosny, słusznie albo niesłusznie?

Tomasz Garda zawisł wzrokiem na wargach Reny. Od odpowiedzi jej zależał los Janusza. Jeżeli wymieni jego nazwisko, Janusz będzie skompromitowany, a on sam znajdzie się w dwuznacznej sytuacji. Dopiero teraz uprzytomnił sobie, że siebie narażał bardzo poważnie.

Dziewczyna jednak odpowiedziała obojętnie:

— Nikogo takiego nie znałam.

Stary prokurator odetchnął z ulgą. Zrozumiał, że Rena celowo chce osłonić Janusza. A więc było jednak trochę szlachetności w tej zepsutej istocie!

Pozostawało jeszcze jedno pytanie, które należało zadać Łaskiej. Pytanie przezornie pozostawione na sam koniec. Było to pytanie zasadnicze, od którego bardzo wiele zależało w śledztwie.

Sędzia śledczy zadał je wreszcie.

— W jaki sposób rewolwer znalazł się w pani ręku? Do kogo należy ten rewolwer? Ostrzegam panią, że każdy rewolwer ma numer i nietrudno będzie nam dojść, na czyje nazwisko zostało wydane pozwolenie lub też, gdzie broń została sprzedana.

Rena otworzyła usta, by udzielić wyjaśnień, lecz nie miała czasu wypowiedzieć ani słowa.

Już gdy sędzia śledczy mówił do niej, do uszu wszystkich obecnych w pokoju doszedł jakiś szmer w korytarzu i echo podniesionych głosów.

Teraz drzwi otworzyły się gwałtownie i ukazał się w nich wysoki młody człowiek, w rozpiętym palcie, z kapeluszem w ręku.

Był niesłychanie wzburzony. Tuż za nim ukazał się dyżurny policjant, wbrew którego woli, przybyły wtargnął do gabinetu.

Prokurator Garda na widok ten podniósł się i oparł rękoma o stół, jak gdyby obawiając się, że o własnych siłach nie utrzyma się na nogach.

Młody człowiek powiódł oczyma po obecnych i wzrok jego zatrzymał się na mundurze komisarza policji.

— Panie komisarzu! — zawołał drżącym, lecz wyraźnym głosem. Przybyłem tutaj, by złożyć ważne zeznania. Jestem zabójcą Artura Szalskiego.

Odpowiedział na te słowa krótki krzyk Reny, która zemdlona, osunęła się z krzesła na ziemię.

## ROZDZIAŁ XX

Gdy obrócił klucz w zamku i gdy ojciec odszedł od zamkniętych drzwi, Janusz miał tylko jedno pragnienie, by wreszcie przestać myśleć o ciężkich i strasznych przeżyciach ostatnich godzin.

Było mu wszystko jedno, co się stało, było mu wszystko jedno, co się stanie. Zmęczenie i wyczerpanie sprawiło, iż najjaskrawsze wrażenia zatarły się w jego umyśle. Znajdował się w stanie całkowitej tępoty umysłowej.

Dowlókł się do łóżka i rzucił się na nie w ubraniu, nie świecąc światła w pokoju.

Wypity alkohol rozebrał go zupełnie. Spodziewał się, że zdrzemnie się i że sen przyniesie mu zapomnienie, sen jednak nie przychodził.

Leżał bez ruchu z przymkniętymi oczyma, nie udało mu się jednak opanować myśli, które rwały, jak wichur w rozpalonej głowie.

Przesuwały mu się w mózgu gorączkowe obrazy. Jakieś wizje okropne, jakieś nieskoordynowane majaczenia. To twarzyczka Reny, która uśmiechnęła się do niego, to surowa postać ojca. To widział skaczące litery anonimu, który zabił w nim resztki nadziei, to znowu zjawiała się przed nim postać Szalskiego, taka jaka pozostała w jego pamięci, gdy opuszczał mieszkanie dyrektora.

Stara służąca zaniepokojona poleceniem, jakie jej wydał prokurator Garda, kilkakrotnie pukała do drzwi jego pokoju, pytając, czy podać herbatę, za każdym jednak razem milczenie było jedyną odpowiedzią.

Coraz bardziej niespokojna postanowiła nie kłaść się spać i zaczekać, aż wróci pan domu.

Janusz nie wiedział, jak długo znajdował się w stanie owego półsnu, półjawy.

Ocknął go jakiś hałas, który powstał na ulicy. Okno w jego pokoju było otwarte. Płynęło przez nie zimne powietrze nocy. Janusz uczył chłód. Przez długą chwilę przemagał w sobie niechęć do wstania i zamknięcia okna.

Wreszcie jednak zdobył się na ten wysiłek. Równocześnie uczył pragnienie. Dotknął ręką warg. Były suche i spękane. Miał gorączkę.

Nadal nie zapalając światła, przekręcił klucz, otwierając drzwi i wszedł do jadalni.

Spojrzał na zegar. Dochodziło pół do dwunastej. Zdziwił się, że ojca jeszcze nie ma. To było dziwne, że wyszedł z domu po kolacji i nie wrócił do tej pory.

Na stole stała szklanka wystygłej herbaty i zimne mięso leżało na talerzu. Odsunął je z niechęcią, natomiast wziął szklankę z herbatą i przyłożył ją chciwie do ust.

Usłyszał szurganie pantofli i Józefowa wsunęła głowę przez uchylone drzwi.

— Jak to dobrze, że pan wstał. Niepokoiliam się już o pana.

Machnął ręką.

— Głowa mnie trochę bolała. Może Józefowa pójsć posłać łóżko. Położę się zaraz.

Usiadł zmęczony przy stole i podczas gdy stara służąca krzątała się w przyległym pokoju, trwał tak z twarzą zasłoniętą rękami.

Szurganie pantofli Józefowej zbliżyło się znowu i znowu usłyszał sepleniący głos służącej.

— Wszystko już gotowe. Może pan iść spać. O, to pan kolacji nawet nie tknął? Może podać szklankę gorącej herbaty?

— Nie, nie mam ochoty. A gdzie to ojciec wyszedł?

— Czy ja tam wiem? Telefonowali i zaraz potem powiedział, że musi wyjść.

— Może na karty? Tylko tak późno...

Stara kobieta potrząsnęła przecząco głową.

— Nie. Pana prokuratora wezwali gdzieś urzędowo.

— Urzędowo? — zdziwił się Janusz.

— Tak. Do jakiejś ważnej zbrodni. Zamordowali kogoś.

Tknięty przecuciem zerwał się nagle od stołu.

— O jakiej zbrodni Józefowa mówi? Słyszała Józefowa ten telefon?

— Słyszałam. Pan prokurator mówił nawet nazwisko tego zabitego. Jakiś pan Szalski czy inaczej...

— Szalski! — wyrwało się z ust Janusza, który pobladł śmiertelnie i zachwiał się na nogach.

— Tak. Właśnie tak – Szalski...

Był tak blady, że ogarnęło ją przerażenie. Podbiegł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

— Józefowa słyszała ten telefon! Niech mi Józefowa mówi!... Niech mi Józefowa mówi prędko wszystko, co o tym wie. Wszystko, co słyszała!

— Wiedzieć, to ja dużo nie wiem. Pan prokurator mówił coś tylko o jakiejś dziewczynie, którą tam zatrzymano. Starszy pan trząśł się cały, gdy skończył rozmowę.

Janusz podniósł rękę do czoła, lecz natychmiast opuścił ją bezwładnie. Przez chwilę zdawało mu się, że zemdleje.

— Rena! — przemknęło mu przez głowę. — Tą zatrzymaną dziewczyną była Rena, a nikt inny. Znajdowała się pod zarzutem zamordowania Szalskiego. Zastano ją w mieszkaniu zabitego.

Wiedział doskonale, dlaczego ojciec trząśł się cały, gdy odebrał ten telefon, wiedział doskonale, dlaczego pośpieszył natychmiast na miejsce zbrodni.

Zatrzymaną dziewczyną była Rena Łaska. Znajdowała się pod ciężkim oskarżeniem. Jakąkolwiek była miara krzywdy, jaką mu wyrządziła – jednak był to jego obowiązek. Obowiązek, z którym nie wolno było zwlekać ani przez chwilę.

— Józefowo, prędko! Płaszcz i kapelusz.

— Pan wychodzi? Tak późno?

— Wychodzę. Niech Józefowa o nic nie pyta. Tylko szybko!

Narzucił w pośpiechu podany mu płaszcz.

— Kiedy pan wróci?

Uśmiechnął się z przymusem:

— Nie wiem. Obawiam się jednak, że nieprędko.

Służąca była zdziwiona i zaniepokojona. Dziwne rzeczy działy się tego wieczoru w domu prokuratora Gardy.

Janusz po wyjściu na ulicę zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i wskoczył do niej.

— Do urzędu śledczego! — polecił szoferowi.

I tak się stało, że w momencie, gdy przesłuchanie Reny doszło do kulminacyjnego punktu, w urzędzie śledczym zjawił się młody człowiek i zdenerwowany w najwyższym stopniu, zażądał natychmiastowego widzenia z komisarzem policji prowadzącym śledztwo w sprawie zamordowania Artura Szalskiego.

Dyżurny policjant polecił mu, by czekał chwilę, przybyły jednak w odpowiedzi na te słowa, odepchnął posterunkowego i wtargnął do pokoju, gdzie odbywało się przesłuchanie.

Wtargnięcie jego i słowa samooskarżenia, które rzucił, wywołały wśród zebranych niebywałą konsternację, powiększoną jeszcze omdleniem Reny.

Prokurator Garda stał nadal nieporuszony, jakby wrosły w ziemię. Oczy jego rozszerzone grozą patrzyły na Janusza, jakby chciały go ostrzec, jakby chciały cofnąć te słowa, które już padły i których nie można było odwrócić.

Gniewosz i Kober nie mogli z siebie wydobyć ani słowa. Obaj znali Janusza Gardę, pierwszy osobiście, drugi tylko z widzenia. Nic dziwnego, że nagłe pojawienie się młodego Gardy podziało na nich jak uderzenie gromu.

A Janusz Garda powtórzył raz jeszcze:

— Jestem zabójcą Artura Szalskiego.

Upłynęła chwila, zanim komisarz Mondszajn opanował sytuację. Omdlałą Renę wyniesiono do przyległego pokoju, gdzie zajęto się jej cuceniem.

Mondszajn był jedynym w tym gronie, który nie znał syna prokuratora i gdy tylko drzwi zamknęły się za posterunkowym zapytał przybyłego:

— Kim pan jest?

— Nazwisko moje brzmi: Janusz Garda...

Komisarz Mondszajn spojrział na młodego człowieka wzrokiem, w którym malowało się niesłychane zdumienie. Równocześnie usłyszał przyciszony głos Kobera:

— To syn prokuratora Gardy...

Tomasz Garda usiadł ciężko i oparł głowę na rękę. Gniewosz pochylił się ku niemu, on jednak odsunął go gestem.

— Proszę zostawić mnie w spokoju.

Zarówno Gniewosz, jak Mondszajn i doktor Kober zrozumieli doskonale, co musiało się dziać w ojcowskim sercu. Trzeba było jednak przerwać to milczenie. Młody Garda oddawał się do dyspozycji prawa i mimo uczucia litości, mimo współczucia, jakie czuli w tej chwili dla starego prokuratora, obowiązani byli postąpić w myśl litery owego prawa.

— Zjawił się pan tutaj dość nieoczekiwanie i złożył nam pan dość ważne oświadczenie — ozwał się spokojnym przyciszonym głosem Gniewosz. — Czy pan podtrzymuje to, co pan powiedział przed chwilą?

— W zupełności.

— Tak!

— Co skłoniło pana do złożenia nam tego oświadczenia?

— To bardzo proste. Dowiedziałem się, iż trzymano pod zarzutem tej zbrodni osobę zupełnie niewinną, przyszedłem więc złożyć to zeznanie, by nikt nie cierpiał za moją winę, chociażby pozory świadczyły przeciwko niemu.

— Wobec tego, co usłyszeliśmy, musimy z panem dłużej porozmawiać. Niech się pan rozbierze i usiądzie. Tam jest wieszak.

Janusz mechanicznie spełnił wydane mu polecenie.

Przez cały czas zachowywali się wszyscy tak, jakby prokuratora Gardy nie było wcale w pokoju. Uważali, że jest to kwestia delikatności w tej niesłychanie drażliwej sytuacji. Garda zaś znajdował się od chwili, gdy ujrzał Janusza, jakby w stanie zamroczenia umysłowego. Na nic zdały się jego wszystkie starania. Janusz sam wszystko zepsuł. Okropne podejrzenie stało się prawdą w jego oczach.

— Czy pan zna pannę Łaską — zapytał tymczasem Mondszajn Janusza.

Prokurator Garda zwrócił się do obecnych:

— Panowie pozwolą — rzekł twardo — jeżeli syn mój istotnie popełnił czyn, do którego się przyznaje, zechciejcie panowie zapomnieć o mojej osobie. Jeżeli jest winien, prawo musi

wkroczyć tak, jak powinno by wkroczyć, gdybym ja to uczynił. Ale ja wierzę, że Janusz nie jest mordercą Szalskiego...

Uśmiechnął się, przy czym koło ust, ukazała się bolesna zmarszczka, która przysporzyła surowości jego twarzy.

— Zechciejcie panowie nie protokołować tego, co teraz powiem... Być może, będę mówił bardziej jako ojciec niż jako prokurator. Ale to trudno. Proszę panów, Janusz Garda, jak mi wiadomo, poznał przed kilku miesiącami młodą dziewczynę. Tę właśnie, którą wyniesioną stąd omdlałą. Zakochał się w niej To takie normalne... Chciał się żenić...

— Zostaw, ojcze! Ja powiem to, co jest do powiedzenia.

— Teraz ja mówię! Powiedziałeś aż za dużo... Otóż, chciał się żenić. Zebrałem informacje o tej pani. Były nieszczegółne. Sama nam tu opowiadała, jakie stosunki łączyły ją z Szalskim. Uważałem za swój obowiązek ostrzec syna. Przeszedł to bardzo ciężko. Teraz dowiedział się przypadkowo o morderstwie, o podejrzeniu, jakie padło na tę Łaską i uniesiony miłością i fałszywie pojętą szlachetnością – przyszedł, by ratować tę dziewczynę.

Nie zważając na nic, stary Garda wstał i podszedł do syna.

— Januszu! — rzekł miękko, kładąc mu rękę na ramieniu. — Mówię do ciebie w tej chwili jeszcze jako ojciec. Rozumiemy wszyscy szlachetność twego postępku. Biedny chłopcze. Jesteśmy także ludźmi i wiemy, jak to może boleć. Ale zostaw tę dziewczynę swemu losowi. Przyznała się, że zabiła, przyznała się do tego, że była utrzymanką... Wyjaśnimy sprawę i pójdiesz stąd, by odpocząć i zapomnieć, Januszu. — Pochylił się jeszcze bardziej ku niemu. — Przecież ty nie mogłeś tego uczynić! Przecież to nieprawda!...

Trzej urzędnicy pozwolili mówić staremu Gardzie. Ta scena miała swe dramatyczne napięcie o skali tak wysokiej, że, chociaż otrzaskani byli wszyscy z tragediami ludzkimi, uczyniła ona na nich głębokie wrażenie.

Dumny, nieugięty prokurator, człowiek, który nie znał litości dla przestępców, który demonstrował zawsze swój pogląd, iż najsurowsze kary winny wypleniać zło, teraz błagał wprost syna, by jego przyznanie się do zbrodni nie było prawdą.

Jednakże słowa prokuratora, jego błaganie serdeczne, nie wywołało żadnego wzruszenia na twarzy Janusza Gardy.

Młody Garda pochylił się nieco w stronę prokuratora Gniewosza.

— Panie prokuratorze, przypuszczam, że pan zrozumie mego ojca i nie weźmie mu za złe, że byłby gotów nawet do utrudniania władzom śledztwa. Przyniesłem tu z postanowieniem, żeby nie kryć niczego. W posiadaniu mego ojca znajduje się list anonimowy, który właśnie spowodował tę całą tragedię.

— Januszu!

Na twarzy sędziego śledczego odmalowało się uczucie przykrości.

— Panie prokuratorze, zechce mi pan wybaczyć, że ośmielę się przypomnieć panu o urzędowym charakterze lokalu, w którym się znajdujemy. Niech pan zechce nie przeszkadzać składającemu zeznania.

Tomasz Garda spojrział strasznym wzrokiem na Kobera. Zdawało się przez chwilę, że wybuchnie ogromnym gniewem, jednakże opanował się, przez twarz jego przebiegł bolesny skurcz, potem pochylił głowę na pierś.

— Zechce pan wybaczyć. Nie chcę tu mieć żadnych specjalnych przywilejów. Czy życzą sobie panowie, bym ich opuścił?

Sędzia śledczy zreflektował się. Wina Janusza Gardy nie była jeszcze przesądzona. Samo przyznanie się nie wystarcza. Nowoczesna sprawiedliwość wymaga zebrania dowodów winy nawet wobec przyznania się. Nie należało stawiać sprawy zbyt ostro i narażać się wpływowemu

prokuratorowi.

— Ależ nie! W tej chwili nie wymaga jeszcze tego stan sprawy, by nie mógł pan asystować przy śledztwie. Pan zresztą sam, panie prokuratorze, najlepiej to osądzi.

— Wróćmy do naszego poprzedniego pytania — podjął przesłuchanie Mondszajn. — Czy znał pan pannę Łaską?

— Znałem. Prawdą jest wszystko to, co powiedział ojciec. Znałem tę dziewczynę i kochałem ją. Chciałem, by została moją żoną. Ojciec sprzeciwiał się temu. Zebrał o niej informacje, które były dla mnie strasznym ciosem. Wskazywały one, że panna Łaska jest intymną przyjaciółką Artura Szalskiego. Okazało się to, niestety, prawdą.

— Była tu mowa o jakimś anonimie?

— Bo też anonim odegrał tu dużą rolę — mówił wolno Janusz, jakby chciał opanować się w ten sposób. — Wczoraj wieczorem widziałem Renę Łaską po raz ostatni. Ponownie ujrzałem ją dopiero tutaj. Wczoraj wieczorem powiedziała mi, że dzisiejszy wieczór ma zajęty. Gdzie miała być, co miała robić? Na to nie chciała mi dać odpowiedzi. Uświadomiłem sobie, co mówił mi ojciec i podejrzenia moje poczęły się utrwalać. Na drugi dzień rano przyszedł list anonimowy...

— Ten list jest w posiadaniu pana prokuratora Gardy?

— Tak! — Janusz zwrócił się do ojca. — Możesz już teraz śmiało pokazać ten list. To jest nawet twoim obowiązkiem.

— Masz rację! — Głos prokuratora brzmiał, jak dźwięk pękniętego dzwonu. — Panie sędzio, oto ten anonim.

Ujął w sztywne palce arkusik papieru i położył go przed Koberem.

Trzy głowy pochyliły się nad listem anonimowym.

Spojrzeli porozumiewawczo po sobie. Ten list wyjaśniał wiele rzeczy.

— A więc pan poszedł, by się przekonać?...

— Tak. Poszedłem zresztą za radą mego ojca. Mniemałem, że to mnie definitywnie wyleczy z mej głupiej miłości.

— Januszu!

Obrócił na ojca spokojne oczy.

— Przecież nie zaprzeczysz temu, że mnie tam posłałeś. Chciałeś zamordować w ten sposób moje uczucie. Ono zostało. Ale zginął Szalski.

— Wróćmy jeszcze do dnia wczorajszego. Łaska powiedziała panu, że ma zajęty wieczór — indagował dalej Mondszajn, pomijając milczeniem wymianę zdań między ojcem, a synem. — Czy często miała dla pana zajęte wieczory?

— Zdarzyło się to wtedy po raz pierwszy.

Posłuchał pan ojca i poszedł pan, by przekonać się, czy panna Łaska uda się istotnie do mieszkania Szalskiego, jak o tym mówi ten list anonimowy. Włóczył się pan koło domu, gdzie mieszkał Szalski. Widział pana dozorca domu.

— Ja go też widziałem. Podśluchałem strzęp rozmowy między nim, a jakimś drobnym suchym jegomościem. Prawdopodobnie służącym Szalskiego. Mówił do dozorca, że ma wolny wieczór, bo u jego pana będzie znowu kobieta. Jak to podziało na mnie, nie trudno będzie panom zrozumieć.

— Poszedł pan na górę?

— Poszedłem do mieszkania Szalskiego.

— Po co? Czy chciał go pan zabić już wtedy?

— O czym ja wtedy nie myślałem! Być może i o tym też. Byłem bliski szaleństwa. A chciałem znać wreszcie prawdę. Znać ją za każdą cenę!

Odpowiedzi Janusza były spokojne, logiczne i potwierdzały fakty, które już były zaprotokołowane z zeznań dozorczy domu.

— Czy poprzednio stykał się pan z Szalskim?

— Znałem go z widzenia i nawet raz z nim rozmawiałem.

— Kiedy?

— Właśnie wczoraj w południe. W magazynie...

— Po co?

Prokurator Gniewosz miał zwyczaj zadawać pytania jak najkrótsze.

— Chciałem dowiedzieć się z jego ust, czy Rena naprawdę jest jego kochanką. Mógłby pan powiedzieć, panie komisarzu, iż był to krok niegodny dżentelmena. Ale może to być zarazem dowodem, do jakiego zdenerwowania byłem doprowadzony.

— Gdy poszedł pan na górę, do mieszkania Szalskiego, co się tam wydarzyło?

— Zadzwoiłem. Otworzył mi Szalski. Wbiegłem do jadalni. Reny... panny Łaskiej nie było. Ujrzałem za to stół przygotowany do kolacji. Ten stół powiedział mi, jaka jest prawda. Moja rozmowa z Szalskim była bliska kłótni. W czasie gwałtownej wymiany zdań zadzwonił telefon. To właśnie dzwoniła Rena. Przepraszam... panna Łaska. Szalski chciał mnie zgnać do końca. Podał mi dodatkową słuchawkę. Słyszałem, jak usprawiedliwiała się przed nim, że się spóźni... To było straszne.

— A po telefonie?

— Powiedział mi, żebym poszedł precz. Miał uśmiech drwiący i szyderczy. Krew uderzyła mi do mózgu. Rzuciłem się na niego...

Tomasz Garda ukrył z powrotem twarz w dłoniach. Syn kończył opowiadanie o przebiegu zabójstwa.

— Szamotaliśmy się, aż wreszcie stało się to, co się stać musiało. Padł strzał. Był, niestety, celny.

— Hm, to tak było...

— ...

— A co nastąpiło po strzale?

— Uciekłem z mieszkania.

— Czy zamknął pan drzwi za sobą?

— Tak.

— A czy światło w przedpokoju paliło się wtedy? Wtedy gdy pan wychodził?

— Skądże mogę pamiętać takie szczegóły. Mam wrażenie, że było ciemno.

— Niech się pan zastanowi... Stwierdza pan, że zatrzasnął pan drzwi za sobą. Jakże wobec tego mogła się tam dostać Łaska?

— Wobec tego musiałem się po prostu pomylić. Musiałem drzwi nie domknąć. Proszę sobie wyobrazić moje przerażenie, gdy dzwoniąc do jednej z redakcji, dowiedziałem się, że morderstwo jest już wykryte, że jakąś dziewczynę zatrzymano w mieszkaniu zabitego. Wiedziałem przecież, że to ona, i przyszedłem tutaj, by wyjaśnić, że niepotrzebnie się ją męczy. To ja zabiłem. I jestem gotów ponieść za to karę.

— Powiedział nam pan dość ogólnikowo: *Padł strzał...* Z czyjego rewolweru?

Gdy Janusz po raz pierwszy zawahał się, drugie pytanie padło szybko z ust prokuratora Gniewosza.

— Pan ma rewolwer?

— Tak. Mam pozwolenie na broń.

— Ma pan rewolwer przy sobie?

— Mam.



— Proszę mi go oddać.

Janusz sięgnął do kieszeni i położył na stole małą *piątkę* belgijską.

— Strzelał pan z tego browninga?

— Nie — odparł Janusz z nagłą decyzją. — W tym rewolwerze nie brak ani jednego ładunku.

— ?...

— Zastrzeliłem Szalskiego z jego własnego rewolweru...

Janusz, mówiąc te słowa, patrzył badawczo w twarz przesłuchujących, jakby chciał z nich wyczytać, jakie wrażenie wywarły te słowa. Oni jednak nie okazali żadnego zdziwienia.

Sędzia śledczy spojrział na zegarek. Spojrział potem na Mondszajna, spojrział na Gniewosza i rozłożył ręce. Wszyscy skierowali wzrok na prokuratora Gardę.

— Panie prokuratorze...

Mówił Mondszajn, któremu przypadło w udziale spełnienie najprzykrzejszej w świecie misji.

— Słucham... — ochryplym głosem odparł Tomasz Garda.

— Jest mi niezmiernie przykro, ale zeznania, któreśmy tu słyszeli, nie mogą pozostać bez konsekwencji. Zeznania pana Janusza Gardy mają wszelkie pozory prawdopodobieństwa. Muszę żądać nakazu aresztowania i pan sędzia Kober nie może mi go odmówić.

— Nakaz aresztowania?

— Niestety, panie prokuratorze. Chcielibyśmy wszyscy, by wyjaśniło się to zupełnie inaczej.

— Ależ u diabła, o jakie wyjaśnienia wam chodzi? — wybuchnął niespodziewanie. — Czyż nie widzicie, że zełgał wszystko od początku do końca. Zaślepiiony w tamtej dziewczynie kłamie, by ją ratować. Nie wie, że przyznała się do winy...

— Panie prokuratorze!...

Gniewosz usiłował mu przerwać, lecz Garda wykonał gniewny ruch ręką, jakby się opędzał od natrętnej muchy. Stał teraz nad nimi wyprostowany i groźny, taki jakim był, kiedy wygłaszał swe oskarżycielskie przemówienia. Tym razem jednak bronił.

— Poszaleliście chyba wszyscy! Gdzież tu mogą być jakieś wątpliwości? Można mi zrobić zarzut, że go tam posłałem. Owszem. Mówiłem mu pójdz i zobacz. Chciałem, żeby przekonał się, co warta jest ta dziewczyna, która już teraz tak zaciężała na jego życiu... Słyszeliście przecież! Przyznała się! Żyła z Szalskim! Zabiła go! Dlaczego jej nie wierzycie, a chcecie wierzyć jemu? Nonsens! Janusz by miał zabić? Nie był tam wcale. Zapytajcie go zresztą, dlaczego nie zastrzelił Szalskiego ze swego rewolweru, dlaczego broń jest czysta i nabita? To śmieszne, by ktoś zabijał rewolwerem swej ofiary, gdy ma przy sobie własną broń. Gdybym zobaczył, że ten browning był świeżo używany, gdybym zobaczył, że brakuje kul, uwierzyłbym pewnie i wyszedłbym stąd. W tej sprawie byłbym już wtedy tylko ojcem, ale moim obowiązkiem jest pozostać teraz tutaj i zapytać was na jakiej zasadzie chcecie go aresztować? Dlatego, że jest młody i głupi i że ponosi go rycerskość wobec cudzej utrzymanki?

Tomasz Garda zwrócił się do syna:

— Januszu, przyrzekam ci, że użyję wszelkich moich wpływów, by ulżyć tej dziewczynie, by osłodzić jej los, by znaleźć wytłumaczenie dla jej czynu o tyle, ile może być w tej sprawie okoliczności łagodzących. Powiedz, jak było naprawdę. Wbiegłeś na te schody, z myślą, by iść do mieszkania Szalskiego, ale do tego mieszkania nie wszedłeś. Zawróciłeś z drogi! Opamiętałeś się! Januszu, ja ci nie wierzę, że byłeś w tym mieszkaniu. A jeżeli chcesz, żebym ci uwierzył, że zabiłeś, to daj mi na to dowód. Daj mi dowód, że byłeś tam!... Słyszysz!.

Umilkł i nastąpiła chwila głębokiej ciszy. Zanim Janusz zdołał odpowiedzieć, zanim

ktokolwiek miał czas głoś zabrać, do drzwi rozległo się głośne pukanie, jak gdyby ostatnie słowa prokuratora sprowokowały los do zadania mu ostatniego ciosu.

— Proszę wejść!... — zawołał Mondszajn.

W drzwiach ukazała się sprytna twarz wywiadowcy Karcza.

— Panie komisarzu, przyszedłem zameldować, iż służący pana Szalskiego powrócił.

Przyszedł ze mną i czeka na przesłuchanie.

— Niech zaczeka jeszcze chwilę. Czy to wszystko?

Wywiadowca potrząsnął głową:

— Jeszcze jedna sprawa. Dokonałem dokładnego zbadania pokoju, w którym zabito Szalskiego. Znalazłem przedmiot, co do którego twierdzi służący, że nigdy nie należał do zabitego.

— Cóż to takiego?

Wydobył z kieszeni jakiś niewielki przedmiot, zawinięty w gazetę.

— Gdzie to było?

— Dziwna rzecz, wyglądało to, jak gdyby było schowane. W jednym z rogów pokoju stoi sofa przykryta narzutą. Narzuta opada aż do ziemi. Pod tą sofą znalazłem ten przedmiot.

— Dziękuję, panie Karcz. Może pan odejść, ale proszę nie opuszczać urzędu.

Komisarz Mondszajn odebrał małe zawiniątko z rąk wywiadowcy. Odwinął papier i ukazała się błyszcząca srebrna papierośnica ze złotym monogramem w jednym rogu.

— Moja papierośnica! — wyrwało się z ust młodego Gardy.

Dopiero teraz uprzytomnił sobie, że podczas rozmowy z Szalskim zapalił zdenerwowany papierosa, a potem nie schował papierośnicy do kieszeni, lecz położył ją na zastawionym stole.

Komisarz Mondszajn skinął głową.

— Inicjały *JG* – Janusz Garda — rzekł krótko, kładąc papierośnicę przed przesłuchiwanym. — Czy w tej papierośnicy, znalezionej na miejscu zbrodni, poznaje pan swą własność?

Janusz uczył dławienie w gardle. Skinął głową.

— Poznają!... Zostawiłem ją na stole, nie wiem skąd mogła się wziąć pod sofą.

— A więc byłeś tam, Januszu!...

Tomasz Garda zaczerpnął głęboko powietrza w płuca, jakby się bał, że zabraknie mu oddechu. Spojrzał na Gniewosza.

Podprokurator miał oczy wbite w stół. Spojrzał na sędziego śledczego. Pochylony, mówił coś szeptem do protokolanta. Spojrzał na Mondszajna. Ten także uciekł przed jego spojrzeniem.

— Przepraszam was, panowie — rzekł Garda.

Odpowiedziało mu milczenie.

— Proszę panów — powtórzył mocniej — uważam, że istnieją uzasadnione podejrzenia, by nad Januszem Gardą roztoczyć areszt śledczy, jako nad podejrzanym o zabójstwo Artura Szalskiego. Odchodzę stąd natychmiast, ponieważ nie wolno mi pozostać ani chwili dłużej. Jestem ojcem i węzły rodzinne mogłyby zwyciężyć we mnie prokuratora. Prawo zresztą zabrania tego najwyraźniej. Pan, panie prokuratorze — zwrócił się do Gniewosza — poprowadzi naturalnie dalej tę sprawę, aż do dalszych dyspozycji, które już do mnie nie należą.

Przerwał i znowu chwycił ustami powietrze, jak gdyby się dusił.

— Januszu! Zobaczę się z tobą, gdy uzyskam na to pozwolenie. Bądź zdrow! Jeżeli zawiniłeś, musisz odpokutować.

Pożegnał się z wszystkimi kolejno. Na koniec wyciągnął rękę do syna. Uczynił gest, jak gdyby chciał go przyciągnąć do siebie i uściskać, lecz bał się widocznie, że nie starczy mu na to spokoju. Poprzestał tylko na mocnym uściśnięciu jego dłoni.

Gdy wrócił do domu, usiadł przy biurku i, starając się nie myśleć o niczym innym, zajął się redagowaniem prośby o dymisję.  
Świt zastał go przy tej pracy.

## ROZDZIAŁ XXI

Rano, gdy Warszawa odbywała swój zwykły pochód do pracy, wiadomość o zbrodni, której ofiarą padł dyrektor i właściciel domu towarowego Artur Szalski, stała się własnością wszystkich.

Prasa ranna podała obszerne relacje o popełnionym zabójstwie, donosząc zarazem o aresztowaniu domniemanej zabójczynie w osobie pracowniczki magazynu, Reny Łaskiej.

O zwrocie, jaki nastąpił w śledztwie jeszcze w ciągu ubiegłej nocy, o tragedii prokuratora Gardy i o aresztowaniu jego syna, który przyznał się, iż to on zastrzelił Szalskiego, prasa nic jeszcze nie podawała, ponieważ fakty te trzymano w najgłębszej tajemnicy.

Po opuszczeniu urzędu śledczego przez starego prokuratora, na naradzie, którą odbył komisarz Mondszajn z rejonowym prokuratorem i sędzią śledczym, zapadło postanowienie, by ze względu na Tomasza Gardę w jak największej tajemnicy utrzymać fakt aresztowania jego syna, nie chcąc w ten sposób przedwcześnie oddawać na żer opinii publicznej nazwiska otoczonego powszechnym szacunkiem.

Byłoby to istotnie przedwczesne, władze bowiem policyjno-sądowe nie miały jeszcze w rękach ekspertyz koniecznych do zupełnego wyjaśnienia sprawy, nie miały też wyników sekcji zwłok, która miała się odbyć dopiero w południe.

Policja przy tym znajdowała się w sytuacji trudnej i niewygodnej. O ile złe jest niepowodzenie śledztwa i niemożność odszukania sprawcy zbrodniczego czynu, o tyle w tym wypadku w wysokiej mierze niewygodny był dla policji fakt, iż do popełnienia jednej zbrodni z przedziwną gorliwością i otwartością przyznawały się aż dwie osoby. Zarówno w zeznaniach młodego Gardy jak i w zeznaniach Reny były luki, niekonsekwencje i niejasności, jednakże nie ma zeznania przestępcy, które by było idealnie zwarte i logiczne.

Życzenie władz śledczych, by aresztowanie młodego Gardy pozostało tajemnicą, pokrzyżował jednak przypadek.

Prokurator Garda nie zjawił się tego dnia w sądzie, mimo że miał oskarżać w jednej z większych spraw. Był to zawód zarówno dla publiczności jak i dla sprawozdawców sądowych. Wkrótce potem dowiedziano się, iż w miejsce Gardy oskarżać będzie prokurator Reklewski.

Jednego ze sprytniejszych sprawozdawców sądowych zainteresowały powody nieobecności prokuratora. Jakoś nie bardzo chciało mu się wierzyć, by nieobecność Tomasza Gardy była wywołana nagłą niedyspozycją. Wytężył swe reporterskie zdolności i, nie wiadomo jakimi drogami, zdobył wiadomość, że Tomasz Garda wniósł podanie o dymisję.

Sprawozdawca sądowy nie omieszkał naturalnie przetelefonować tej rewelacyjnej wiadomości do redakcji dla popołudniowego wydania pisma. Redakcja puściła w ruch wszystkie sprężyny, by ustalić istotne powody dymisji wybitnego oskarżyciela. Wysiłki te zostały uwieńczone sukcesem, na pierwszej bowiem stronie popołudniowego wydania dziennik ów przyniósł rewelacyjną wiadomość o aresztowaniu Janusza Gardy, syna prokuratora, pod zarzutem współdziałania w zamordowaniu Szalskiego. Dymisja prokuratora w tych warunkach była niczym więcej jak tylko prostą konsekwencją zaszłych wypadków. Rozumiano, iż prokurator Garda nie mógł postąpić inaczej.

Wielkie miasta są nielitościwe. Wiecznie spragnione sensacji, wiecznie łaknące emocji, wiecznie goniące za nowym dreszczem niecodziennych wypadków. Wiecznie, chociażby nawet sensacja ta opływała krwią, chociażby nawet obmyta była łzami, chociażby nawet z wielkich krzyczących tytułów wołała ludzka niedola i najgłębsze cierpienie.

Tak było i tym razem. Na mokrych jeszcze od farby drukarskiej płachtach poszło na Warszawę, poszło w tętniące gwarem ulice śródmieścia, poszło w ubogie zaułki przedmieść jedno nazwisko – Garda. To było wydarzenie! Sensacja, jakich mało. Z jednej strony surowy prokurator, człowiek, dla którego nie było okoliczności łagodzących tam, gdzie był występki, a z drugiej strony jego syn. Jedynek, pewnie bardzo kochany, zapewne istota, w którą ojciec włożył całą miłość i dumę swego życia. Syn napiętnowany teraz mianem zbrodniarza. Syn prokuratora – zbrodniarzem!

Łatwo sobie wyobrazić konsternację, jaka zapanowała wśród władz śledczych, gdy zapoznano się z rewelacjami dziennika. Noszono się z początku z myślą zarządzenia konfiskaty, motywując ją ujawnieniem tajemnic śledztwa. Jeżeli porzucono tę myśl, to tylko dlatego, że szala winy Janusza Gardy poczęła szybko opadać.

W godzinach popołudniowych sędzia śledczy i komisarz Mondszejn mieli już w ręku wyniki badań daktyloskopijnych, mieli też w ręku pośpiesznie opracowany protokół sekcji zwłok.

Siedzieli znowu w trójkę w tym samym pokoju urzędu śledczego, co ubiegłej nocy. Doktor Kober, komisarz Mondszejn i podprokurator Gniewosz.

Ukończono właśnie drugie przesłuchanie Janusza. Zeznawał tak samo jak poprzednio, wyjaśniając te niejasności, które jeszcze były.

Badania daktyloskopijne stwierdziły, że na rewolwerze, który się okazał istotnie rewolwerem Szalskiego, były odciski palców jedynie Reny Łaskiej, śladów palców Janusza nie było.

Zapytano go o to. Odpowiedział, że strzelał, trzymając rewolwer przez rękawiczkę.

Mondszejn powątpiewająco potrząsnął głową. Tego rodzaju tłumaczenie nie zadowalało go. Janusz Garda zapalał przecież papierosa w czasie bytności w mieszkaniu Szalskiego. Papierośnica, której zapomniał, przygwaździła jego winę. By wyjąć papierośnicę z kieszeni, by zapalić papierosa, Janusz musiał zdjąć rękawiczkę.

Komisarz policji zapytał o to. Dodał, iż człowiek zdejmujący rękawiczki ściąga zawsze najpierw rękawiczkę z prawej ręki. Istnieje przecież zwyczaj, iż mężczyzna przy powitaniu zdejmuje z tej ręki rękawiczkę. Ponieważ Janusz trzymał broń w prawej ręce, na browningu powinny pozostać ślady palców Janusza.

Aresztowany wyjaśnił tę pozorną sprzeczność. Istotnie, zdjął rękawiczkę z ręki, gdy zapalał papierosa, lecz później włożył ją. Miał ręce w rękawiczkach, gdy wybuchła kłótnia z Szalskim, gdy doszło do bójki, gdy wyrwał broń Szalskiemu i strzelił w zapamiętaniu.

Zaprotokołowano to zeznanie, jednakże Mondszejn nie uważał go wcale za wystarczające.

Zarzucono jeszcze Janusza szeregiem pytań o szczegóły i szczególiki. Lecz on za całą odpowiedź ruszył ramionami i wyjaśnił, że nie zadawał sobie trudu, by rejestrować w pamięci każdy swój krok w momencie, gdy od zmysłów odchodził.

Wyjaśnił też, że po opuszczeniu mieszkania, w którym pozostał stygnący trup Szalskiego, błakał się po mieście, że wreszcie pił wódkę w barze *Pod Tańczącym Faunem*.

Do baru udał się natychmiast wywiadowca, odszukał kelnera, pogadał z personelem i przywiózł ze sobą do urzędu śledczego bufetowego, który nalewał Gardzie wódkę. Zapytywany zeznał, iż Janusz zachowywał się jak nieprzytomny i że pił alkohol szklanką.

Wcześniej jeszcze przesłuchano woźnego Stanisława z *Domu Towarowego A. Szalski i S-ka*. Totumfacki<sup>(1)</sup> zabitego dyrektora zeznawał na okoliczność wizyty Janusza w biurze Szalskiego. Zeznania te wypadły obciążająco. Pytano również woźnego Stanisława o Renę, ale spryciarz odpowiedział, iż pan dyrektor nie miał zwyczaju zwierzać się przed nim ze swego prywatnego życia. Całe rano poświęcił komisarz Mondszajn przesłuchiowaniu personelu magazynu, który mógł mieć jakąkolwiek styczność z osobą Reny Łaskiej. Wszyscy robili wielkie oczy, gdy komisarz pytał, czy wiadomo im było o bliskich stosunkach, jakie łączyły szefa z jego pracownicą. Nie! O tym nie wiedzieli nic.

W ten sposób narastały powoli coraz poważniejsze dane co do winy Janusza. W ten sposób coraz bardziej zagadkowe i niezrozumiałe stawały się zeznania Reny.

Gdy Janusza z powrotem odprowadzono do celi aresztu, spojrzenia trzech urzędników były bardzo poważne.

— Żal mi bardzo starego Gardy — rzekł wreszcie półgłosem Gniewosz, przebiegając oczyma protokoły śledztwa. — To straszny cios dla niego.

— Zabił! Niewątpliwie zabił! — brzmiała opinia opasłego sędziego śledczego. — Zeznania jego są jasne. Motywy zbrodni bardzo naturalne i łatwo zrozumiałe. Obciąża go papierośnica, obciążają go zeznania dozorczy domu, obciążają go zeznania woźnego z magazynu, obciążają go zeznania bufetowego z baru, skoro weźmiemy pod uwagę, iż w normalnych warunkach nie używał prawie alkoholu.

Doktor Kober zamilkł, po czym uderzył pięścią w stół.

— Niepotrzebnie tylko znalazła się tam ta idiotka i popsowała nam całą sprawę. Czego chce? Dlaczego wymyśla historie, które nie trzymają się zdrowego rozsądku?

— Nie wiem, czy mówiłem panom o przykrym wydarzeniu w związku z rewizją w mieszkaniu tej dziewczyny. Jej matka była chora i na wieść o aresztowaniu córki, zmarła na aneurizm serca<sup>(2)</sup>.

— Tak? — sędzia Kober nie patrzył na komisarza.

— Co teraz zrobimy z tą dziewczyną?

— Zostawimy ją panu, komisarzu — wyduł wargi doktor Kober. — Tu będą łzy i płacze, a ja tego nie lubię. Zawsze mi to odbiera apetyt. Trzeba z niej wydusić prawdę. Oboje mordować nie mogli. Skoro zabił Garda, nie mogła zabić Łaska.

— A potem?

— Mój Boże, trzeba ją będzie zwolnić. Naturalnie wypadnie zrobić protokół o wprowadzenie w błąd władzy.

Zajęli się jeszcze innymi kwestiami związanymi ze sprawą, po czym podprokurator Gniewosz i sędzia śledczy poczęli się żegnać. Mondszajn miał przesłuchać raz jeszcze Renę i o wynikach powiadomić telefonicznie Kobera.

Komisarz zaraz po ich odejściu kazał sprowadzić Renę. Przybyła jeszcze bardziej blada i wymizierowana, niż wczoraj.

— Będzie pani miała przykrą sprawę — powitał ją Mondszajn.

— Wiem — uśmiechnęła się smutno.

— Ja nie mówię wcale o sprawie zabójstwa pana Szalskiego. Będzie pani odpowiadać za wprowadzenie w błąd władzy. Szalskiego zabił Janusz Garda.

— To nieprawda! — zawołała rozpaczliwie. — Ja zabiłam Szalskiego.

Komisarz zaprzeczył ruchem ręki.

— Czy pani się naprawdę zdaje, że my nic nie wiemy, że jesteśmy gotowi uwierzyć każdej bredni? Pochodzenia rewolweru nie zdołała nam pani wytłumaczyć. Spotkało panią wielkie nieszczęście, wobec którego nie powinna pani kłamać. Matka pani umarła, ale gdyby

żyła poradziłaby pani tak samo, jak ja pani radzę. Powiedzieć prawdę...

Oczy Reny rozszerzyły się. Poczęła mrugać powiekami, jak człowiek oślepiiony nagłym blaskiem. Ze wszystkich słów komisarza, który wiadomość tak straszną dla dziewczyny wyrzucił jednym tchem, zapamiętała tylko krótki urywek *Matka pani umarła...*

— Co pan powiedział?

— Niestety, przypadł mi smutny obowiązek zawiadomienia pani o tym. Matka pani była chora. O tym pani wie. Musieliśmy wysłać posterunkowych i wywiadowców do pani mieszkania. Wiadomość o aresztowaniu pani wywarła na niej tak piorunujące wrażenie...

Rena nie odpowiedziała ani słowa, lecz opuściła głowę i oparła ją na stole. Zaczęła płakać cicho i boleśnie. Komisarza Mondszajna wzruszył ten cichy, szczery żal.

Na zarzucone papierami biurko padały gorące łzy Reny. Była zbyt zmaltretowana, by zareagować mocno na otrzymaną wiadomość. Po prostu do długiego łańcucha nieszczęść, jakie na nią spadały, przybyło jeszcze jedno ogniwo. Matka była daleką od niej istotą. Dawno przestały się rozumieć, dawno przestały być sobie bliskie. Nie łączyło ją nic z ową biedną, półobląkaną, pozbawioną wszelkiej etyki alkoholiczką. Jednakże była jej matką i Rena rozumiała, że poniosła bezpowrotną stratę.

Mondszajn spojrział na zgiętą postać dziewczyny, ruszył ramionami i podszedł do okna. Na podwórzu nie było nic ciekawego, toteż wrócił znowu do biurka. Dziewczyna płakała dalej.

Podszedł i delikatnie dotknął włosów dziewczyny.

— Niech się pani uspokoi. Trzeba pani teraz przecież więcej męstwa. Zupełnie dobrze pojmuję pani rozpacz.

Mówił do niej długo i perswadował jej, aż wreszcie podniosła głowę i otarła zaczerwienione oczy. Poczęła go pytać o szczegóły, troszczyć się o to, co stało się w domu, ale on znał sam fakt i nic więcej.

— Bardzo mi przykro — powiedział po raz nie wiadomo który — ale muszę powrócić do przesłuchania. Ustalę krótko: nie wierzymy pani. Ja osobiście jestem przekonany, że wczorajsze pani zeznania były kłamliwe od początku do końca. Niech się pani nie obawia, że cofnięciem swych zeznań obciążę pani Janusza Gardę. Fakty obciążają go już dostatecznie. Zabił w uniesieniu. Pani sama wie najlepiej, dlaczego zabił. Sąd na pewno będzie dla niego względny, a od wystąpienia pani w roli świadka będzie na rozprawie dużo zależało.

— Mnie już wszystko jedno.

— Nie powinno być pani wszystko jedno. Mam wrażenie, że pragnęłaby pani opuścić areszt jak najprędzej, szczególnie wobec tego nieszczęścia, jakie panią spotkało w domu. Powiem pani po prostu, sprawy tak się mają, że jeżeli nie dowiemy się od pani prawdy, będę musiał zatrzymać panią tutaj, Bóg wie jak długo. Jeżeli jednak rozmowa nasza wyda pożądane rezultaty, postaram się, by została pani jak najszybciej zwolniona.

— Nie wiem właściwie, czego chce pan ode mnie.

— Niech mi pani raczej odpowie, czy chce być pani na pogrzebie matki.

— Czy chcę?... — Łzy zaczęły znowu płynąć z jej oczu i toczyć się po policzkach.

— Niech więc pani cofnie swe kłamstwo. Doskonale się domyślam powodów, dla jakich pani oskarżyła samą siebie. Pani kocha tego Gardę?

— Tak... — odpowiedziała cicho.

— Nie musi się pani tego wstydzić. Gdy panią tam zastano, w mieszkaniu Szalskiego, zobaczyła pani papierośnicę pana Gardy pozostawioną na stole. Papierośnicę tę znaleziono potem pod sofą. To pani ją tam schowała, sądząc naiwnie, że policja jej nie znajdzie, lub też nie mając czasu na lepsze jej ukrycie. Wszak prawda, że się nie myłę?

— Tak było — potwierdziła z wahaniem.

— I nigdy nie była pani kochanką Szalskiego. Przyjaciółki takich panów jak Szalski nie mieszkają w najobszerniejszych dzielnicach miasta i nie zalegają ponadto z opłatą komornego. Nikt pani nigdy z Szalskim nie widział, natomiast widywano panią z Januszem Gardą. Nie była pani kochanką Szalskiego?...

Spojrzenia ich spotkały się i Rena spuściła oczy.

— Nie — odpowiedziała.

— Niech pani pamięta, że chcę panią zwolnić, by mogła pani urządzić pogrzeb matce. To zależy tylko od pani. Raz jeszcze podkreślam, że to nie będzie miało żadnego wpływu na sprawę Janusza Gardy. Winy jego jesteśmy pewni. Nawet ojciec jego, który był przy pani przesłuchaniu, wyszedł przekonany o winie syna.

— Ojciec Janusza?

Przypomniała sobie naraz, dlaczego postać ta wydała jej się znajoma, choć nie mogła przypomnieć sobie, w jakich okolicznościach widziała tego starszego mężczyznę. To był prokurator Garda. Przybył czuwać podczas śledztwa i wiedziała dobrze, że bardzo pragnął, by ona okazała się winną.

Komisarz policji pytał dalej:

— Po cóż, u licha, szła pani do tego mieszkania, skoro nic panią nie łączyło z zabitym? Jak pani znalazła się na miejscu zbrodni?

— Szalski chciał mnie zdobyć za wszelką cenę. Zmusił mnie do tych odwiedzin groźbą redukcji...

— Teraz rozumiem. Mam wrażenie, że doszliśmy do tego punktu, kiedy możemy zakończy rozmowę w cztery oczy. Wezwę urzędnika, który zaprotokołuje pan, zeznania.

Nie miała siły, by odmówić. Przeniknął w zupełności tajemnice jej zachowania, odgadł powody, które skłoniły ją do śmiałego kłamstwa i do obrzucenia siebie błotem, byle tylko ratować Janusza.

Zjawił się funkcjonariusz urzędu śledczego i poczęto spisywać drugie zeznanie Reny, zupełnie różne od poprzedniego.

Rena Łaska odwoływała swe kłamstwa. Podawała motywy, dla których wprowadziła w błąd władze śledcze. Nie ukrywała już teraz niczego. Opisała swą miłość do Janusza i nikkczemność Szalskiego, który nie cofał się przed niczym, by ją zmusić do uległości. Zeznała, dlaczego chciała ukryć przed młodym Gardą swą wizytę u Szalskiego. Nie opuściła żadnego z etapów, które doprowadziły do tragedii.

Gdy Rena przysłała do mieszkania Szalskiego zastała drzwi uchylone. W przedpokoju było ciemno. Zdezorientowana weszła do przedpokoju i skierowała się, tak samo jak listonosz, do jadalni, w której ujrzał ją Bażyk, gdy w chwilę po niej przyszedł z telegramem.

Na podłodze leżał trup Szalskiego. Na stole przewrócona butelka, zrujnowana zastawa i porozrzucane owoce. Rena, na widok ten uległa głębokiemu wstrząsowi nerwowemu.

Podbiegła do ciała. Pomiędzy stołem, a trupem Szalskiego leżał na podłodze rewolwer.

Ciągle działając, jakby w koszmarnym śnie, podniosła browning z ziemi.

Janusz kilkakrotnie pokazywał jej rewolwer. Podniosła browning, by przekonać się, czy ta broń nie należy do Janusza. Podniosła ją lewą ręką. Pamiętała to doskonale.

Przypomina sobie również, że w pierwszym odruchu przerażenia sięgnęła do głowy i zapewne wtedy przekrzywił się kapelusz. Trzymając ciągle w lewej ręce rewolwer, z którego padł strzał śmiertelny, przyklękła i jęła dotykać czoła Szalskiego w nadziei, że doszuka się w nim jeszcze iskierki życia. W tej właśnie pozycji zastał ją listonosz.

Gdy wróciła trochę do przytomności, pojęła jak trudne było jej położenie, ów listonosz zastał ją przecież klęczącą nad trupem, z rewolwerem w dłoni. Miała jednak nadzieję, że uda jej



się wykazać swą niewinność. Nurtowało ją tylko straszne przypuszczenie, że to zrobił młody Garda.

On – bo któżby inny? Widocznie dowiedział się o tym, że miała być u Szalskiego. Widocznie wdarł się do mieszkania swego rywala i położył go trupem w czasie kłótni. Rewolwer jednak nie był rewolwerem Janusza. Nadzieje związane początkowo z tym faktem zniweczył niespodziewanie widok papierośnicy leżącej na rogu stołu. Ta papierośnica była własnością Janusza. Zdołała ją ukryć, lecz nabrała niezbitą pewności, że młody Garda zabił. Dla ratowania kochanego człowieka postanowiła wyzyskać przemawiające przeciwko niej poszlaki i oskarżać siebie, by uchronić go przed odpowiedzialnością.

Tak brzmiały zeznania Reny i tak je zaprotokołowano.

Jedna jeszcze kwestia była nadal dla Mondszejna zupełnie niezrozumiała. Skoro porównał zeznania Reny z zeznaniami młodego Gardy i zestawiał to wszystko z anonimem, który przyszedł do mieszkania prokuratora rano w dniu zabójstwa, zrozumiał, że stoi przed nową zagadką. Anonim ten był spoidłem łączącym bieg wydarzeń. Bez niego nie byłoby zbrodni.

Był ktoś, komu zależało na tym, by Janusz Garda wiedział, iż owego fatalnego dnia Rena będzie u Szalskiego. Był ktoś, komu zależało na tym, by Janusz Garda wierzył, że dziewczynę łączą intymne stosunki z dyrektorem magazynu. Kim była ta kanalia?

Komisarz pokazał anonim Renie i zapytał, czy nie zna tego charakteru pisma? Nie знаła. Podpisała zeznania i wróciła do celi.

Mondszejn dotrzymał przyrzeczenia. Nazajutrz rano zwolniono ją.

Za bramą urzędu śledczego uśmiechnęła się do niej wolność blaskami jesiennego słońca. Ona jednak nie odczuwała takiego uśmiechu.

Słaniając się na nogach, przemykając się pod murami domów, jak gdyby była ścigana, szła rojnymi ulicami miasta, śpiesząc do domu, samotna i opuszczona, odarta za jednym zamachem z tego wszystkiego, co stanowiło treść jej życia.

---

<sup>(1)</sup> totumfacki (łac. *fac totum* = rób wszystko) – osoba zaufana, bez sprzeciwu wypełniająca czyjeś zlecenia.

<sup>(2)</sup> aneuryzm serca – tętniak; uwypuklenie ściany serca zmienionej bliznowato najczęściej w wyniku zawału.

## ROZDZIAŁ XXII

Na trzeci dzień po morderczym strzale, który położył kres życiu Artura Szalskiego, prokurator sądu okręgowego Tomasz Garda zjawił się z powrotem w swym gabinecie.

Dymisja jego nie była jeszcze rozpatrzona, polecono mu jednak, by do czasu rozstrzygnięcia jej pełnił nadal swe funkcje urzędowe.

Przyszedł bardziej spokojny, zamknięty w sobie i skupiony, niż zazwyczaj.

Woźni szeptali między sobą, że prokurator postarzał się przez te dwa dni, że włosy posiwiały mu zupełnie na skroniach, jednakże inni nie dostrzegali w nim zbyt wyraźnych zmian.

Unikano go jednak. Nie dlatego, by ktokolwiek chciał dać mu do zrozumienia, iż jest on ojcem zabójcy. Po prostu dlatego, że nie wiedziano, jak się wobec niego zachować.

Prokurator Garda odczuł natychmiast ten nastrój. Zrozumiał, że nie jest to nastrój wrogi, że jest to tylko nastrój zakłopotania.

Zachował nadal spokój, spokój sztuczny i kamienny, spokój, który umiał sobie nakazać.

Z tym niezmaconym spokojem załatwiał wszelkie sprawy bieżące, starając się cały wysiłek myśli skierować na pracę, postępując tak wobec swych współpracowników, jakby nic nie zaszło, jak gdyby to, co się stało, było jedynie prywatną sprawą Tomasza Gardy, nie mającą nic wspólnego ze sprawami pana prokuratora.

Tak upłynęło kilka godzin urzędowania i minęło południe.

Do gabinetu Gardy wszedł cicho woźny, trzymając w ręku kartkę z wypisanym nazwiskiem interesanta.

Zastał prokuratora siedzącego w zamyśleniu, z głową opartą na rękę.

— Panie prokuratorze, jakiś pan do pana prokuratora.

— Nie przyjmuję dziś nikogo.

— Powiedział, że wie o tym, ale że koniecznie musi się zobaczyć z panem prokuratorem.

Podobno jakaś osobista sprawa.

— Dał bilet?

— Zameldował się na kartce.

— Pokaż!

Na kartce widniało nazwisko *Niwiński*. Nazwisko to nic nie powiedziało prokuratorowi Gardzie.

Wahał się przez chwilę, aż wreszcie zwrócił kartkę woźnemu.

— Poproś tego pana.

Pochylił się nad aktami i natychmiast zapomniał o wydanym poleceniu. Oczy jego patrzyły na rządki maszynowego pisma, lecz to, co czytał, nie obchodziło go zupełnie i nie budziło w nim najmniejszego zainteresowania.

Usłyszał szelest i przypomniał sobie, że kazał wprowadzić tego jakiegoś Niwińskiego.

Objął spojrzeniem starego, przygarbionego mężczyznę, odzianego ubogo, lecz starannie. Nie wstał, nie poruszył się, powiedział tylko jedno słowo.

— Oskar!...

Ubogo ubrany człowiek uśmiechnął się życzliwie w odpowiedzi.

— Przepraszam cię, że ci przeszkadzam... Nie widzieliśmy się tyle lat... — wzruszenie, przed którym się bronił, rwało mu słowa na strzępy. — Tyle lat...

Prokurator wstał powoli, jakby jeszcze ciągle nie wierzył, że ma do czynienia z żywą istotą a nie ze zjawą. Jakby się w nim coś łamało. Wyciągnął nagle w milczeniu rękę do brata.

— Tyle lat... — powtórzył Oskar jeszcze raz, odpowiadając lekkim uściskiem dłoni.

— Proszę cię, siadaj. Nie będziesz przecież stał.

Oskar Garda usiadł przed biurkiem. Nie był onieśmielony, tylko wzruszony i starał się utrzymać pewną rezerwę, jak gdyby nie był jeszcze pewny, jak skończy się ta wizyta. Brwi drgały mu nerwowo.

— Zapisałem się na kartce meldunkowej naumyślnie zmyślonym nazwiskiem. Nie chciałem, by wiadano, że to ja przyszedłem tu do ciebie. Po co ci to? Może byłbyś z tego niezadowolony. Zajmujesz odpowiedzialne stanowisko, a ja... Ja zupełnie rozumiem, że moja wizyta mogła być dla ciebie krępująca i dlatego na kartce napisałem pierwsze lepsze nazwisko, jakie mi przyszło do głowy. Przyznaj szczerze, nie jesteś zbyt zadowolony z mojej wizyty?

— Ale skądże znowu. Przeciwnie, bardzo dobrze zrobiłeś, żeś przyszedł. Mogłeś to uczynić wcześniej — rzekł prokurator.

— Jak się tylko dowiedziałem o tym nieszczęściu, które na ciebie spadło, wyobraziłem sobie, że musi ci być bardzo źle. Wiem, jak odwracają się wszyscy od człowieka w podobnych sytuacjach. Musisz się czuć ogromnie samotny. Ty zresztą zawsze byłeś samotny w życiu, jak i ja, tylko na trochę inny sposób.

Prokurator słuchał w milczeniu. Oskar przechylił się przez biurko, oparł na rękę i mówił dalej:

— Tylko dlatego mogłem przyjść do ciebie. Gdy stałeś na szczytach powodzenia, nie byłbym miłym gościem. O, nie próbuj mi zaprzeczać! — dodał szybko, widząc przeczący gest brata. — My wszyscy się okłamujemy, każdy w swej dziedzinie. Teraz jednak przyszedłem, bo pomyślałem sobie, że możesz mnie potrzebować.

Urwał i nastąpiła długa chwila milczenia. Oskar opadł z powrotem na krzesło i jak gdyby zgasł nagle.

Prokurator daremnie szukał słów odpowiedzi. Nie mógł ich znaleźć. Z tym wynędzniałym, starym, zniszczonym człowiekiem, z którym jeszcze wczoraj nie łączyło go nic poza nazwiskiem, weszła do cichego gabinetu prokuratora jego młodość i przyniosła wizję przeszłości.

Od lat myślał o bracie z najdoskonalszą obojętnością. Może nawet nie zastanawiał się, że zrobił mu wtedy krzywdę, gdy nie próbował nawet troszczyć się o niego w czasie najcięższych chwil, jakie może człowiek przejść w życiu. Chodziło mu przecież o to, by nawet cień nie stanął mu na drodze obranej kariery.

Dopiero teraz... Dopiero teraz, gdy patrzył na Oskara, który przyszedł do niego pod obcym nazwiskiem w obawie, by go nie kompromitować swą osobą, poczynął rozumieć, że wówczas postąpił niegodnie. Oskar stanął przed nim, jak żywy wyrzut sumienia. W trzeźwym umyśle prokuratora po raz pierwszy zrodziła się myśl. Że w życiu nic nie bywa darowane i nic nie pozostaje bez konsekwencji, że nieszczęście, które spadło na

Janusza i które jego samego dotknęło swym czarnym skrzydłem, było naturalną odplątą losu, który dba, by nic nie pozostało niezapłacone, by każda krzywda miała swą zapłatę.

Stary Garda dziwił się od dwu dni. Dziwił się nieustannie, że w ciągu godzin można zrozumieć i pojąć znacznie więcej głębokich prawd, niż w ciągu całego życia. Zrozumiał, że przez całe swoje życie nie uczynił dla nikogo nic dobrego. Nie był dobrym bratem Oskara, nie był dobrym ojcem Janusza. Był zawsze człowiekiem egoizmu, zawsze szedł za fikcją, której służył, zawsze

zapatrzony był w swą wielkość, a przecież takich jak on wielkości tyle było na świecie. Nie był nigdy człowiekiem serca. Nie miał prawa żądać teraz serca od ludzi, gdy odwróciła się karta szczęścia.

A jednak Oskar przyszedł! On właśnie, który mógł zupełnie nie przyjść, któremu w gruncie rzeczy mogło to być zupełnie obojętne. Przyszedł właśnie on! Zdeklasowany, zdemoralizowany nędzą, głodem, złamany tępą obojętnością ludzi, u których daremnie szukał pomocy, usunięty po prostu poza nawias

społeczeństwa, dlatego że, jak słusznie powiedział, nie w mocy ludzkiej było wyjaśnienie tragicznej zagadki jego życia.

Sekundy biegly, a prokurator Garda nie mógł się zdobyć na odpowiedź. Czuł palący wstyd wypływający ze świadomości, że dopiero teraz dostrzegł swą małość, czuł tę szczególną gorzyc człowieka, któremu w ciężkiej chwili podaje właśnie rękę istota odepchnięta i nisko ceniona.

Usłyszał znowu głos Oskara, tym razem zupełnie inny, taki zapewne, jakim musiał mówić do Janusza, kiedy prosił go o pożyczanie pieniędzy.

— Czy nie mógłbyś dać mi papierosa? Nie paliłem od rana. Umiem się obchodzić bez śniadania, ale palić muszę.

Ocknął się i spojrzał na brata. Rysy twarzy Oskara wyrażały zawstydzienie i pokorną prośbę.

— Bierz, ile chcesz! — podsunął mu pełną papierośnicę. — A może wolisz cygara? — sięgnął do szuflady biurka.

— Nie, nie. Wezmę raczej papierosa.

Mówił *papierosa*, ale wziął trzy, rozejrzał się nieśmiało i schował dwa do kieszonki marynarki.

Tomasz Garda odczuł nową przykrość. To był człowiek z zupełnie innego świata. On w ciągu całego swego życia nie pomyślał o tym, że mogłoby mu kiedykolwiek zabraknąć pieniędzy na papierosa i że papieros ten mógłby być skarbem bezcennym.

— Bardzo dobrze zrobiłeś, przychodząc — rzekł znowu znacznie cieplejszym tonem. — Aresztowanie Janusza to był dla mnie cios... To jest straszne!... Straszne... — dokończył ciszej. — Dopiero teraz zaczynam rozumieć to, co ty przeżyłeś.

Były aktor zaciągnął się papierosem, po czym wyjął go z ust i odczytał na ustniku nazwę gatunku. Papieros był dobry.

— Przykro mi, że spotykasz się teraz z tym, z czym ja się spotkałem. Pomyśl, że byłem przecież utalentowanym śpiewakiem. Miałem otwartą drogę do zagranicznych oper. Na wszystkie wielkie sceny świata. Miałem oklaski, kwiaty, kobiety narzucały mi się swymi wyznaniem. I naraz skończyło się wszystko.

W oczach jego pojawił się dziwny blask. Wstał podniecony i wyprostował się.

— Żebyś ty wiedział, ile lat straciłem na zabiegach, by dostać się z powrotem na scenę. Utworzyło się w mojej sprawie sprzysiężenie milczenia. Z początku bano się, że publiczność zareaguje, gdy nazwisko moje pokaże się na afiszach. Potem stało się dla nich bardzo wygodne, że Garda zniknął, że go już nie ma. Miałem tylu zawistnych, którzy zazdrościli mi głosu.

Tomasz Garda patrzył zdziwiony na brata. Ten człowiek przyszedł, by okazać mu współczucie, by mówić z nim o Januszu, którego nieszczęście miało być dla nich obu pomostem pojednania. Tymczasem Oskar mówił o czymś zupełnie innym.

Zmienił się też niesłychanie. Jak gdyby odmłodził, jak gdyby w tym przygasłym starcu zbudził się nagle pełen energii mężczyzna.

— Sprzysięgli się wszyscy na mnie! — mówił świszczącym nieco głosem, gestykulując

żywo. — Zatrzaśnięto przede mną wszystkie drzwi. Mają zawsze jakąś wymówkę, by mnie spławić, by odroczyć termin, by się wykreścić. Naturalnie, nie mam już takiego głosu jak przed laty. Czas robi swoje. Piłem też trochę z rozpaczy, a to dobrze nie wpływa na gardło. Ale mimo to boją się mnie i znajdują wciąż nowe sposoby, by mi zamknąć drogę za kulisy. Ale ja się przebiję i przyjdzie jeszcze dzień, w którym pokażę Warszawie, że Garda nie umarł, że potrafi jeszcze olśnić salę. Wiesz, ćwiczę się codziennie. Zachowałem dotąd strój Mefistofelesa<sup>(1)</sup>! Był czas kiedy wyprzedawałem wszystko, ale tego kostiumu nie oddałbym nigdy handlarzowi starzyzną. Poczekaj, niech mi się tylko uda! Gdy znajdę się na scenie i zaśpiewam w drugim akcie tę pieśń o Złotym Cielcu, opera będzie się trzęsła od oklasków. Gdybym mógł dożyć tej chwili! Tomasz, czy mógłbyś mi to ułatwić?...

Prokurator przypomniał sobie, iż syn opowiadał mu kiedyś o manii Oskara ogarniętego jedną myślą powrotu na scenę, co miały mu rzekomo utrudniać intrygi. Skinął potakująco głową.

— Zrobię bardzo chętnie, co tylko będę mógł.

Były aktor zgasł znowu. Wyczerpał w słowach cały zasób energii.

— Po co ja ci to mówię! — rzekł niechętnie. — Zabieram ci czas, którego zapewne masz niewiele. Przyszedłem tu przecież, by pomówić z tobą o Januszu. I nie tylko o nim. To bardzo dobry chłopak, pomagał mi, zawsze okazywał mi serce. Ty może nie rozumiesz, że pożyczaniem dwu złotych można czasem okazać człowiekowi więcej serca, niż tysiącem deklamacji o przyjaźni. Słuchaj, jak stoi sprawa tego chłopca?

Tomasz Garda rozłożył ręce.

— Cóż ja mogę ci powiedzieć? Jako ojciec nie wierzę w jego winę, ale jako prokurator... — odwrócił oczy i patrzył w kąt pokoju. — Sądzę, że jest winien — wyszeptał wreszcie. — Dał się ponieść namiętnościom i zabił. Wszystko przez tę dziewczynę.

— Widziałeś go?

— Po aresztowaniu nie. Rozumiesz, że na moim stanowisku muszę działać ostrożnie i unikać wszelkich pozorów. Podąłem się do dymisji, ale polecono mi urzędować dalej.

— Ja wiem o tym tylko to, co czytałem w gazetach. No, i jeszcze trochę więcej. Nie zgadłbyś od kogo. Od Reny Laskiej.

— Znasz ją? Jaką straszną krzywdę wyrządziła nam ta dziewczyna!

Oskar Garda nie od razu odpowiedział. Ważył coś w myśli.

— To ty wyrządziłeś jej krzywdę i nie wiesz nawet jak wielką — rzekł wreszcie, podchodząc do biurka i stając przed bratem. — Dziwnie czasem układają się w życiu. Mieszkam właśnie w tym domu, w którym mieszkała Łaska z matką. To istna mordownia... Rena pytała mnie kiedyś o Janusza. Pytała, czy nie jesteśmy spokrewnieni. Naturalnie zaprzeczyłem. Po co miała o tym wiedzieć? Ale ona nigdy nie była przyjaciółką Szalskiego i zdaje się kocha twego chłopca do szaleństwa. Biedna, uczciwa dziewczyna. Tam bieda aż piszczala, a stara Łaska przepijała zarobione przez nią grosze. Tak jak ty nie jesteś winien, że twój syn znalazł się w kolizji z prawem, tak Rena nie była winna, że miała matkę pijaczkę. Jeżeli jednak kto jest winien temu, co się stało, to w pewnej mierze ty, Tomasz, ponieważ chciałeś ich rozłączyć za wszelką cenę. Ale nie o to teraz chodzi. Trzeba naprawić wszystko zło, które się stało. Ty musisz się przekonać do niej i zająć się nią. Jesteśmy chyba pewni, że Janusz myśli teraz tylko o niej. Jakkolwiek potoczą się sprawy, będzie mu lżej.

Prokurator skinął głową:

— Ja wiem już teraz, że się myliłem. Pokazywano mi jej drugie zeznanie. Ona nawet oskarżała siebie, by bronić Janusza. Ale ja teraz nie mogę, ani nie chcę jej widzieć. Nie mogę się oprzeć myśli, że gdyby nie weszła w życie Janusza, nie byłoby się stało to wszystko.

— Może się gniewasz, że mówię tak do ciebie, ale kto przeszedł tyle, co ja, umie patrzeć

na te rzeczy. Ty wiesz, że matka jej umarła? Podczas rewizji. Szukali tam jakichś listów których nigdy nie było. Nie bardzo jest ją za co pochować.

— Załatwię to.

Oskar Garda uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd wszedł do gabinetu prokuratora.

— Wiedziałem, że to powiesz. Czas na mnie. Pójdę już, Tomaszu...

— Przypuszczam, że teraz będziemy widywać się częściej.

— Nie chciałbym ci przeszkadzać.

— Cóż znowu! Wiesz, przyjdź dziś wieczór na kolację. Musimy przecież pomyśleć i o tobie. Przygotuję ci wtedy te pieniądze... dla Reny Łaskiej.

— Nie mogę powiedzieć jej, że to od ciebie, boby ich nie wzięła. Powiem, że gdzieś pożyczyłem.

— Mieszkasz tam jeszcze na *Piekietku*?

— Tak! Na czwartaku.

Tomasz Garda spuścił oczy.

— Może przeprowadziłbyś się do mnie?... Pokój Janusza jest wolny... — dodał bardzo cicho, głosem, który się załamał.

— Nie! Dziękuję ci. Zostanę na moich śmieciach. Chociażby po to, by zająć się tą dziewczyną. Żebyś ty ją teraz widział...

— Jak wolisz! Przyjdź więc wieczorem. O siódmej.

— Przyjdę.

Prokurator odprowadził go do drzwi. Gdy zamknął je, rozejrzał się po gabinecie, który wydał mu się mniej ponury niż przed godziną. Czuł się silniejszy i jakby pokrzepiony. Powiedział sobie, że należy robić wszystko, by ratować Janusza.

Podszedł do telefonu i połączył się z urzędem śledczym. Prosił, by przysłano mu wywiadowcę Karcza. Miał do niego pilny interes.

---

<sup>(1)</sup> Mefistofeles – upadły anioł. Tu: szatan z opery Charles’a Gounoda według pierwszej części *Fausta* J. W. Goethego. Mefisto śpiewa w tej operze pieśń o Złotym Cielcu.

## ROZDZIAŁ XXIII

W aktach śledczych sprawa Janusza Gardy nosiła kolejny numer 777.

Tydzień już upłynął od aresztowania syna prokuratora, który dobrowolnie przyznał się do zamordowania Szalskiego.

Dzienniki, które w pierwszych dniach poświęcały zabójstwu Szalskiego obszerne artykuły, zamilkły teraz na ten temat, śledztwo szybko zmierzało do zakończenia, przysły poza tym inne zdarzenia, bardziej aktualne, a śmierć dyrektora *Domu Towarowego A. Szalski i S-ka* zdawała się być wyjaśnioną w sposób zupełnie dostateczny.

Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że zabił nie kto inny jak Janusz Garda. W sądzie tym mieszkańcy Warszawy nie różnili się nawet na jotę od przekonania, jakie w tej mierze żywiły władze śledcze. Obok przyznania się do winy, miano w ręku szereg poszlak wystarczających w zupełności, by każdy prokurator uzyskał od trybunału skazujący wyrok. Prasa nie miała po prostu o czym pisać. Doniesiono jeszcze tylko, że obrony Janusza Gardy podjął się mecenas Saski, ten sam, u którego młody Garda odbywał praktykę adwokacką.

Życie płata często koszmarnie figle, toteż zaledwie w kilka dni po zabójstwie Szalskiego, nazwisko Saskiego ukazało się w prasie z innych jeszcze przyczyn. Syna adwokata aresztowano pod zarzutem zdefraudowania znacznej kwoty z kasy jednego z banków warszawskich. Przeprowadzona kontrola wykryła niedobór, sięgający dwudziestu kilku tysięcy złotych. Odpowiedzialnością obarczono młodego Saskiego. Lekkomysłny młodzieniec został aresztowany ku bezgranicznej rozpaczycy ojca.

Ratunek był już tak bliski. Hufnagel obiecał już nawet staremu Saskiemu dostarczenie dwudziestu tysięcy złotych, które, dodane do oszczędności adwokata, mogły pokryć sprzeniewierzoną sumę.

Tymczasem, zupełnie niespodziewanie, lichwiarz, nie motywując niczym swego postępowania, odmówił Saskiemu pieniędzy w tym właśnie dniu, w którym miał je dostarczyć. Twierdził, iż znalazł się w takim położeniu, że nie może dysponować ani groszem. Saski próbował wpłynąć na jego decyzję. Nic nie pomogło, Żyd powiedział, że pieniędzy nie da, nie dlatego, by nie chciał, lecz dlatego, że nie może.

I nie dał, a zanim adwokat Saski zdołał zdobyć potrzebną kwotę z innego źródła, przyszła kontrola w banku i syn jego był zgubiony.

Mecenas Saski, mimo swego osobistego nieszczęścia, zajął się gorąco sprawą Janusza i uzyskał z nim widzenie, gdy tylko zezwoliły na to władze śledcze. Janusz Garda podpisał pełnomocnictwo powierzające mu obronę. Potem zaczął pytać o Renę. Saski był uprzedzony przez prokuratora, że aresztowany będzie pytał o dziewczynę. Starał się poinformować Janusza jak najbardziej wyczerpująco.

Opowiedział mu o odwołaniu przez Renę poprzednich zeznań, o ofierze, jaką uczyniła dla niego, przyznając się do niepopelnionej winy. Janusz po raz pierwszy od chwili aresztowania utracił swój spokój i był wzruszony do łez. A gdy Saski wyjaśnił mu, jakie przyczyny skłoniły Renę do zjawienia się owego fatalnego wieczoru w mieszkaniu Szalskiego, gdy zapewnił go, iż stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że anonim był fałszywy i że Rena nigdy nie była

kochanką dyrektora magazynu – młody człowiek czuł się szczęśliwy i prawie zapomniał o grozie więziennych murów i o przyszłości, która przedstawiała się ponuro.

Żegnając Saskiego, prosił, by ojciec zobaczył się z nim jak najprędzej. Chciał z nim pomówić, i to bez świadków.

I stało się, że w sprawie zamordowania Artura Szalskiego wynikły nowe sensacje, w czasie kiedy najmniej spodziewano się tego.

Prokurator Garda, po chwilowej apatii nie załamał się. Widział się z wywiadowcą Karczem i rozmawiał z nim długo i poufale.

Raz jeszcze przekonał się, że wywiadowca Karcz był otwartą głową. Omówili wszystkie ciemne i niejasne punkty śledztwa, szukali argumentów, jakie się tylko dało znaleźć za niewinnością Janusza. Karcz, który znał Gardę i któremu prokurator oddał kiedyś jakąś błahą przysługę, obiecał dołożyć wszelkich starań, by wnieść do sprawy nowe momenty, mogące pchnąć śledztwo na zupełnie inne tory. Garda obiecał mu poważną nagrodę pieniężną.

Tymczasem jednak Karcz nie dawał znaku życia, widocznie natrafił w swych usiłowaniach na trudności nie do przezwyciężenia. Prokurator Garda wahał się pomiędzy porywami nadziei a zupełną rezygnacją.

W takim nastroju rezygnacji znajdował się, gdy mecenas Saski zakomunikował mu życzenie Janusza. Władze przełożone nie miały nic przeciwko widzeniu się prokuratora z synem. Rozmowa ojca z Januszem trwała nadspodziewanie krótko. Prokurator Garda opuścił areszt śledczy wzruszony w najwyższym stopniu. Po prostu drżał cały.

Na drugi dzień Janusz Garda, idąc za radą daną mu przez ojca, zażądał rozmowy z sędzią śledczym. Gdy zjawił się przed doktorem Koberem, odwołał swe poprzednie zeznania, stwierdzając, że podał się za zabójcę Szalskiego jedynie dlatego, by ochronić Renę Łaską.

Gdy dowiedział się o zatrzymaniu jej na miejscu zbrodni, był przekonany, że zabiła ona Szalskiego. Postanowił ją bronić, a jedyną obronę widział we wzięciu na siebie winy i zmyleniu śledztwa.

W obliczu niebezpieczeństwa, jakie jej groziło, zapomniał o tym, czy należała ona do Szalskiego, czy też nie, natomiast zrozumiał, że jest mu bardzo droga i że nie ma ofiary, jakiej by nie poniósł, by ją ratować.

Teraz jednak, gdy fakty zrehabilitowały Renę Łaską, gdy nie mogło już jej grozić żadne niebezpieczeństwo – młody Garda nie miał żadnych powodów, by trwać przy swym samooskarżeniu. Dlatego odwoływał i cofał swe zeznania.

Był wprawdzie krytycznego wieczoru w mieszkaniu Szalskiego. Mówili ze sobą tonem złym i gniewnym. Dziwne by było, gdyby rozmawiali inaczej! Jednakże od kłótni i ostrej wymiany zdań do morderstwa jest daleka droga. Była nawet chwila – po odebraniu telefonu od Reny – kiedy chciał rzucić się na Szalskiego, jednakże oprzytomniał i opamiętał się w porę. Opanował rozpacz i wściekłość, które w nim szalały, i na żądanie Szalskiego opuścił mieszkanie.

A jak było z drzwiami? Drzwi zamknął za nim Szalski. No, dobrze, dlaczego jednak twierdził, że zabił Szalskiego z jego własnego rewolweru? Przyszło mu na myśl, że tak być mogło, gdy pytano go o to w śledztwie. Powiedział o tym na chybił-trafił i zdarzyło się, że istotnie Szalski zginął od kuli z własnego browninga. — Niezwykła intuicja! — ironizował sędzia śledczy. Można by młodego Gardę podejrzewać o jasnowidzenie. A jak to było ze stołem? Gdy wychodził, na stole nic nie było ruszone. Nie bili się przecież. Musiał być ktoś trzeci, kto zabił Szalskiego. Kto taki? Janusz o tym nie miał pojęcia.

Doktor Kober w ciągu dwóch godzin zamęczał go pytaniami. Udręczył Janusza, ale i jemu samemu pot wystąpił na czoło. Kazał wreszcie Januszowi podpisać zeznanie i odesłał go do celi.



Nie posiadał się ze złości. Był starym sądowym wyjadaczem i prowadził dochodzenia w niejednej sprawie, jednakże nie widział czegoś podobnego. Najpierw dwoje ludzi przyznaje się do winy z całą gorliwością; jedno, by bronić drugie. Oskarżają się po prostu na wyścigi. Potem oboje cofają swe zeznania i wypierają się wszelkiej winy. Najpierw ma się w ręku nadmiar przestępców, potem nie ma się żadnego.

Z zeznaniami Janusza nie przedstawiała się jednak sprawa tak prosto. Odwołanie zeznań przez Renę było umotywowane informacjami, jakie o niej zebrano w magazynie, oraz wywiadem przeprowadzonym w domu. Już sama niezręczność jej zeznań, które nie trzymały się razem i przeczyły jedne drugim, przemawiała za tym, że Łaska oskarża się fałszywie.

Z Januszem było inaczej. Odwołał wprawdzie teraz swe zeznania, niewątpliwie na skutek rozmów przeprowadzonych z ojcem i obrońcą, jednakże nie obalało to tych poszlak, jakie istniały przeciwko niemu.

Sprawa była jednak zbyt delikatnej natury, już chociażby ze względu na prokuratora Gardę. Począł też zaraz pracować telefon i doktor Kober zaprosił na naradę podprokuratora Gniewosza i komisarza Mondszejna.

Przechodzono punkt po punkcie cały materiał śledczy. Rzadko kiedy pracowano tak sumiennie, jak tym razem. Gdy jednak praca ta została ukończona, wszyscy trzej ruszyli ramionami i powzięli zgodną decyzję.

Cofnięcie przez Janusza zeznań nie mogło żadną miarą wpłynąć na zmianę faktycznego stanu rzeczy i na dalszy bieg sprawy. Janusza obciążało zeznanie dozorca domu. On sam zresztą nie przeczył ani przez chwilę, że był w mieszkaniu Szalskiego. Zaprzeczenie takie byłoby śmieszne wobec znalezienia na miejscu zbrodni jego papierośnicy. Zaprzeczał tylko, jakoby zabił Szalskiego. Twierdził, że gdy wychodził, Szalski był zdrow i cały. Ale było to tylko gołosłowne twierdzenie.

Jeżeli sądził, odwołując swe zeznania, że uwierzą mu, to pomylił się strasznie. Jeżeli istotnie nie zabił, to znalazł się w potwornej kolizji. Gdyby uniesiony szlachetnością nie pośpieszył Renie z pomocą, być może udałoby mu się umknąć swego losu, chociaż pozostawienie papierośnicy zdawało się i tak przesądzać sprawę na jego niekorzyść.

Janusz Garda nie był w stanie udowodnić, iż był u Szalskiego, a jednak go nie zabił.

Prokurator Garda oraz mecenas Saski z niecierpliwością oczekiwali, jakie rezultaty wyda krok Janusza. Obaj byli przeświadczeni, że młody człowiek powiedział prawdę. Nie on zabił i mordercy Szalskiego należało szukać gdzie indziej.

Zdenerwowanie ich wzrastało z godziny na godzinę, aż wreszcie przyszło rozczarowanie tym większe, im więcej żywiono nadziei. Odwołanie zeznań przez Janusza zostało w zupełności zbagatelizowane. Nie mogło się ostać wobec nawału poszlak.

Adwokat Saski załamał ręce w poczuciu swej bezradności.

Sytuacja była tragiczna. Janusz Garda znalazł się w pułapce, jaką bezwiednie sam na siebie zastawił.

Prokurator Garda zrobił teraz to, do czego zapewne jeszcze niedawno nie byłby zdolny. Wsiadł do taksówki i udał się do Mondszejna. Zamknęli się w gabinecie komisarza i rozmawiali z sobą przez całą godzinę. Mondszejn nie bawił się w wyraźne współczucie prokuratorowi, nie składał wyrazów ubolewania, lecz odniósł się do wizyty tak, jak przystało na komisarza policji. Argumentom starego Gardy przeciwstawił swoje.

— Pański syn oddał sobie i nam najgorszą przysługę — mówił do prokuratora po cierpliwym wysłuchaniu go. — Przez przyznanie się do winy, której, jak teraz twierdzi, nie popełnił, zwrócił całą uwagę policji na swoją osobę. Ułatwił nam zadanie w sposób fatalny. Trzeba wziąć pod uwagę, że od morderstwa upłynęło już blisko dziesięć dni. Usiłowania nasze

szły w kierunku zebrania dowodów przeciwko panu synowi, panie prokuratorze, i wszelkie inne hipotezy zostały zaniedbane.

— Można do nich wrócić.

Mondszejn się skrzywił.

— Można... Zapewne, że można. Ale te rzeczy inaczej wyglądają na gorąco, a inaczej po tak długim okresie czasu. Jeżeli były jakieś ślady, są one już dawno zatarte.

Garda podniósł umęczoną głowę.

— Jednym słowem, panie komisarzu, odmawia mi pan swej pomocy?

— Nic podobnego! — zaprzeczył żywo. — Nie widzę tylko, gdzie można by zrobić wyłom w owym murze poszlak, o którym mówiłem. Niech mi pan da najdrobniejszy ślad, najniklejszą poszlakę, a stanę na głowie, by wydobyć przy jej pomocy prawdę... Ale tak, jak sprawy teraz stoją...

Prokurator sięgnął po kapelusz.

— Być może, że Karcz coś znajdzie...

— W żadnym wypadku nie będę mu przeszkadzał. Jeżeli jest nadzieja, że coś wygrzebie – niech działa.

Tomasz Garda wracał do domu piechotą, o jesiennym zmroku, który szybko otulał ulice miasta. Wraz z zapadającą nocą pojawiła się mgła, która gęstniała szybko. światła latarń i reklam neonowych były okryte jej całunem. Prokurator czuł się osamotniony jak nigdy dotąd w życiu.

Gdy ocknął się z myśli, które wracały uporczywie do osoby syna, ujrzał, iż stoi na niewielkim placyku, na którym znajdował się skwer. Wzrok jego padł na latarkę wiszącą u bramy najbliższego domu i prokurator Garda uczył dreszcz. Znał dobrze ten adres. Miał czas nauczyć się go na pamięć.

Stał przed domem, w którym mieszkał Artur Szalski. Przez chwilę, jak gdyby urzeczony, wpatrywał się w mdłe światło latarki tłumione szybko gęstniejącą mgłą. Potem odstąpił na kilka kroków i odszukał wzrokiem okna mieszkania Szalskiego. Nietrudno było je odszukać. Front kamienicy bił światłem ze wszystkich okien. Jedynie cztery okna na drugim piętrze stanowiły ciemny pas. To były właśnie okna mieszkania, w którym rozpoczęła się tragedia jego i jego syna.

Prokurator odwrócił oczy od okien, które ciemnymi oczodołami patrzyły na ulicę. Ruszył naprzód jeszcze bardziej zgarbiony, jak gdyby na barkach swoich niósł brzemień, które tłoczyło go do ziemi i było ponad jego siły.

W domu czekała go niespodzianka w osobie wywiadowcy Karcza.

Karcz począł się przed nim tłumaczyć, że przyszedł naumyślnie do domu, nie chcąc pokazywać się zbyt często w prokuraturze. Garda przerwał mu niecierpliwie, pytając, czy przynosi mu dobre wiadomości.

Czekał chciwie odpowiedzi, wywiadowca jednak zrobił znak przeczenia.

— Jak już mówiłem, panie prokuratorze, to będzie ciężka sprawa.

— To znaczy, że nie posunął jej pan dotąd ani o krok naprzód?

— Czepiam się wszystkiego, czego można się tylko czepić. Myśli człowiek o różnych rzeczach. Może pan prokurator będzie się śmiał ze mnie, ale jak tak sobie siadłem onegdaj przy piwie i zacząłem myśleć o tej sprawie, to doszedłem do dziwnych wniosków.

— Niech pan mówi. Słucham z najwyższą uwagą.

— Pan komisarz Mondszejn i pan sędzia śledczy ustalili z całą dokładnością czas, w jakim Szalski mógł zostać zabity. Mówiłem i ja z dozorczą, a potem byłem na poczcie u Bażyka. Czas się zgadza. Szalski mógł zostać zamordowany tylko między godziną ósmą piętnaście a ósmą trzydzieści pięć. To był czas, w którym dozorca siedział w swej dyżurce i nie wiedział o bożym świecie.

W tym czasie był u Szalskiego syn pana prokuratora i zdołała przyjść panna Łaska. Właściwy więc czas zbrodni zmniejszyłem sobie do minut dziesięciu.

Karcz wyjął notesik upstrzony notatkami i sprawdzał jakieś zapiski.

— Tak! Z mego obliczenia wypada, że to nie mogło wydarzyć się w dłuższym okresie czasu. Wobec tego doszedłem do wniosku, że w ciągu tych dziesięciu minut mógł dokonać zbrodni na osobie pana Szalskiego jedynie człowiek, znający doskonale zarówno jego jak i rozkład mieszkania. Naturalnie, przyjmuję, że gdy młody pan Garda wychodził – Szalski był zdrów i cały.

— To bardzo trafne! — przytaknął podniecony pan Tomasz.

— Na tym jednak kończy się mój sukces. — Wywiadowca schował notes do kieszeni. — Bo teraz chodziłoby o ustalenie, dlaczego zabito Szalskiego? Mówił mi komisarz Mondszajn, że Łaska zeznawała, iż przysłała przypadkowo do mieszkania, że Szalski czekał wtedy na jakąś inną kobietę. Ale to była bujda, której się potem sama wyparła. Wiem już, jak to było. Szalski był kat na dziewczęta i wszelkimi sposobami zmuszał je do uległości. Myślałem już o wszystkim, i o zemście, i o rabunku, ale o zemście nic nie wiemy, a nic nie wskazywało na to, by to był mord rabunkowy. Z mieszkania nic nie zginęło. Przynajmniej nie wiemy, że coś zginęło. Największą męką jest to, że istnieje na pewno jakiś drobny szczegół, który doprowadziłby mnie do wyjaśnienia zagadki, a ja nie znam tego szczegółu.

Garda słuchał wymownego agenta, lecz myślał tylko o jego trafnym spostrzeżeniu, iż zbrodni w tak krótkim okresie czasu mógł dokonać jedynie człowiek obeznany doskonale z mieszkaniem zabitego.

— Kto by to mógł być? — mruczał do siebie, po czym zwrócił się żywo do wywiadowcy. — Czy nie przyszło panu do głowy panie Karcz, że osobnikiem, znającym najlepiej mieszkanie i tryb życia Szalskiego mógł być jego służący.

Wywiadowca potwierdził.

— O nim pierwszym myślałem! Pan prokurator zapewne wie, że był on przesłuchiwany bardzo skrupulatnie i nie padł na niego nawet cień podejrzenia. Mam o nim dokładne informacje.

Sięgnął znowu do kieszeni po swój nieśmiertelny notes, na którego marginesie umieszczone były litery alfabetu. Otworzył go, przewrócił kilka kartek i odczytał:

— Feliks Dereń, lat trzydzieści pięć. U Szalskiego służył od lat trzech. Poprzednio był w szeregu domów arystokratycznych. Przed objęciem służby u Szalskiego był lokajem u hrabiego Lityńskiego. Wszędzie bardzo dobre świadectwa.

Schował notes po raz drugi.

— To wszystko, co o nim wiem, poza tym, że krytycznego wieczoru został zwolniony przez Szalskiego, o czym rozmawiał z dozorcą domu. Był owego wieczoru w kinie z pewną dziewczyną, z którą łączy go, zdaje się, bliższe stosunki. Widziałem sam odcinki biletów. Był ogromnie przerażony tym, co się stało. Wrócił do domu około dwunastej.

— Przedstawienia w kinach zaczynają się o ósmej i o dziesiątej. Ostatni program kończy się nie wcześniej jak o dwunastej.

— Zupełnie słusznie, panie prokuratorze, ale on widocznie nie był w kinie od początku programu, lecz wszedł w czasie wyświetlania filmu. Na ósmą bowiem nie byłby zdążył, a musiał wyjść z kinoteatru przed dwunastą, bo nie było jeszcze północy, gdy wrócił.

— Jednym słowem, wyłącza pan służącego.

— Szukałem w jego zeznaniach dziury w całym, lecz nie sposób go podejrzewać.

— Pozostajemy więc w ciemności, tak jak byliśmy dotąd.

Karcz zabierał się do odejścia.

— Cierpliwości, panie prokuratorze. Jak już powiedziałem, rozglądam się dopiero we

wszystkim. Za kilka dni przyjdę znowu, może wtedy będę mógł przynieść jakąś dobrą nowinę.

Prokurator wyprowadził go do przedpokoju i pożegnał z rzadką u niego serdecznością. Ten człowiek mógł przynieść mu wolność Janusza.

Gdy jednak wrócił do pokoju i zastanowił się na chłodno, doszedł do przekonania, że nie zmieniło się właściwie nic. Wyniki badań Karcza były, jak dotąd, żadne.

W mieszkaniu było cicho i ponuro. Pokój syna pozostawał nadal pusty, a wielki stary zegar, jak zwykle, odliczał monotonnie sekundy i minuty.

Te same sekundy i minuty przeżywał Janusz Garda w murach aresztu śledczego.

## ROZDZIAŁ XXIV

Rozczarowanie było straszne.

Idąc za podszeptami Szalskiego i pisząc do prokuratora Gardy list anonimowy, który stał się przyczyną tragedii tak wielu osób, Kazia Wnukówna dała się zwyciężyć złym stronom swej natury. Od zarania dzieciństwa, stykając się z biedą i nędzą, wśród niej wyrosła i wychowana, nauczyła się zdobywać wszystko w życiu bez kompromisów i bez liczenia się z innymi. Pozostać całe życie ekspedientką i zestarzeć się w czasie szarych dni spędzonych za ladą sklepową to była myśl, której obawiała się ponad wszystko, to był lęk, z którym często budziła się i często zasypiała. Trwoga przed zmarnowaniem życia dyktowała jej chęć wybicia się za wszelką cenę i przygłuszała wyrzuty sumienia, ilekroć Kazia postąpiła nieetycznie i nieuczciwie.

Napisanie anonimu było chłodną kalkulacją życiową w której serce odegrało rolę tylko tyle, ile uczucia miała piękna brunetka dla Janusza Gardy.

Korzyści miały być podwójne. Z jednej strony w jej rękach miał się znaleźć Szalski, ponieważ był tak nieostrożny, że wciągnął ją w niecną intrygę przeciwko Renie i młodemu Gardzie, ponieważ zaślepiony pożądaniem i obawą utracenia Łaskiej powierzył nieostrożnie swą tajemnicę Kazi. Brulion anonimowego listu, którego nie oddała i nie miała zamiaru oddawać, miał skłonić w przyszłości Szalskiego do wielu ustępstw na rzecz ekspedientki.

Drugą przyczyną i drugim zyskiem, dla którego Kazia dała się wciągnąć w spisek przeciwko Renie, nie zdając sobie zresztą sprawy z jego skutków – był Janusz Garda.

Czy kochała go?

Na to nie mogłaby dać sobie sama odpowiedzi, gdyby była zdolna do subtelniejszego przeanalizowania swoich uczuć. Już gdy ujrzała Janusza po raz pierwszy, zadała sobie pytanie, czy nie byłoby dobrze, gdyby przestał on myśleć o Renie i gdyby zajął się na serio nią, zamiast koleżanką. Od tej chwili szła konsekwentnie po linii owego rozumowania i dążyła do zwrócenia na siebie uwagi Janusza.

On jednak, do niepamięci zakochany w Renie, utrzymywał z nią znajomość czysto konwencjonalną, ot po prostu dlatego, że była przyjaciółką wybranej przez niego dziewczyny. Natarczywość Kazi trafiała w próżnię. Im wyraźniej widziała, że nie uda się jej odbić Janusza, im bardziej rozumiała, że marzenie jej nie spełni się nigdy, o ile chodzi o tego młodego chłopca, tym bardziej zdawało się jej, że go kocha, tym bardziej do uczucia miłości z urojenia dołączało się uczucie zadrażnionej miłości własnej.

Kazia czuła się dotknięta swym niepowodzeniem i czuła do Reny rosnącą z dniem każdym zawiść, którą ukrywała z trudem pod maską dawnej przyjaźni. Wszystkie tamy zostały zerwane, gdy zdarzyło się, iż Janusz uchylił kilkakrotnie jej nagabywania o wyznaczenie wspólnego spotkania bez wiedzy Reny. Odłożenie przez Janusza słuchawki telefonicznej wzbudziło w Kazi całe piekło zazdrości i do żywego sponiewieranej ambicji.

W tych warunkach z całą satysfakcją podjęła się dopomóc Szalskiemu w rozerwaniu tamtych dwojga i zniszczeniu ich szczęścia. Potem, po zerwaniu Gardy z Reną, miała zjawić się przed Januszem, jako pocieszycielka, jako dobry duch, i owładnąć rozgoryczonym młodym człowieku, uleczyć ofiarą swego serca i ciała rozczarowanie, jakiego doznał przez Renę.

Z takimi myślami udała się na spoczynek tego wieczoru, kiedy w mieszkaniu Szalskiego tajemniczy strzał położył koniec jego życiu. Najpiękniejsze marzenia zbudowane na kłamstwie i nieuczciwości zburzył jednak następny rano. Przed wyjściem do magazynu, jedząc pośpiesznie śniadanie, dowiedziała się ze świeżo przyniesionego dziennika o zbrodni, której ofiarą padł Szalski i o aresztowaniu Reny. Uświadomiła sobie, że anonim dostanie się teraz zapewne do rąk władz śledczych, że Rena może poznać jej pismo, chociaż napracowała się wiele, by zmienić jego charakter, że po nitce do kłębka policja dojdzie do niej. Gdy pisała list anonimowy, ani przez myśl jej nie przeszło, że tak okropne miały być skutki intrygi.

Jedna była w tym tylko pociecha, że miała brulion anonimu, a na brulionie kilka poprawek poczynionych przez dyrektora. Gdy więc zdarzy się to nieszczęście, że policja zdemaskuje ją, jako autorkę anonimu, będzie mogła pokazać ten brulion i powiedzieć, że to Szalski groźbą wyrzucenia wymusił na niej napisanie tego listu.

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę, co robić, i postanowiła wreszcie nie iść tego dnia do magazynu, upozorowując swą nieobecność chorobą. Nie było to zresztą tak dalekie od rzeczywistości, ponieważ pod wpływem wiadomości o zamordowaniu Szalskiego i aresztowaniu Reny dostała silnego bólu głowy i była bardzo zadowolona, gdy z powrotem znalazła się w łóżku.

W rozgardiaszu, jaki zapanował w magazynie po śmierci Szalskiego, na nieobecność jej nie zwrócono prawie uwagi. Miała też ona dla Kazi i te dobre strony, że wywiadowca Karcz, który z polecenia komisarza Mondszajna przesłuchiwał szereg pracowników i pracowniczek magazynu, by wyrobić sobie dostateczne pojęcie o Szalskim i Renie i zbadać ich wzajemny stosunek, nie mógł jej przesłuchać.

W godzinach popołudniowych Kazia kazała sobie przynieść pisma wieczorne i dowiedziała się strasznej dla siebie wiadomości o aresztowaniu Janusza. Pismo, które wypenetrowało to ku wielkiej irytacji władz śledczych, stwierdzało, że z całą pewnością Janusz Garda jest zabójcą Szalskiego. Zeznania Reny traktował dziennik, jako zagadkę psychologiczną, którą miały rozwiązać najbliższe godziny.

Kazia zrozumiała, że wszystkie jej moralne i materialne zyski połączone z napisaniem anonimu zostały zmarnowane. Szalski był zabity, Janusz pozostawał w areszcie śledczym. Była daleko bardziej skłonna przypuszczać i uwierzyć, że zabił Janusz, a nie Rena. Zarazem ogarnął ją znowu lęk na myśl o tym, ile złego uczyniła jednym głupim, kłamliwym listem. Rozpętała nawałnicę nieszczęść, a te uderzyły jak gromy w Szalskiego, który postradał życie, w Janusza, którego pragnęła zobaczyć, w Renę, która nie uczyniła jej nic złego, i w prokuratora Gardę, którego widziała zaledwie raz w życiu. Pojęła doskonale, jak wielką ciężar na niej odpowiedzialność, jak ogromna jest jej wina.

Dopiero teraz potrafiła ocenić należycie ohydę swego postępków. Jeżeli Janusz zabił pod wpływem anonimowego listu, to była winna podwójnie, i śmierci Szalskiego i nieszczęścia młodego Gardy.

Pokój, w którym mieszkała, zajmowały jeszcze dwie ekspedientki z innych firm. Wychodziły rano i wracały późnym wieczorem. Była więc zupełnie sama, bo stara gospodyni po dostarczeniu jej gazet poszła na plotki do sąsiadów. Mogła dowoli pozwolić płynąć łzom, od których wkrótce mokra była poduszka.

Wśród wielu projektów, jakie rodziły się i równie szybko umierały w jej umyśle, znalazł się i ten, by udać się nazajutrz rano do urzędu śledczego wraz z kopią anonimowego listu i wyznać całą prawdę. Po krótkim jednak namyśle, porzuciła ten zamiar. Motywem, który ją od tego powstrzymał, była trwoga. Niezbyt też była pewna, czy w ten sposób dopomoże Renie lub Januszowi, czy może zaszkodzi im.

Kazia zrozumiała, iż wobec Reny była stokroć bardziej winna niż wobec Janusza. Ostatecznie nie miała przecież nawet czasu ani sposobności, by poznać go bliżej i pokochać, a jeżeli pragnęła, by należał do niej, to po prostu dlatego, że była samotna i opuszczona i że zazdrościła Renie powodzenia.

Tego wieczoru Kazia długo nie mogła zasnąć. Noc zapadła już dawno, powróciły jej współlokatorki, poszeptały, pochichotały trochę i zgasiły światło.

Zegar wybijał godziny, a Kazia leżała bez ruchu wpatrzona w nieprzenikniony mrok nocy i daremnie starała się uciszyć sumienie, daremnie starała się powziąć decyzję, która by jej pozwoliła wyjść z tej przykrew sprawy z honorem.

Jednakże nazajutrz, rano, gdy pierzchnęły zmory nocy, zwyciężył instynkt samozachowawczy i Kazia postanowiła pozostać nieznaną tak długo, jak długo policja nie dotrze do niej w swej akcji śledczej.

Poszła więc do magazynu i starała się być swobodną i taką, jak zawsze.

Nigdzie tak pilnie nie czytano w owych dniach dzienników, jak w *Domu Towarowym A. Szalski i S-ka*. Dowiedziano się z nich, że Rena Łaska została zwolniona i że cały ciężar oskarżenia przerzucony został na Janusza Gardę. Rozpisywała się prasa o tym, jak cofnął swe zeznania, o tym, jak władze śledcze uważały to za zwykłą fintę, rozplywano się w ubolewaniu nad losem nieskazitelnego prokuratora, na którego spadł cios trudny do zniesienia. O anonimie nic już gazety nie wspominały i Kazia wracała do równowagi duchowej, wierząc, że klucz tajemnicy leży w jej rękach, a nie była tak naiwna, by biec z zeznaniami do policji. Wyrzucała sobie słabość pierwszych chwil, kiedy pod wrażeniem śmierci Szalskiego chciała wyznać prawdę.

Aż pewnego dnia, w niecały tydzień po zbrodni, gdy życie magazynu płynęło już z powrotem normalnym nurtem, Kazia, wychodząc z garderoby ekspedientek, ubrana do wyjścia na południową przerwę, ujrzała w korytarzu postać w grubej żałobie.

Z początku nie zorientowała się, że może to być Rena, gdy jednak równała się z kobietą w żałobie, tamta odsunęła welon z twarzy i odezwała się nieśmiało i jakby z zawstydzeniem:

— Jak się masz, Kaziu?

Kazia zawahała się na chwilę. Czy miała prawo chociażby zbliżyć się do Reny, jak długo nie powiedziała jej wszystkiego o anonimowym liście i zakulisowej roli, jaką odegrała w tragedii koleżanki?

— Co robisz tutaj, Reno? — zapytała wreszcie. — Czy wracasz może do pracy?

Rena otarła oczy, w których ukazały się łzy i przecząco potrząsnęła głową.

— Nie, nie. Po tym, co zaszło, jest to przecież niemożliwe. Dymisję moją podpisano zaraz na drugi dzień po aresztowaniu i otrzymałam wezwanie, by stawić się do rozliczenia.

— Przecież zostałam zwolniona od wszelkich zarzutów.

— Jestem mimo to skompromitowana i moja praca w magazynie jest niepożądana. Nie wiem, czy w ogóle dostanę gdziekolwiek pracę. Właśnie teraz idę do dyrekcji.

Kazia przypatrywała się podczas rozmowy bladej twarzyczce Reny. Poczęła ją znów nurtować myśl, by wszystko powiedzieć koleżance. Inaczej nie zazna ani chwili spokoju.

Rena tymczasem mówiła dalej:

— Porozmawiałabym z tobą chętnie o tym wszystkim, ale jestem jeszcze za bardzo wyczerpana. Aresztowanie mnie na miejscu zbrodni, potem aresztowanie Janusza... Śmierć matki – to chyba wystarczy jak na historię kilku dni.

Wyciągnęła do Kazi rękę, chcąc się pożegnać. Mimo że zwolniona z aresztu, mimo że śledztwo przeciwko niej było już umorzona, zachowywała się nieśmiało, jak gdyby przywarło do niej piętno utrzymanki Szalskiego i morderczyni.

Kazia jednak przytrzymała jej rękę i poczęła mówić szybko, jakby się obawiała, że za chwilę opuści ją odwaga, lub że zmieni zamiar.

— Reno, kochanie, ja też chciałam z tobą pomówić i to o bardzo ważnych sprawach. Ale nie później, tylko dziś. Chociażby zaraz... Mam teraz, jak wiesz, przerwę. Czy długo będziesz załatwiała te swoje sprawy?

Rena spojrzała na nią, zdziwiona nieco nutą natarczywości, jaka brzmiała w głosie Wnukówny.

— Naturalnie, że możemy z sobą pomówić, jeżeli chcesz tego. Ale ja zabawię z pół godziny w dyrekcji i buchalterii. Może spotkamy się dziś wieczorem albo jutro w południe?

Brunetka gwałtownie poruszyła głowę. Zdawała sobie sprawę, że to, co chce powiedzieć Renie, musi jej zaraz powiedzieć. Działała pod impulsem i nie ogarniała myślą konsekwencji, jakie pociągnie jej postępek. Na widok Reny przygłuszone wyrzuty sumienia odezwały się znowu. Musiała jak najprędzej pomówić z Reną, zanim zimna refleksja i wyrachowanie nie wezmą góry nad dobrymi instynktami.

— Reno, jeżeli możesz to zrobić dla mnie, to pomówmy teraz, w południe. Powiem ci jedno tylko zdanie, po którym nie będziesz już może chciała ze mną rozmawiać. Ale to musi być dziś!... Teraz!... Teraz albo nie stanie się to nigdy i to będzie dla mnie bardzo źle.

Mimo swego przygnębienia, Rena została uderzona rozpaczliwym akcentem, z jakim prośba ta była wypowiedziana.

— No, dobrze. Naprzeciwko magazynu jest na rogu ulicy ta mała cukierenka. Chodziłyśmy tam nieraz. O tej porze tam pusto.. Czekaaj tam na mnie.

Pożegnała Kazię i skierowała się na boczne schody, wiodące do biur magazynu. Kazia patrzyła za nią długo.

Poszła do małej cukierenki i zaszła się w najciemniejszym kącie pustej sali.

Wreszcie wyrosła przed nią żałobna sylwetka Łaskiej.

— Długo musiałaś czekać! Obliczano mą należność i to się przeciągnęło.

Usiadła obok Kazi i zamówiła kawę. Poczęły rozmawiać o wypadkach ubiegłych dni. O tym wszystkim, co już Kazi było wiadome z gazet. Rena, mówiąc o matce i Januszu, rozpląkała się znowu, po czym powiedziała jej, że mieszkanie będzie musiała zwinąć w ciągu najbliższych dni i że znajduje się teraz pod opieką starego aktora, Oskara Gardy, o którym dowiedziała się po wyjściu z aresztu śledczego, że jest on stryjcem Janusza.

Kazia wzięła na odwagę.

— Reno — rzekła cicho — nie prosiłam cię tutaj, by cię męczyć wspomnieniami tamtych bolesnych przeżyć. Mam ci naprawdę powiedzieć bardzo ważną rzecz i nie obrażę się, cokolwiek zrobisz, gdy dowiesz się prawdy.

— Mów!... Cóż to takiego? Nie bój się, mnie już dość trudno teraz zdziwić lub dotknąć!

Kazia oddychała szybko. Wzruszenie łamało jej głos. Gdyby w tej chwili stała przed komisarzem policji lub sędzią śledczym nie byłaby bardziej zdenerwowana.

— Reno!... O tym nikt nie wie! — Mięła gwałtownie w dłoniach rękawiczkę. — Temu wszystkiemu, co się stało... byłam winna – ja!

— Ty? Co pleciesz, Kaziu?...

— Ja nie plotę... Mogło to zostać i zostałoby na zawsze moją tajemnicą... ale gdy zobaczyłam ciebie, nie mogłam dłużej wytrzymać. Ta tajemnica pali mi wargi... Reno, ty przeze mnie siedziałas w areszcie śledczym, przeze mnie zginął Szalski... choć właściwie zginął z własnej winy. Przeze mnie pan Janusz zabił...

Rena nic już teraz nie powiedziała. Słuchała z rosnącą uwagą.

Kazia tymczasem wyrzuciła jednym tchem.



— Ja pisałam ten... anonim. Teraz wszystko rozumiesz?...

Łaska mrugała przez chwilę powiekami, jak gdyby nie mogła ocenić ogromnej wagi tych słów.

— Jak to? Ty pisałaś ten list anonimowy do prokuratora Gardy?

W odpowiedzi Wnukówna sięgnęła do torebki. Odczuła taką ulgę po wyznaniu swej winy, że było to jakby uczucie słodocy. Nigdy nie doznała czegoś podobnego.

— Jesteś bardzo dobra, że jeszcze nie kazałaś mi odejść od stolika. Przypatrz się!... Tu jest brulion tego listu anonimowego, który twego Janusza sprowadził do mieszkania Szalskiego, listu, który stał się przyczyną zbrodni. Przypatrz się... To moje pismo. Te poprawki atramentem, to poprawki Szalskiego... Patrz, tu wygładził styl, a tu zmienił wyrażenie...

Łaska nie oburzyła się. Może tylko dlatego, że nad oburzeniem zapanowała świadomość, iż Kazia zwierza jej tajemnicę niesłychanej wagi. Była daleka od orientowania się w zawiłych ścieżkach śledztwa, pierwszą myślą jej jednak było, czy fakt, który wypłynął zupełnie niespodziewanie, nie może mieć wpływu na polepszenie sprawy Janusza? To było w tej chwili ważniejsze od potępienia koleżanki.

Wzięła z rąk Kazi brulion anonimu i nie mogła dłużej powątpiewać o prawdzie jej słów. Zarzuciła ją mnóstwem pytań. Kazia spokojnie i z determinacją opowiedziała jej wszystko, nie ukrywając najdrobniejszych szczegółów i oskarżając się bezwzględnie.

Opowiedziała jej o zawiści, jaką poczęła żywić dla Reny z powodu Janusza, opowiedziała o swych telefonach do niego, o chęci rozdzielenia go za wszelką cenę ze szczęśliwą rywalką. O tym, jak zamiary jej zbiegły się z zamiarami Szalskiego.

— A więc to Szalski kazał ci napisać ten anonim — ozwała się wreszcie Rena, nie wypuszczając z rąk cennego brulionu. — To była sprytnie uknuta intryga, bo mnie przecież pod groźbą redukcji kazał przyjść tego wieczoru do siebie.

Brulion anonimu wydawał się Łaskiej wielkim skarbem. W czasie przesłuchiwań pytano ją niezliczoną ilość razy, czy nie poznaje charakteru pisma anonimu, czy nie domyśla się, kto to mógł pisać? Mondszajn podkreślał, że szczegół ten jest bardzo ważny dla śledztwa, zarówno o ile chodzi o nią, jak i o Janusza. Policja jednak była na tym odcinku bezsilna. Mondszajn również jej to powiedział z rzadką otwartością. I oto teraz tajemnica anonimu została odsłonięta i wiedziała już, kto był jego autorem i w jakich powstał okolicznościach.

— Kaziu! — rzekła bardzo poważnie. — Sama chyba wiesz, jak postąpiłaś nikczemnie. Wierzę ci chętnie, że nie przewidziałaś, ile krzywdy i jak wielu ludziom narobił ten kłamliwy list. Zapewniam cię, że ja i Janusz, i prokurator Garda wybaczymy ci, bo wszyscy wiemy, co znaczyło oprzeć się woli Szalskiego. Ale nie wystarczy, że powiedziałaś to mnie...

— Czego żadasz ode mnie? — zapytała zdławionym głosem ekspedientka. — Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zyskać twe przebaczenie. Byłam zresztą przygotowana na najgorsze, mówiąc ci o tym...

— Musisz złożyć o tym oficjalne zeznanie. Przed komisarzem Mondszajnem albo sędzią śledczym. Ty nie możesz przecież sprzeciwiać się wyjaśnieniu sprawy.

Kazia zawahała się. Rena dostrzegła jej niezdecydowanie.

— Jeżeli ty się boisz, ja sama złożę zeznanie — rzekła, chowając do swej torebki brulion. — Ale pamiętaj, że nie możemy się znać od tej chwili!...

Mimo że siedziały w ciemnym zakątku sali, Rena widziała dobrze niesamowitą bladość koleżanki. Kazia z trudem chwyciła powietrze, jak gdyby miała zemdleć.

— Jak możesz tak mówić, Reno!... Powiedziałam ci przecież, że jestem gotowa na wszystko. Chciałam również pomóc Januszowi. Ale chciałabym, żeby mnie oszczędzono. Jeżeliby dyrekcja dowiedziała się o tym, wyrzucono by mnie bez litości... Powiem ci szczerze, nie chciałabym pracy tracić. Zrozumiesz to chyba najlepiej.

Łaska zastanowiła się. Nie mogła się dziwić słowom Kazi. Zrozumiała teraz jej wahanie. Kazia podobnie obawiała się utracenia zajęcia, jak obawiała się tego Rena. Należało znaleźć takie wyjście z sytuacji, by władze dowiedziały się prawdy o liście anonimowym, a udział Kazi w nieszczęściu, które się stało, pozostał w tajemnicy.

— Mam na to radę — rzekła, decydując się szybko. — Nie udamy się do urzędu śledczego ani gdzie indziej, tylko do ojca Janusza. Wiem o tym, że nie bardzo mnie lubi i że nie będzie to miłe spotkanie, jednakże niewinność Janusza jest ponad to wszystko. Nie ulega wątpliwość, prokurator Garda tak sprawę załatwi, by twoje nazwisko nie dostało się do gazet i by dyrekcja magazynu nic o tym nie wiedziała.

Mówiąc te słowa. Rena uświadomiła sobie, że okazanie staremu Gardzie brulionu anonimu i udowodnienie, że Szalski był właściwie jego autorem, w pierwszym rzędzie wykazuje czarno na białym niewinność jej samej. Węzeł intrygi stawał się wtedy zupełnie zrozumiały.

Kazia przestała się wahać. Pomysł był dobry. Tomaszowi Gardzie można było bezwzględnie zaufać.

Rena zapłaciła szybko, po czym wyszła z Kazią z cukierenki i zaciągnęła ją do pierwszej napotkanej taksówki.

— Sąd Okręgowy, Miodowa piętnaście — poleciła kierowcy.

## ROZDZIAŁ XXV

To było to, co wywiadowca Karcz nazywał złą passą.

Od chwili, kiedy obiecał prokuratorowi Gardzie, że zrobi wszystko, by wydobyć na jaw nowe szczegóły zamordowania Szalskiego, szczegóły, na które śledztwo oficjalne nie zwróciło uwagi, młody agent dokładał wszystkich wysiłków, by pchnąć sprawę na inne tory.

Szukał niezmordowanie, czepiał się najmniejszych drobnostek, starając się z nich wysnuć korzystne dla Janusza wnioski. Tymczasem starania jego nie przynosiły żadnych rezultatów, tylko gorzyc zawodu.

Wywiadowca był już chwilami gotów uwierzyć, iż nie mylą poszlaki, którymi młodego Gardę skuły dochodzenia władz, że w wynikach śledztwa nie ma omyłki, podobnie jak nie może być omyłki w formule matematycznej. Z drugiej jednak strony wiedział Karcz, jak bardzo poszlaki ludzą i mylą, jak bardzo łatwo wstąpić na drogę błędnego rozumowania, tym bardziej, że władze śledcze w tym wypadku poszły po linii najłatwiejszej koncepcji.

Karcz był człowiekiem jeszcze młodym i pełnym zapału, a swoje metody pracy przeciwstawiał rutynie starszych i bardziej doświadczonych urzędników policji. Wierzył niezbitnie, że najłatwiejsza koncepcja nie zawsze jest koncepcją właściwą. Był agentem śledczym z zamiłowania i w chwilach wolnych od pracy zawodowej szperał w starych kronikach kryminalnych, w sprawozdaniach z dawnych procesów, a badania te przekonały go, iż bardzo często mylne poszlaki, przyjęte zbyt pochopnie za prawdziwe, omal nie zaprowadziły do skazania na szereg lat więzienia człowieka zupełnie niewinnego. Tak mogło być i z Januszem.

Wywiadowca wszystkie swe nadzieje opierał na rozumowaniu, że w czasie pomiędzy opuszczeniem mieszkania Szalskiego przez Janusza, a pomiędzy przyjściem Reny musiał być w mieszkaniu ktoś, kogo Szalski znał i kto znał dobrze zwyczaje Szalskiego. Ten ktoś dokonał zbrodni w sposób mistrzowski, zacierając za sobą wszelkie ślady, ten ktoś wszedł do kamienicy i wyszedł z niej niezauważony przez nikogo. Nie widział go nikt z lokatorów, nie widział go dozorca, który siedział zaczytany w dyżurce.

Wywiadowca Karcz nie posiadał wykształcenia, które by mu pozwoliło wspiąć się w przyszłości na wyższe szczeble policyjnej kariery. Dołą jego było pozostawać przez całe życie agentem śledczym, jednakże umiał sobie powiedzieć, że skoro ma już być tylko nim, powinien być jednym z najlepszych wywiadowców. W rozumowaniach swoich, pod wpływem dużego odczytania, nauczył się wychodzić z założeń psychologicznych. Zbadał dokładnie życie Janusza Gardy i przekonał się, że był to dość przeciętny młody człowiek, taki jakich na setki liczy milionowa Warszawa, jednakże chłopak do szpiku kości prawy i uczciwy. Życie Janusza było jak zapisana karta dostępna do odczytania dla każdego. Inaczej było z Szalskim. Karcz zadał sobie trud zbadania pewnych szczegółów z życia zamordowanego i wlot się zorientował, że musiało być w życiu zajadłego groszoroza i erotomana więcej cieni, niż wiedziały o tym władze śledcze.

Zapewne Janusz Garda mógł mimo to zabić Szalskiego, szczególnie znajdując się w ty podnieceniu, w jakim był krytycznego wieczoru. Ale Karcz był skłonny wierzyć, że odwołanie przez Janusza zeznań nie było wykrętem ani też niezręczną, spóźnioną obroną. Prawda była gdzieś blisko, ale prawdą tą były dotychczas puste słowa, trzeba było ją poprzeć materialnymi

dowodami.

Nad zdobyciem tych właśnie materialnych dowodów daremnie mozolił się wywiadowca. Wiadomą jest rzeczą, że nie ma przestępcy który by nie popełnił ani jednego błędu, który by nie pozostawił ani jednego śladu. Taki przestępca musiałby być nadczłowiekiem. Często zbrodnia nie zostaje wykryta dlatego, że okoliczności zacierają błędy i ślady przestępcy. Często prowadzący śledztwo nie umieją wykryć właśnie tego jednego drobnego błędu który może zdecydować o zdemaskowaniu zbrodniarza, często nie umieją po prostu zazębić swego rozumowania z rozumowaniem przestępcy.

O takie właśnie zazębiecie chodziło Karczowi. Szukał go wszelkimi dostępnymi mu sposobami, wiedział, że ono istniało, bo musiało istnieć, a jednak nie mógł go znaleźć.

Mijały dni, a zła passa nie mijała ku rozpaczy Karczka, który wiedział, że każdy dzień zwłoki zmniejsza szanse jego usiłowań, że, poza wszystkim, sprzymierzeńcem przestępcy jest czas, który pracuje na korzyść zbrodniarza.

W nastroju zupełnego zniechęcenia udał się Karcz w niedzielę po południu na pole wyścigowe, gdzie był delegowany służbowo. Wyścigi nie emocjonowały go, w totalizatora nie grał, nudził się więc raczej i czas swej służby poświęcał na obserwowaniu niebieskich ptaków kręcących się po torze mokotowskim.

Przechodził właśnie koło najtańszych miejsc, gdy bystre jego oko spoczęło na osobniku o lisiej twarzy i rozbieganych oczach, który z zafrasowaniem przerzucał kartki *Przeglądu Wyścigowego*.

Pierwszą zaletą dobrego wywiadowcy jest zdolność zapamiętywania sobie fizjonomii ludzkich i kojarzenia ich z właściwym nazwiskiem. Karcz w wysokim stopniu posiadał tę zaletę. Przypomniał sobie tę twarz z baczkami, o wystających kościach policzkowych, zmysłowych wargach i oczach zarazem chytrych i służalczych. Przecież nie tak dawno zetknął się służbowo z tym osobnikiem i „maglował” go przez dobrą godzinę.

Naturalnie, czemużby woźny z *Domu Towarowego A. Szalski i S-ka* nie miał przy niedzieli zaznać rozkoszy i emocji totalizatora?...

Karczowi przyszło na myśl, że nie byłoby źle porozmawiać raz jeszcze z tym spryciarzem. Przypomniał sobie, jak woźny w czasie przesłuchania cedził wyrazy, ważąc dosłownie każde słowo i każde wypowiedziane zdanie.

Wywiadowca zaszedł z tyłu i uderzył poufale po ramieniu zatopionego w studiowaniu programu.

— Dzień dobry panu, panie Stanisławie! Jakie miłe spotkanie...

Woźny drgnął i spojrzął z niechęcią na Karczka. Nie mógł sobie w pierwszej chwili uprzytomnić, z kim ma do czynienia. Pamiętał, jak przez mgłę, tę wyrazistą twarz, ale nie kojarzyła mu się ona z żadną sytuacją ani z żadnym nazwiskiem.

— Widzę, że mnie pan sobie nie przypomina — zaśmiał się Karcz nieco rubasznie, po czym, widząc, że przypatrują się im ciekawie, nachylił się ku niemu i dodał konfidencko. — Rozmawialiśmy z sobą niedawno... służbowo... po śmierci pana Artura...

Nie, spotkanie to stanowczo nie było przyjemne dla woźnego Stanisława. Jak bardzo wielu ludzi czuł instynktowną niechęć i obawę przed policją i jej funkcjonariuszami, choć nie miał żadnych do tego przyczyn.

— Owszem, teraz sobie przypominam — rzekł bez entuzjazmu.

Karcz postanowił atakować dalej, ponieważ woźny chciał wrócić do studiowania programu, polując w ostatniej chwili na wybór konia źle zaostrzonym kolorowym ołówkiem.

— Coś mi pan dosyć markotnie wygląda — zagadnął. — Czyżby nie poszczęściło się w grze?

Wpadł widać na właściwy temat, bowiem woźny z magazynu i były totumfacki Szalskiego poczał się przed nim zalić, że prześladuje go pech. Przegrał kolejno w trzech biegach i chętnie spróbowałby się odegrać, gdyby nie to, że jego szczupłe zapasy pieniędzy były już na wyczerpaniu.

Agent śledczy zrobił zagadkową minę.

— Wie pan — rzekł — ja nigdy nie grywam, a tacy podobno mają pierwszy raz szczęście. Złóżmy się razem na dwa trzy bilety i zagrajmy do spółki.

— Do spółki?... — małe, sprytnie oczy zaświeciły się namiętnością hazardu.

Spółka, którą Karcz zaproponował była dość dziwna.

— Pan pójdzie kupić bilety, bo mnie nie wolno. Jestem tu służbowo do ukończenia biegów. Zrobimy tak. Ja dam panu na bilety, bo pan, zdaje się, już się splukał. Jeżeli wygramy, dzielimy się do spółki, jeżeli przegramy, to ja poniosę stratę.

Stanisław znowu przyjrzał się bacznie Karczowi. Nie był tak mało sprytny, by nie zrozumieć, że wywiadowca chce z nim koniecznie porozmawiać i szuka drogi, by skaptować go sobie. Droga jednak była dobra, totalizator bowiem był bowiem jedną z namiętności woźnego. Szalski wiedział o tym i często, chcąc zjednać go sobie, dawał mu w sobotę dziesięć złotych na grę.

Zgodził się więc Stanisław na tę szczególną transakcję. Było za późno, by wykupić bilety do czwartego biegu, rozlegały się już bowiem dzwonki oznajmiające zamknięcie kas. Pozostawał więc bieg piąty.

Stanisław podsunął program Karczowi. Wywiadowca wydawał mu się teraz wcale sympatycznym człowiekiem.

— Niech pan wytypuje konia. Bo to podobno prawda, że tacy, co nie grają, mają szczęśliwą rękę.

Karczowi było w gruncie rzeczy wszystko jedno. Odgadł słabą stronę Stanisława i wiedział już, na jakim koniku ma jechać, by się do niego zbliżyć.

— Zagramy Giocondę — rzekł, zaledwie, spojrzawszy na program. — À propos, bardzo bym rad wiedzieć, czy *Gioconda*, która wisi w Luwrze jest autentyczna, czy też po owej głośnej kradzieży odzyskano tylko bezwartościową kopię? To był ciekawy wypadek kryminalny.<sup>(1)</sup>

A widząc, że woźny patrzy na niego nieprzytomnymi oczyma, dodał szybko.

— A więc kupuj pan bilety na Giocondę. Pewniak, nie pewniak, fuks nie fuks – wszystko mi jedno.

Nie wiadomo, czy był to traf, czy też istotnie szczęście sprzyja tym, którzy nie ulegają urokom hazardu, dość, że Gioconda minęła pierwsza celownik. Wyplata była przeciętna, ale mimo to Stanisław promieniał radością, bowiem tym biegiem odegrał trzy poprzednie.

Dotrwali już razem do końca wyścigów, rozmawiając coraz poufalej. Woźny z zapalem wtajemniczał Karcza w arkana totalizatora. W szóstym biegu stracili, w siódmym za to odegrali się znowu, tak że w rezultacie wyszli na swoje.

Przy bramie wyścigowej Stanisław chciał pożegnać wywiadowcę, tamten jednak postanowił dopiero teraz zebrać owoce zacieśnionej znajomości.

— Mam pragnienie — oświadczył — a pan chyba ma pół godziny czasu. Wstąpimy tu, do baru na jedno piwo. Jedna kolejka też by nie zaszkodziła. Opowiem panu niejedno z mojej policyjnej kariery.

Stanisław był już zupełnie pokonany. W świętej zgodzie wybrali lokal i przez długi czas rozmawiali o rzeczach obojętnych. Agent opowiedział woźnemu kilka interesujących wypadków, z jakimi się zetknął w swej praktyce, po czym zręcznie skierował rozmowę na zamordowanie Szalskiego. Obrął metodę wychwalania zabitego pod niebo, metodę, która nie mogła nie

podziałać na Stanisława.

— Mówimy teraz całkiem prywatnie — zastrzegł się wywiadowca. — Napracowałem się przy tej sprawie i przykro mi tylko, że prawdziwy morderca Szalskiego nie poniesie zasłużonej kary.

Stanisław aż się przez stół przechylił.

— Panie Karcz, jakże to możliwe? Przecież zabił go ten młody, syn prokuratora, i pisało w gazetach, że siedzi. Panie Karcz...

Podniósł głos, tak, że wywiadowca musiał go ująć za rękę i przestrzec.

— Mów pan ciszej! Moje nazwisko wszyscy znają... Po co to?...

Skoro zmieszany nieco woźny usiadł, Karcz przysunął bliżej krzesło i pochylił się ku niemu poufale.

— Mówimy przecież prywatnie, ale muszę panu powiedzieć, że z pana zeznań nie byłem zadowolony. Tego młodego Gardę trzymają w więzieniu, bo i cóż ma robić policja, ale pod słowem honoru mogę się panu zwierzyć, że zbyt pewni jego winy nie są.

— Kto mógł zabić?... Kto, jeżeli nie on?...

— Gdybym umiał odpowiedzieć na to głupie pytanie, nie rozmawiałbym o tym z panem — zdenerwował się wywiadowca, jednakże woźny Stanisław nie obraził się. Był dotąd święcie przekonany, że było wszystko tak, jak donosiły gazety, że na tle sporu o Renę Łaską Garda zabił Szalskiego. Mógł być sobie Artur Szalski złym człowiekiem dla wszystkich, dla niego jednak był zawsze dobry i nie żałował mu pieniędzy w zamian za usługi, do jakich go używał. Stanisław wiedział, że nigdy już w życiu sytuacja jego w magazynie nie będzie tak korzystna, jak była za życia Szalskiego. Toteż niczego innego nie pragnął, jak tylko tego, by Janusz poniósł za swój czyn jak najsurowczą karę. Teraz jednak dowiadywał się, że wina Janusza znajduje się pod znakiem zapytania. To była zupełna nowość.

Karcz jak gdyby czytał w jego myślach. Pociągnął tęgi haust piwa, przyjrzał się pod światło bursztynowemu płynowi, postawił kufel na reklamowej podstawie i ozwał się niedbale.

— Gdybym ja stracił tak dobrego pana, jakiego pan stracił w Szalskim, tobym zrobił wszystko, żeby łotr, co go zabił poszedł na szubienicę. Nie cofnąłbym się przed niczym. A przy tym nie pozwoliłbym, by człowiek niewinny cierpiał chociażby przez minutę.

Woźny się namyślał. Stara to prawda, że alkohol rozwiązuje języki. Karcz znał ten prymitywny sposób wydobywania zwierzeń, toteż nowa kolejka pojawiła się na stole.

— Ja bym panu chętnie pomógł — oznajmił wreszcie woźny — bo i ja chciałbym, by prawda wyszła na jaw. Ale co ja panu mogę powiedzieć?

Od słówka do słówka Stanisław zaczął wreszcie mówić. Mówił mu wiele rzeczy, które Karcz już znał. O tym, jak to Szalski lubił dziewczęta, jak nieraz on – Stanisław – to i owo mu załatwiał, o tym jacy interesanci bywali u Szalskiego, o tym, że raz czy dwa razy był w kantorze jakiś rudowłosy Żyd, z którym rozmawiali poufnie, tak że Stanisław nic nie mógł się o tej rozmowie dowiedzieć, choć bardzo by tego pragnął. Karcz domyślał się łatwo, że Stanisław podsłuchiwał bez powodzenia, jednakże szczegół z owym rudowłosym Żydem był zupełnie nowy.

Woźny, naturalnie, nie mówił wszystkiego, ale i to, co Karcz zdołał z niego wydusić, uzupełniało sylwetkę Szalskiego i przyczyniło nowych rysów tej mrocznej postaci. Nie nowina to była dla Karcza, że wielu jest w społeczeństwie takich szanownych i szanowanych panów, zajmujących nieraz bardzo wysokie stanowiska, którzy są w rzeczywistości szubrawcami pierwszej wody. Szalski nie był wyjątkiem. Najsmutniejsze jednak było to, że ze zwierzeń Stanisława nie mógł Karcz zebrać żadnego materiału faktycznego odnoszącego się do samej zbrodni.

Raz jeszcze zarzucił woźnego gradem pytań, lecz nie rozjaśniły one ciemności.

Karcz wodził bezmyślnie ozdobnym ołówkiem po marmurowym blacie stołu. Sprawa przedstawiała się beznadziejnie, a przecież, gdy ujrzał Stanisława, rokował sobie, że rozmowa z nim nie skończy się na niczym. Zapytał zupełnie zniechęcony.

— Niech mi pan jeszcze powie, jak był ubrany dyrektor wtedy, kiedy go pan widział po raz ostatni.

— Wtedy, przed wieczorem, gdy wychodził z biura?

— Właśnie wtedy...

— Ubrany był jak zwykle. Kapelusz miał szary filcowy i palto pod kolor. To przecież pan widział, bo musiało wisieć w przedpokoju mieszkania... Rękawiczki miał popielate, skórzane i teczkę, jak zawsze...

— Teczke?...

Wywiadowca Karcz niemal krzyknął to słowo, aż od innych stolików zwrócono na niego uwagę i poczęto spoglądać ciekawie. Niemniej zdziwiony był woźny Stanisław. Cóż to było dziwnego, że *świętej pamięci pan dyrektor* miał z sobą tekę? Zawsze chodził z teką. Jak każdy człowiek jego pokroju.

Karcz jednak nie mógł się uspokoić. Wyciągnął notes i przewrócił nerwowo kilka kartek. W chwilach wielkiego podniecenia miał zwyczaj mówić sam do siebie, toteż woźny słyszał, jak mruczał.

— Przeoczyć tak prostą rzecz!... To trzeba być skończonym durniem!

Zwrócił się do Stanisława, który zdumiony był poruszeniem wywiadowcy.

— Dlaczego pan wcześniej nie powiedział o tej tece?

— Nikt mnie o to nie pytał. O czym miałem mówić? To przecież takie naturalne, jak to, że pan dyrektor miał co dzień wyczyszczone buciki. Nigdy się z teką nie rozstawał...

— Człowieku! — Karcz drżał po prostu ze wzruszenia. — Zrozum, że nigdzie tej teki nie znaleziono po morderstwie. Przynajmniej ja jej nie widziałem. Jeżeli ta teka zginęła bez śladu...

Wywiadowca nie dokończył zdania.

— Panie Stanisławie, prokurator obiecał mi tysiąc złotych premii, jeżeli wykażę niewinność jego syna. Zarobi pan trzysta złotych, jeżeli powie pan wszystko o tej tece.

— Wszystko powiem! To nie tajemnica. Pan zawsze chodził z tą teką. Przychodził z nią do biura i wracał do domu. Nosił w tece to, co każdy nosi. Gazety, czasem jakieś umowy, czasem pieniędzy trochę...

— Jak ta teka wyglądała?

— Czarna ze srebrnym monogramem. Pan dyrektor niedawno ją kupił. Gdy był ostatni raz zagranicą.

— Z monogramem ją kupił?

— Nie! Monogram kazał dobrać w naszym magazynie.

— Jaki to był monogram? Stylizowany, czy taki nowoczesny?

Tego już Stanisław absolutnie nie mógł zrozumieć. Słowo *stylizowany* przechodziło możliwość jego pojęcia. Karcz wytłumaczył mu z trudem, że chodzi tu o rysunek liter. Wreszcie, dowiedział się, że monogram był zupełnie modernistyczny. Duże litery, niewiązane z sobą, w prostokątnej ramce. Woźny wyjaśnił mu zresztą, że podobnych monogramów jest w magazynie dużo. Może je obejrzeć w galanterii, choćby jutro rano.

Wywiadowca notował wszystko. Z trudem mógł opanować swą radość.

Był przekonany, że teraz właśnie uchwycił ślad, który może zaprowadzić go do przestępcy. Takie głupstwo, koło którego przechodzono obojętnie i o którym nawet nie pomyślano, mogło być decydujące. Było to właśnie zazębienie, o które chodziło Karczowi.

Sam, zaraz po zbrodni, przeprowadził dokładną rewizję w mieszkaniu zabitego i nie dostrzegł ani śladu czarnej skórzanej teki z monogramem. Naturalnie mogła ona być, trudno jednak było przypuszczać, by ją przeoczył Karcz lub ktokolwiek inny. Tecka Szalskiego musiałaby obudzić zainteresowanie władz śledczych. W tece mogły być jakieś papiery, dokumenty, które policja z pewnością chętnie by przeczytała, bo czasem najdrobniejsza notatka jest ważna dla śledztwa.

Karcz był więc skłonny przypuszczać, że nie myli się, że teki nie było wcale w mieszkaniu Szalskiego.

— Niech pan sobie przypomni, niech pan wysili mózg! — nacierał na oszołomionego woźnego! — Czy pan Szalski miał na pewno tę tekę, gdy go pan widział po raz ostatni?

— Przypominam sobie zupełnie dokładnie — odparł Stanisław po krótkim namyśle. — Pan dyrektor wyszedł z teką na obiad, a potem z nią wrócił. Gdyby nawet zostawił tekę w biurze, musiałaby tam być. Tymczasem nie było jej. Przypominam sobie zupełnie dokładnie, że tego ostatniego popołudnia wyszedł do domu z teką. Zwróciło to nawet moją uwagę.

— Dlaczego? Skoro to była zwykła rzecz?

Karcz podniósł głowę nad zapisków i popatrzył ostro na Stanisława, jak gdyby chciał odgadnąć z jego twarzy myśl, której tamten nie zdołał jeszcze wypowiedzieć.

— Zwróciło to jednak moją uwagę — mówił teraz coraz śmieiej woźny z magazynu, rozumiejąc, że udziela ważnych i donośnych informacji — a zwróciło dlatego, że była wypchana.

— Ciężka była? — zapytał podstępnie agent.

— Nie miałem jej w rękach, ale musiała być chyba ciężka. Była taka na wygląd.

— Taka wypchana, jakby w niej były pieniądze?

— Czy ja wiem. Mogły być pieniądze, mogło być też co innego. Mógł po prostu pan Szalski kupić na wieczór jakichś czekoladek lub cukierków i nieść w tece paczkę.

— Nie! Nie! To musiało być coś innego. Gdyby to były pieniądze... — zamyślił się Karcz. — Niech mi pan jeszcze powie, czy Szalski odjechał z magazynu własnym samochodem?

— Tego ja nie wiem. Służbę pełnię tylko na górze, w dyrekcji...

— Kto o tym może wiedzieć?

— Mógłby to wiedzieć szofer pana Szalskiego, ale on wyjechał na posadę do Łodzi. Może wie szwajcar...

— Jak on się nazywa?

— Jan Jurczak. Nawet wiem, gdzie mieszka. Krzywe Koło osiem. Widziałem go dziś na wyścigach.

— Psiakrew!.. Gdybym wcześniej wiedział o tej tece. Panie Stanisławie, jedziemy tam natychmiast! Musi pan jechać ze mną! Trzystu złotych za darmo pan nie dostanie... Panie starszy, jeszcze dwie większe i rachunek.

Przygnębienie wywiadowcy minęło bez śladu. Uchwycił nić, która tak długo wymykała mu się z ręki, i był pełen nadziei, że nić ta zaprowadzi go do celu. Postanowił działać z jak największą szybkością.

Pojechali na Krzywe Koło i zastali portiera magazynu siadającego właśnie do kolacji. Karcz wziął się do niego z miejsca, informując go w kilku słowach, że sprawa jest niesłychanie ważna i by wszystko powiedział jemu, jeżeli nie chce stracić wieczoru na zeznaniach w urzędzie śledczym.

Jurczak okazał się znacznie inteligentniejszy od Stanisława i wywiadowca szybko doszedł z nim do ładu. Przypomniał sobie doskonale, że krytycznego dnia Szalski odesłał auto do garażu około dwunastej w południe i oznajmił szoferowi, że nie będzie go już tego dnia potrzebował. Po wyjściu z magazynu – to było po piątej po południu – dyrektor wszedł do taksówki. Do której?



Szwajcar objaśnił, że w pobliżu magazynu jest postój taksówek i że Szalski, gdy nie używał własnego auta, brał zwykle nową ładną taksówkę, która miała tam stały postój. Numeru Jurczak naturalnie nie wiedział. Zdawało mu się, że na początku było 2. Na to jednak nie mógł przysięgać. — Taksówka ta pewnie stoi teraz w pobliżu magazynu — zakończył swoje zeznania.

To wystarczyło Karczowi. Nie pożegnał się nawet z Jurczakiem, rzucił mu tylko krótkie *dziękuję* i wybiegł przed dom, gdzie oczekiwała go taksówka.

Stanisława już nie potrzebował. Zagroził mu wszelkimi możliwymi karami, gdyby woźny pisnął do kogokolwiek o rozmowie, którą mieli. Był zresztą spokojny, że woźny w obawie, iż mogłaby go ominąć obiecana nagroda, będzie milczał jak zaklęty.

Teraz udał się wywiadowca na postój taksówek pod magazynem i bez większego trudu ustalił, o jakiej taksówce myślał Jurczak. Szczęśliwym trafem stała na postoju. Była nowa, elegancka, obita wewnątrz pluszem i początkowa cyfra numeru była istotnie 2.

Rozmowa z szoferem była krótka. Chodziło przecież tylko o tekę. Wszystko, co dotyczyło teki, było bardzo ważne.

Kierowca znał z widzenia Szalskiego. Znał adres domu, gdzie go czasem odwoził.

— Teką? — Zmarszczył brwi, skupiając myśli. — Tak, ten pan zawsze jeździł z teką. Kolor teki? Czarna. Monogram? Nie zauważył monogramu. W każdym razie tego dnia, kiedy wiozł Szalskiego po raz ostatni, miał on z sobą tekę. Czy nie zapomniał jej? Czy wysiadając nie zostawił jej w taksówce? Kierowca czuł się dotknięty. Gdzież tam! Gdyby tak było, odniósłby natychmiast do mieszkania lub oddał w komisariacie. Nie byłby jej zatrzymywał ani przez chwilę. Jest uczciwym człowiekiem. Karcz zapewnił go, że nie miał wcale zamiaru kwestionować jego uczciwości. Tu chodzi jednak o wykazanie niewinności człowieka uwięzionego pod ciężkim zarzutem, a co więcej, o wykrycie prawdziwego mordercy. Niechże sobie jeszcze raz przypomni!

Kierowca zniecierpliwiony ruszył ramionami. Potwierdził swe pierwsze zeznanie i dodał, że przy wysiadaniu pan Szalski najpierw zapłacił, a potem dopiero sięgnął po tekę. Która leżała na poduszkach wozu. Czy mówił coś? Nie tylko jak zwykle *do widzenia*. Czy teka była ciężka? Wypchana? Nie patrzył na tekę. Cóż to go mogło obchodzić? Doskonale! A teraz niech kierowca poda imię, nazwisko i adres. Być może będzie wezwany do urzędu śledczego, by potwierdzić swe zeznania. Nie! Nie będzie w nic przykrego wmieszany. Przeciwnie, policja będzie mu bardzo wdzięczna.

Karcz pracował, jakby w transie. Tylko w ten sposób pracują dobrzy urzędnicy policji, gdy są na tropie. Odczuwał ten szczególny dreszcz znany myśliwym, gdy zwierzyna idzie im na strzał.

Był już późny wieczór, gdy wywiadowca zjawił się w dyżurce dozorczy domu, gdzie zamieszkiwał Szalski. Znowu seria pytań. Dozorcę domu tyle razy już wypytywano o najdrobniejsze szczegóły i szczególiki, tyle razy opowiadał tę sprawę na prawo i lewo, że przyjął on wywiadowcę z wyraźnym znudzeniem.

Nie! Nie! Nie widział, jak Szalski wracał do mieszkania, nie mógł też widzieć żadnej teki. To było tego dnia, a innych dni? Owszem, pan Szalski stale nosił z sobą tekę. Co dzieje się z mieszkaniem Szalskiego? Co z rzeczami, które po nim zostały? Ano, jeszcze nic. Brat pana Szalskiego po pogrzebie wyjechał z powrotem do Gdańska. Miał dopiero przyjechać za tydzień lub dwa i zlikwidować mieszkanie. A tymczasem? Mieszkanie zamknięte. Zapłacone do końca kwartału. Brat pana Szalskiego ma czas zabrać rzeczy. Klucze? Zdaje się ma je administrator. Tego nie wie, ale jest prawie pewny, że brat pana Szalskiego zostawił klucze u administratora. To dobrze! To wystarczy!

Wywiadowca Karcz otarł spocone czoło, gdy tym razem znalazł się na ulicy. Spojrzał na

zegarek. Dochodziło pół do jedenastej i lada chwila miano zamykać bramy domów.

Tego wieczoru nie było już nic do zrobienia. Sukces dnia był i tak ogromny. Teraz należało jechać do domu i przemyśleć całą sprawę. Uporządkować fakty, a nazajutrz wstać rano do roboty.

Wchodziła w grę teka. Teką była wypchana. Specjalnie tego dnia zwracała uwagę swą grubością i pękatością. Jedno z dwojga, albo w tece były pieniądze, albo też co innego. Może papiery wartościowe, może jakieś dokumenty. Cokolwiek było, teka zniknęła bez śladu. Jeżeli zaś w tece były pieniądze...

Karcz po powrocie do swego mieszkania, przełknął kolację w milczeniu, półsłówkami odpowiadając na pytania matki i siostry, z którymi mieszkał. Zaraz po jedzeniu zamknął się w swoim pokoju i rzucił się w ubraniu na łóżko. To było śmieszne, ale w tej pozycji myślał najlepiej.

Jeżeli więc w tece były pieniądze?... Ta myśl wracała uporczywie. W tym wypadku sprawa zamordowania Szalskiego musiała być siłą faktu przerzucona na inną płaszczyznę. Jeżeli zginęła teka z pieniędzmi, to wchodził tu w grę zupełnie wyraźny mord rabunkowy. Mordu tego nie mógł dokonać Janusz Garda. Tym samym musiało upaść oskarżenie przeciwko niemu.

A więc nie mylił się wywiadowca Karcz... W ciągu owych dziesięciu minut, w których jedynie mogła zostać dokonana zbrodnia, został zabity Szalski przez jakiegoś tajemniczego osobnika, który chciał zdobyć ową tekę oraz jej zawartość. Kto mógł to uczynić? Kto mógł poinformować Karcza, czy Szalski istotnie poszedł do domu z teką, kto mógł potwierdzić ostatecznie zeznania woźnego Stanisława, portiera magazynu Jurczaka i kierowcy taksówki.

Służący Szalskiego – Feliks Dereń.

— Trzeba go będzie odszukać zaraz jutro rano i zapytać o ten szczegół — przepełnęła leniwa myśl przez zmęczony mózg wywiadowcy i zaraz Karcz usiadł na łóżku jakby poderwany sprężyną.

Nie! Nie będzie go o to pytał. W każdym razie nie teraz. Powiedział przecież w rozmowie z prokuratorem Gardą, że zdaniem jego, jeżeli zabił kto inny, a nie Janusz, to musiał tego dokonać ktoś, kto znał tryb życia i przyzwyczajenia zabitego. Któż mógł lepiej znać to wszystko, jak nie służący dyrektora magazynu? Nie mógł więc iść do niego wprost i pytać go o to, bo Feliks Dereń siłą faktu wchodził od tej chwili w krąg osób, które mogły być podejrzane o morderstwo. Co więcej, był on w tej chwili jedynym, którego Karcz mógł o to podejrzewać.

Agent śledczy spał źle tej nocy.

Nazajutrz rano zameldował się u Mondszejna. Poprosił o zwolnienie od odprawy i o jednodniowy urlop. Mondszejn przystał chętnie. Wówczas Karcz poprosił o pozwolenie zbadania mieszkania Szalskiego. Komisarz zapytał z uśmiechem, czy Karcz coś znalazł. Wywiadowca zrobił naiwną minę i odpowiedział, że dopiero chce znaleźć. Daleki był od dawania owoców swej pracy w ręce innych, a wiedział dobrze, co to jest rywalizacja.

Mondszejn zlekceważył sobie poszukiwania Karcza i wystarał mu się o żądane pozwolenie.

Z bijącym sercem brał wywiadowca klucz od administratora, z bijącym sercem przewracał raz jeszcze całe mieszkanie. Znalezienie czarnej teki z monogramem mogło zerwać nić i zniszczyć wszelkie nadzieje.

Teki jednak nie było. Karcz chciał wprost z mieszkania dzwonić do prokuratora Gardy i powiadomić go o doniosłym fakcie i o tym, że wreszcie trafił na ślad. Zreflektował się jednak. Byłoby to zbyt wcześnie. Lepiej nie budzić w biednym ojcu nadziei, które potem mogłyby zostać rozwiane. Jeszcze należało trochę poczekać i jeszcze należało zapukać do dwu źródeł informacji.

Zwrócił się do nich. Przeprowadził najpierw rozmowę telefoniczną z najbliższym

przyjacielem Szalskiego, który o niczym nie wiedział i który nie zauważył, że zapodziała się gdzieś teka zmarłego. To było dobrze! Jeszcze jeden telefon. Tym razem międzymiastowy do Gdańska. Do brata zabitego.

Drżącą ręką wziął słuchawkę, gdy telefonistka w rozmównicy na poczcie głównej powiadomiła go, że łączy Gdańsk. Stefan Szalski z całą gotowością udzielił wyjaśnień. Żadnej teki nie widział, żadnej teki po bracie nie zabierał ze sobą do Wolnego Miasta.

Karcz odłożył słuchawkę z uczuciem niezmiernej ulgi. Była wprawdzie wykonana jedynie część pracy, jednakże już to, co zdobył dotąd, znaczyło bardzo wiele. W każdym razie śledztwo musiało iść teraz w kierunku rabunkowego morderstwa.

Było jeszcze wiele wątpliwości, nastęczało się jeszcze wiele pytań. Najważniejsze z nich było, co znajdowało się w tece? Jeżeli były pieniądze, to skąd wziął je Szalski. Musiało być jakieś źródło, z którego Szalski musiał je wziąć. Czy to była kasa Domu Towarowego, czy konto czekowe w PKO, czy podjęty wkład oszczędnościowy, czy suma pochodząca z jakiejś transakcji – musiał być jakiś ślad, pieniądze musiały w jakiś sposób przywędrować do teki Szalskiego.

Ale Karcz nie chciał się już teraz zajmować tymi sprawami. Był to fakt dominujący nad wszystkimi innymi. Wykrył to, co przeoczyło oficjalne śledztwo, a odkrycie jego było decydujące. Teraz musiał udać się do prokuratora Gardy i przy jego pomocy puścić w ruch cały aparat śledczy.

Dochodziło południe, gdy zjawił się w prokuraturze. Na wieszakach dostrzegł kilka płaszczy, a wśród nich płaszcz mundurowy komisarza policji. Zagadnął woźnego.

Ku zdziwieniu swemu dowiedział się, że u prokuratora Gardy bawi właśnie komisarz Mondszejn, sędzia śledczy doktor Kober i podprokurator Gniewosz. Jakaś ważna narada.

Karcz, opierając się na słowach Gardy, kazał się mimo to zameldować.

Woźny usłuchał, acz niechętnie. Wrócił jednak bardzo szybko a równocześnie otworzyły się drzwi od gabinetu prokuratora i ukazał się w nich Tomasz Garda, zmieniony, blady i cały drżący.

— Doskonale się stało, że pan przyszedł, panie Karcz! Gdyby nie to, musielibyśmy szukać pana.

— Panie prokuratorze, przynoszę ważne nowiny. Chwyciłem trop...

Garda uśmiechnął się.

— I ja również. Proszę do środka, panie Karcz.

---

<sup>(1)</sup> 21 sierpnia 1911 r. obraz *Gioconda* został skradziony z Luwru przez pracownika muzeum, Włocha z pochodzenia. Kradzież wydała się, gdy złodziej usiłował sprzedać obraz do Galerii Uffizi, co tłumaczył potem chęcią zwrócenia najbardziej znanego dzieła Leonarda ojczystemu krajowi. To spowodowało, że w oczach włoskiej opinii publicznej stał się bohaterem, w związku z czym został skazany na zaledwie rok więzienia, a sam obraz wrócił do Francji 4 stycznia 1914.

## ROZDZIAŁ XXVI

Rena łudziła się niestety.

Prokurator Garda przyjął ją wprawdzie natychmiast, gdy tylko zameldowała się u niego owego dnia, kiedy to Kazia zrobiła jej tak ważne wyznanie.

Ojciec Janusza potraktował Renę i Kazię z konwencjonalną uprzejmością, gdy jednak dowiedział się, o co chodzi, i ujrzał brulion anonimu, zmienił się niesłuchanie.

Łaska krótko i rzeczowo wyjaśniła mu przebieg sprawy i zaznaczyła, że zależy jej bardzo, by udział Wnukówny w całej sprawie pozostał w największej tajemnicy ze względu na obawę utraty pracy.

Garda zgodził się na to skwapliwie i długo siedział nad anonimem.

— Bardzo paniom dziękuję — rzekł wreszcie, chowając okulary do kieszeni. — Anonim ten nie wykazuje, niestety, niewinności Janusza, wskazuje tylko jak podłymi środkami szedł przez życie Szalski. Ten brulion jest raczej dowodem, że myliliśmy się co do pani — zwrócił się do Reny.

Dziewczyna zmieszana pochyliła głowę. Tomasz Garda skierował się z kolei do Kazi.

— Nie będzie się pani chyba dziwiła, że czynem jej nikt się nie będzie zachwycił — rzekł swym dawnym, równym głosem. — Pani zresztą sama wstydzi się teraz swego postępku. Przyznanie się do winy rehabilituje panią. Dałby Bóg, by skutki tego anonimu dały się również zniweczyć. Uda się pani teraz do komisarza Mondszajna. W urzędzie śledczym. To jest konieczne. Uprzedzę go telefonicznie i daję pani słowo honoru, jako prokurator, że wiadomość o pani zeznaniu nie przedostanie się poza krąg władz.

Garda gdy już pożegnał dziewczęta i gdy szły do drzwi, zatrzymał Renę.

— Niech pani zostanie jeszcze chwilę.

Skoro drzwi zamknęły się za Kazią, zwrócił się do Łaskiej.

— Wiem, że istnieje wiele przyczyn, by osoba moja była przykra i niemiła. Jestem starym człowiekiem, ale nawet najstarszy człowiek może się mylić. Omyliłem się co do pani. Było moją winą, że zbyt pochopnie uwierzyłem mylnym informacjom.

Westchnął. To wyznanie nie było mu przyjemne, jednakże wiedział, że wypełnia w ten sposób drobną część obowiązku wobec tej biednej dziewczyny.

— Chciała pani wziąć na siebie niepopelnioną winę, by bronić Janusza — mówił dalej. — Postąpiła pani bardzo szlachetnie i jestem pani wdzięczny. Teraz nie czas myśleć o tym, ale może przyjdzie chwila, kiedy będę mógł okazać pani swą wdzięczność. Będzie mi też bardzo przyjemnie, jeżeli zapomni pani błąd, jaki każdy mógł na moim miejscu popełnić.

Nie spodziewała się po nim słów tak prostych i szczyrych. Ogarnęło ją wzruszenie. On widocznie również, jak ona, pomyślał w tej chwili o Januszu, bowiem podał jej szybko rękę i rzekł, jak gdyby chciał jak najszybciej zostać sam.

— A teraz niech pani idzie! Niech pani pojedzie z koleżanką do urzędu śledczego i przypilnuje, by tam wszystko dobrze wypadło. To nie jest może uczciwie, ale każdy cień, który pada na osobę Szalskiego jest w pewnej mierze korzystny dla Janusza.

Odprowadził ją do drzwi i na pożegnanie powiedział jej jeszcze kilka miłych słów.

Nie mylił się w ocenie zeznań Kazi. Śledztwo zdobyło wprawdzie nowy ważny szczegół, jednakże na tym kończyło się wszystko. Wiedziano tylko, jak powstał anonim. W sytuacji Janusza nie zaszła żadna zmiana.

Zdawało się, że wszystko jest już stracone, że Janusz będzie musiał odpowiadać przed sądem za zabójstwo w uniesieniu. Władze śledcze traktowały sprawę jako przesądzoną. Karcz od ostatniej konferencji z prokuratorem Gardą nie dał żadnego znaku życia. W duszy prokuratora walczyły jeszcze resztki nadziei. Nadziei tej jednak ubywało z dniem każdym.

Tymczasem w sobotę rano, przed ową niedzielą, w której czasie wywiadowca Karcz zetknął się na polu wyścigowym z woźnym Stanisławem, wydarzył się w Warszawie wypadek samobójstwa oficera.

Oficerem, który się zastrzelił był niejaki porucznik Jagielski. Pozostawił on kilka listów do rodziny i władz wojskowych.

Żandarmeria prowadząca śledztwo otworzyła listy i odczytała ich treść.

Porucznik Jagielski spowiadał się w tych listach z win swego życia. Na zapłacenie długu honorowego musiał przed półtora rokiem zaciągnąć lichwiarską pożyczkę.

Pożyczki na spłatę karcianego długu, udzielił mu lichwiarz Natan Hufnagel. Od tego czasu stał się porucznik Jagielski ofiarą lichwiarza. Jak pająk muchę, opętał Żyd porucznika Jagielskiego. Nieszczęsny oficer musiał płacić procenty, które szybko przekroczyły pożyczony kapitał. Potem Hufnagel obciążył go procentami od procentów, w ten sposób nie było żadnej nadziei, by porucznik mógł ze swej szczupłej pensji wywiązać się ze swych zobowiązań.

Doszło do tego, że Jagielski prosił wprost Hufnagla o względność, lichwiarz jednak nie znał litości. Gdy zrozpaczony porucznik zagroził wreszcie Żydowi, że doniesie władzom, Hufnagel roześmiał mu się w twarz, oznajmiając, że skutki tego byłyby dla obu stron równie przykre.

Oplatany siecią, z której nie mógł się wydobyć, nieszczęsny oficer popadł wreszcie w rozstrój nerwowy i jedyny ratunek dojrzał w samobójczej myśli.

Celny strzał w serce, uwalniając go od życia, uwolnił go zarazem od Hufnagla.

Jednakże w pozostawionych listach podał porucznik Jagielski, nazwisko i adres lichwiarza. Pragnął, by dosięgła go zasłużona kara za to, że złamał i zniszczył młode życie i pięknie zapowiadającą się karierę wojskową.

Sprawa poszła normalnym trybem. Wojskowe władze prokuratorskie po krótkim śledztwie przesłały akta sprawy do prokuratora cywilnego celem pociągnięcia Hufnagla do odpowiedzialności.

Zdarzyło się, że sprawa wpłynęła do rąk prokuratora Gardy. Zwykła sprawa, jakich wiele przynosił każdy dzień powszedni. Prokurator Garda dał zlecenie urzędowi śledczemu natychmiastowego aresztowania i przesłuchania lichwiarza.

I tu dopiero rozpoczął się nieoczekiwany splot wypadków.

Hufnagel został aresztowany w poniedziałek o świcie i zaprowadzony do urzędu śledczego.

Aspirant Werner zajął się przesłuchaniem Hufnagla, który trząśnięty wystraszony i zapewniał, że jest absolutnie niewinny i że nie może za nic odpowiadać.

Aspirant Werner zapytał się wobec tego drwiąco, kto jest winien temu, że Żyd uprawiał lichwę.

Odpowiedź padła krótka, ale gdyby, zamiast słów Hufnagla, padła bomba na biurko aspiranta policji wrażenie nie byłoby mniejsze.

Odpowiedź rudowłosego Żyda brzmiała:

— Szalski... Artur Szalski...

Gdyby Szalski żył, Hufnagel wziąłby winę na siebie, wiedząc, że to ryzyko i nawet kara więzienia opłaci mu się sowicie. Zbyt wielkie łączyły go interesy z dyrektorem magazynu, by miał raz na zawsze zamykać sobie do niego drogę i kompromitować go doszczętnie. Ale teraz nie miał żadnych skrupułów.

Artur Szalski nie żył. Czyż może być lepszy sposób obrony, jak zwałać winę na nieżyjącego?

Płaczliwym głosem, targając brodę, jął opowiadać Hufnagel, że był tylko narzędziem w ręku Szalskiego, który dostarczał mu pieniędzy, by ten puszczał je w obieg na lichwiarski procent. Zyskami się dzielili. On nie jest winien, tylko Szalski, który go skusił, by zajął się tym procederem. Szalski wydawał wszelkie dyspozycje. Szalski decydował, jak postępować z dłużnikami, którzy nie chcieli płacić. Szalski też dyktował mu od początku do końca, jak postępować z porucznikiem Jagielskim. Szalski kazał traktować oficera twardo i nieustępliwie. Szalski tłumaczył Hufnaglowi, że porucznik wyprzeda się ze wszystkiego, żeby zaspokoić ich pretensje, bowiem ujawnienie karcianych długów, mogło złamać jego karierę wojskową.

Szalski... Wszystko Szalski!

Szalski!... Nazwisko to było tak świeże w pamięci wszystkich. Tak świeże w pamięci aspiranta Wenera.

Tknięty przecuciem Werner przerwał przesłuchanie. Ułynęło nieco czasu, nim odszukał komisarza Mondszajna i zreferował mu krótko, że aresztowano lichwiarza, który wspominał o swych bliskich stosunkach z Szalskim. Jeszcze jedna tajemnica podwójnego życia magazynu wychodziła niespodziewanie na jaw.

Komisarz Mondszajn miał dobry węch. Przyszło mu natychmiast na myśl, że, być może, z Żyda coś wydusi, co wniesie jakieś światło w sprawę zbrodni. Wprawdzie wszystkie poszlaki wskazywały na Janusza Gardę, komisarz jednak byłby bardzo rad, gdyby tajemnica zamordowania Szalskiego wyjaśniła się na korzyść prokuratora i jego syna.

Komisarz Mondszajn był starym praktykiem i umiał się brać do śledztwa. Gdy udał się wraz z Wenerem na dalsze przesłuchanie Hufnagla, gdy zaczął cytować paragrafy i lata więzienia, jakie miały czekać lichwiarza, gdy zaczął robić domyslniki, że, kto wie, może to właśnie on – Hufnagel! – jest sprawcą zabicia Szalskiego, Żyd, drząc jak w febrze, począł bełkotać i wreszcie wygadał nowe rzeczy.

Nie! Skądże znowu! On miałby zabić Szalskiego? Nigdy! Jest lichwiarzem, ale nie byłby nigdy mordercą. Nie zabiłby nawet kurczęcia i mdleje na widok krwi. Szalski był to dobry człowiek i on – Hufnagel – zarabiał dobrze na kombinacjach z nim. Jeszcze na kilka dni przed śmiercią pana Szalskiego mieli zrobić dobry interes. Mecenas Saski zwrócił się do niego o pożyczanie dużej sumy pieniędzy, by pokryć sumę, którą jego lekkomyślny syn zdefraudował z kasy banku, chciał w ten sposób pokryć manko kasowe, zanim stwierdzi je kontrola. Szalski miał dostarczyć Hufnaglowi pieniądze. Hufnagel miał je wręczyć Saskiemu.

Jeszcze na kilka godzin przed zabięciem pana Szalskiego, Hufnagel rozmawiał z nim telefonicznie. Pan Szalski powiedział mu, że już ma pieniądze przy sobie i że przyniesie mu je nazajutrz rano. Tymczasem nie przyniósł pieniędzy, bo wieczorem zabił go ten pan Garda i przyszła kontrola w banku i stwierdziła brak pieniędzy i młodego pana Saskiego zamknęli do kryminału. Gdyby pan Szalski żył, nie zdarzyłoby się to nieszczęście. Pan mecenas Saski otrzymałby te pieniądze. Jakżeby on – Hufnagel – mógł zabić pana Szalskiego, skoro robił z nim tak dobre interesy? Dlaczego miałby go zabijać Zresztą on ma alibi. Cały wieczór siedział z żoną i dziećmi. Jest lichwiarzem, ale nie jest mordercą...

Mondszajn z całej gadaniny Żyda zwrócił największą uwagę na tę transakcję pieniężną, w której w grę wchodził adwokat Saski.

Powiedział Hufnaglowi, że wszystko dobrze, ale musi on udowodnić, iż między nim a Szalskim istniał związek, jak to lichwiarz przedstawiał.

Szalski jednak był sprytny i Hufnaglowi trudno było przedstawić dowody wspólnie uprawianej lichwy. Wił się jak piskorz pod gradem kąśliwych pytań komisarza, aż wreszcie oznajmił, że przekonanie się o prawdzie jego słów jest bardzo proste. Pan mecenas Saski chciał pożyczyć dwadzieścia tysięcy złotych. Sumę tę dla Saskiego miał Hufnaglowi dostarczyć Szalski wcześniej rano. Między ósmą a dziewiątą. Musiał więc te pieniądze mieć przygotowane już w domu.

— Jeżeli w mieszkaniu pana Szalskiego tego wieczoru, znajdowało się dwadzieścia tysięcy złotych, to te dwadzieścia tysięcy złotych musiały być przyszykowane dla mnie. Pan mecenas Saski jest uczciwy człowiek i nie będzie chciał gubić biednego Żyda za to, że chciałem mu zrobić przysługę. Poświadczy, że chciał wziąć ode mnie dwadzieścia tysięcy i to właśnie będą te same.

Monszajn potrząsnął głową.

— To jest łgarstwo! W mieszkaniu Szalskiego nie znaleziono żadnych dwudziestu tysięcy złotych.

— Prawdę powiedziałem! — bronił się Hufnagel. — Pan Szalski telefonował mi wyraźnie, że pieniądze ma przy sobie, że przywiezie mi je prosto z domu następnego dnia rano. Gdyby go nie zabili...

Monszajn otrzymał nagle jakby uderzenie w głowę. A jeżeli Żyd mówi prawdę? Jeżeli transakcja istotnie wchodziła w grę?... Jeżeli w mieszkaniu Szalskiego było owego wieczoru dwadzieścia tysięcy złotych?

Jeżeli były. Bo ich przecież nie znaleziono! A skoro były i nie znaleziono ich, to oznaczało, iż ktoś przed nadejściem policji zabrał te pieniądze z mieszkania.

Kto u diabła! Rena Łaska? Janusz Garda? Nie! Nonsens! A więc kto?

Ten trzeci... ten trzeci nieznany człowiek, którego istnienie przeczuwał prokurator Garda, o którego istnieniu usiłował go przekonać wywiadowca Karcz.

Wobec tego Janusz Garda nie kłamał, odwołując swe zeznania. Wobec tego było zbiegiem okoliczności, że do jego samooskarżenia, dyktowanego chęcią ratowania Reny Łaskiej, dołączyły się poszlaki, które doprowadziły do dania wiary jego zmyślnym zeznaniom.

Drobna sprawa rozrosła się nagle do rozmiarów pierwszorzędnego znaczenia. Hufnagel stał się nagle dla Monszajna cenną zdobyczą. Sprawa samobójstwa porucznika Jagielskiego została zepchnięta na dalszy plan.

Komisarz Monszajn nie przesłuchiwał już dalej Hufnagla. Kazał go zamknąć w celi i pojechał natychmiast do prokuratora Gardy.

Rozmowa była krótka. Słowa padały jak cięcia mieczem.

Monszajn miał tę zaletę, iż umiał uznać swój błąd. On był zresztą ostatnim, który uwierzył w winę Janusza.

— Panie prokuratorze — oznajmił, gdy zreferował mu sprawę — jeżeli Hufnagel nie kłamie, jeżeli Saski potwierdzi jego zeznania, jeżeli wchodziła tu istotnie w grę ta suma pieniędzy, z chwilą gdy ustalimy, kto zabrał je z mieszkania Szalskiego, ustalimy, kto Szalskiego zabił. A to dla pańskiego syna oznacza wolność.

Rozpoczęła się niestrudzona praca telefonów. Mecenasu Saskiego nie można było znaleźć. Ustalono wreszcie, że o godzinie pierwszej miał sprawę na wokandzie sądu apelacyjnego. Trzeba się było wstrzymać do pierwszej.

Tymczasem Garda wezwał do siebie sędziego śledczego Kobera i podprokuratora Gniewosza. Niezależnie od decyzji, jakie miały zapaść, komisarz Monszajn puścił w ruch cały

aparatus śledczy. Jeden z aspirantów policji udał się natychmiast do dyrekcji Domu Towarowego, by stwierdzić, czy w ciągu ostatnich kilku dni Szalski nie podejmował jakichkolwiek sum z kasy przedsiębiorstwa? Równocześnie stwierdzono, że zamordowany miał otwarte konta w Pocztovej Kasie Oszczędności i w Banku Angielsko-Polskim.

Obie te instytucje stwierdziły na podstawie wykazów czekowych, że w ciągu ostatnich dni swego życia Artur Szalski nie podejmował żadnych kwot za swych rachunków.

Mondszejn był skonsternowany. Poczynał wątpić w prawdę słów lichwiarza. Prokurator Garda zwrócił mu jednak uwagę, że Szalski mógł spieniężyć papiery procentowe. Była to uwaga trafna, niestety jednak stwierdzenie tego było bardzo trudne i wymagało czasu.

Tymczasem wywiadowca policji oczekiwał w sądzie apelacyjnym przyjścia mecenasa Saskiego, z poleceniem natychmiastowego wezwania go do prokuratora Gardy.

Właśnie w trakcie oczekiwania adwokata, który mógł się przyczynić do wyjaśnienia kwestii owych dwudziestu tysięcy złotych, zjawił się u prokuratora Karcz.

Zdyszany, urywanym głosem zdał Mondszejnowi raport z wyniku swoich prac.

Wiadomość o zniknięciu teki przeoczonej w śledztwie była niezmiernie ważnym ogniwem, które nadawało zupełnie zdecydowany kierunek dalszym dochodzeniom.

Komisarz Mondszejn opanował uczucie zazdrości, jakie zrodziło się w nim na chwilę, i wysłuchał opowiadania Karcz. Wywiadowca od początku do końca wypełnił znakomicie zadanie, które wziął dobrowolnie na siebie.

Tomasz Garda był wstrząśnięty niespodziewanym zwrotem w sprawie wyglądającej jeszcze przed kilku godzinami na zupełnie beznadziejną. Nie mógł jeszcze ogarnąć myślą ogromu szczęścia, jakie spadało na niego po dniach cierpienia i bólu. Gdy Karcz skończył mówić, wyciągnął tylko do niego rękę i uściśnął ją silnie. Agent śledczy był o tyle dobrym psychologiem, że zrozumiał, co działo się w sercu starego prokuratora.

Teraz było już jasne, że skoro była wypchana teka, która zginęła bez śladu, teka ta musiała zawierać owe dwadzieścia tysięcy złotych, które miał otrzymać Hufnagel.

Upłynęło jeszcze kilka kwadransów niepewności. Szalę przeważył miało ostatecznie oświadczenie adwokata Saskiego.

Gdy zjawił się wreszcie, zapytanie go o sprawę pożyczki u Hufnagla pozostawiono prokuratorowi Gardzie.

Stary, siwy adwokat pobladł, gdy poruszono ten temat. Był człowiekiem na wskroś uczciwym, toteż odparł bez wahania.

— Gdy syn przyznał się przede mną do popełnionego nadużycia starałem się istotnie o sumę, która pozwoliłaby załatwić po cichu sprawę defraudacji. Nie będę krył, że moje warunki finansowe są teraz zupełnie nieświetne. Musiałem się zwrócić do lichwiarza. Polecono mi Hufnagla.

— I Hufnagel nie dostarczył panu owych dwudziestu tysięcy?

— Miał mi je dostarczyć, lecz wycofał się w ostatniej chwili, nie motywując tego niczym. Mówił, że nie rozporządza taką sumą i że zawiódł go ktoś, kto miał mu wpłacić owe pieniądze. O Szalskim naturalnie nie było mowy. Któż mógł by przypuszczać...

— Panie mecenasie — wmieszał się Kober — proszę sobie dobrze przypomnieć. Kiedy to było? Którego dnia miał pan dostać te pieniądze, którego dnia lichwiarz się wycofał?

— Pamiętam doskonale! To było następnego dnia po zamordowaniu Szalskiego. Gdyby Szalski żył, Hufnagel wręczyłby mi pewnie te pieniądze i mój syn nie odpowiadałby teraz za błąd młodości.

Stary adwokat zamyślił się, po czym dodał ze smutkiem.

— Te same pieniądze, których brak zgubił mego syna, ratują teraz pańskiego Janusza,



panie prokuratorze.

Uczynił ręką gest rezygnacji.

— Jeszcze jedno pytanie, panie mecenasie. Ile pan miał zapłacić Hufnaglowi za tę lichwiarską transakcję?

— Miałem dać weksle na trzydzieści tysięcy złotych.

Mondszejn gwizdnął cicho.

Gdy po chwili pożegnano z szacunkiem adwokata Saskiego, sytuacja była już w stu procentach jasna.

Artur Szalski padł ofiarą rabunkowego morderstwa. Morderca zabrał z sobą tekę z monogramem zabitego, zawierającą sumę dwudziestu tysięcy złotych.

Śledztwo musiało wkroczyć na tory poszukiwania mordercy.

Ale to już nie leżało w kompetencji ani Tomasza Gardy, ani Gniewosza, ani doktora Kobera. Należało to do władz policyjnych, a w pierwszym rządzie do Mondszejna i do Karczca.

Rozmowa komisarza z wywiadowcą nie trwała długo.

Karcz zwierzył się Mondszejnowi ze swych podejrzeń. Rezultatem tych zwierzeń było zainteresowanie się urzędu śledczego osobą lokaja Szalskiego – Feliksa Derenia.

Należało działać szybko i ostrożnie, by nie spłoszyć zbrodniarza.

Łatwo było aresztować Feliksa i poddać go przesłuchaniu, ale był on już przecież przesłuchiwany zaraz po zamordowaniu dyrektora magazynu i zeznawał spokojnie i pewnie. Wykazał swe alibi. Przesłuchiwany teraz – potwierdziłby z pewnością poprzednie swe zeznania, a nie było przecież żadnych dowodów przeciwko niemu, jedynie podejrzenia.

Mondszejn i Karcz postanowili dojść przez tekę do zbrodniarza, a dopiero, gdyby metoda ta nie dała rezultatów, wezwać Feliksa do przesłuchania i wziąć go w krzyżowy ogień pytań.

Musiano się liczyć z tym, że sprytny zbrodniarz zniszczył tekę, która mogła go zgubić. Jeżeli Dereń zabił Szalskiego, to trzeba było przyznać, że miał więcej rozumu, niż podobni mu przestępcy, bowiem wywiad przeprowadzany przez kilka dni bezpośrednio po śmierci Szalskiego wykazał, że lokaj nie zmienił trybu życia. Żył skromnie i szukał sobie nowego zajęcia.

Rozpoczęto więc szukanie teki. Wywiadowca Karcz rej wodził w tej pracy.

W godzinach popołudniowych zdołano już stwierdzić, że Feliks miał przyjaciółkę, dziewczynę z rodziny rzemieślniczej, którą często odwiedzał na Burakowie.

Natychmiast po stwierdzeniu tego szczegółu, Karcz otrzymał rozkaz przeprowadzenia dokładnej rewizji w mieszkaniu dziewczyny i jej rodziców oraz wzięcia ich na spytki.

Tymczasem dwu wywiadowców policji miało na oku dom, w którym po wyprowadzeniu się z mieszkania pozostałego po Szalskim mieszkał Feliks u jednego ze swych znajomych.

Lokatorzy domu na Burakowie stawiali się ostro i twierdzili, że nie wiedzą o niczym. Karcz przewrócił do góry nogami niebogate izdebki, jednakże nie znalazł tego, czego szukał. Czarnej teki z monogramem nie było...

Na wszelkie pytania w tym kierunku kochanka Feliksa i jej rodzina odpowiadali drwinami i wzruszeniem ramion.

Dopiero, gdy Karczowi przyszła do głowy szczęśliwa myśl przetrząśnięcia niewielkiego stryszku, okazali pewne zmieszanie. Nie uszło ono uwagi Karczca i po przeszukaniu rupieciarni jeden z młodszych wywiadowców przyniósł mu w tryumfie najbardziej upragniony przedmiot – czarną tekę Szalskiego, ze srebrnym monogramem.

Przyjaciółkę Feliksa i rodzinę jej natychmiast aresztowano. Dom obsadzono wywiadowcami. Nie ulegało już wątpliwości, że mordercą Artura Szalskiego był jego lokaj.

Teraz należało co prędzej aresztować Feliksa. Niespodziewane wydarzenie opóźniło jednak schwywanie mordercy.

W czasie gdy policja przeprowadzała rewizję, wracał do domu z pracy brat kochanki Feliksa. Uprzedził go ktoś z sąsiednich zabudowań, że policja jest u niego w domu. Zaczynał braciśzek wiedział dobrze, co to znaczy. Był wtajemniczony w dobrą „robotę”, jaką zupełnie niespodziewanie zrobił niedawno Feliks.

Zawrócił natychmiast i pojechał do mieszkania Feliksa. Szczęśliwym trafem zastał go w domu. Powiedział mu, że musi natychmiast uciekać.

Feliks nie namyślał się długo. W śmiertelnym lęku spakował małą walizkę i wybiegł z domu. Pożegnali się na najbliższym rogu ulicy.

Jeden z wywiadowców policji, który miał na oku Derenia i jego mieszkanie, pobiegł do telefonu, by zawiadomić Mondszejna o ruchach lokaja. Drugi spieszył w ślad za Feliksem. Nie wiedział, co robić. Wszystko wskazywało na to, że śledzony chce ratować się ucieczką, a wywiadowca nie miał nakazu aresztowania, bowiem w urzędzie śledczym nic jeszcze nie wiadano o znalezieniu teki.

Feliks wszedł do autobusu zdążającego w stronę dworca. Uspakajał się powoli.

Gdyby go aresztowano na dworcu, miał gotowe wytłumaczenie. Udawał się do Gdańska, ponieważ brat pana Szalskiego obiecał wystarać mu się tam o posadę w przedsiębiorstwie, w którym zajmował poważne stanowisko. A niech tylko dostanie się do Gdańska, mogą go długo szukać.

Pragnął jak najprędzej znaleźć się w pociągu, zdążającym w kierunku Wolnego Miasta. Tymczasem na dworcu czekało go rozczarowanie. Najbliższy pociąg odchodził dopiero za trzy godziny.

Te trzy godziny zgubiły Feliksa.

Te trzy godziny pozwoliły Karczowi zameldować w urzędzie śledczym o znalezieniu teki Szalskiego w domu na Burakowie. W kilka minut potem podpisany został nakaz aresztowania, a Karcz, który tkwił jeszcze przy telefonie, otrzymał dyspozycje natychmiastowego udania się na dworzec główny. Równocześnie urząd śledczy nadał telefonogram do komisariatu dworcowego.

Feliks Dereń kręcił się niespokojnie po hali dworca, gdy silne ręce chwyciły go z tyłu. Obezwładniono go momentalnie, skuto w kajdany i przywieziono do urzędu śledczego, gdzie oczekiwał już sędzia śledczy.

Feliks trzymał się twardo, przeczył wszystkiemu i zachowywał się wyzywająco.

Uciekać nie miał zamiaru! Chciał wyjechać do Gdańska w sprawie posady. Niech panowie z policji zatelefonują do pana Stefana Szalskiego w Gdańsku, a przekonają się, że obiecał on pracę wiernemu słudze brata. W tym celu właśnie chciał wyjechać do Wolnego Miasta.

Zapytano go o pieniądze, które przy nim znaleziono. Była to większa suma – niewątpliwie część pieniędzy zrabowanych Szalskiemu.

Uśmiechnął się. To były przecież jego oszczędności, uciulane w czasie wielu lat pracy. Miał hojnych panów. Ani hrabia Lityński, ani Szalski nie żalowali mu grosza.

Wówczas pokazano mu tekę, o której znalezieniu dotąd nie wiedział. Zbladł i próbował się jeszcze wypierać, ale nie trwało to długo.

Feliks Dereń załamał się wreszcie zupełnie i przyznał się do zamordowania swego chlebobawcy.

To przyszło zupełnie nagle. Nie miał zamiaru zabijać. Nosił się co prawda od dawna z innym zamiarem. Z zamiarem okradzenia Szalskiego i wyjechania za granicę. Być całe życie lokajem to żadna przyjemność! Z każdym dniem opanowywało go coraz większe pragnienie zdobycia pieniędzy i stania się panem.

Okraść Szalskiego było bardzo trudno. Dyrektor magazynu miał zwyczaj trzymania w

domu minimalnej ilości gotówki. Akurat takiej, jaka była potrzebna na prowadzenie gospodarstwa.

Traf chciał, że owego krytycznego wieczoru, gdy Szalski miał gościć u siebie jakąś młodą damę. Feliks zauważył, że jego pan przyniósł z sobą z magazynu grubo wypchaną tekę. W czasie przenoszenia do gabinetu tej teki wypadło z niej na podłogę kilka paczek banknotów. Feliks dojrzał, że teka była pełna pieniędzy. Od tej chwili począł myśleć o tym, by pieniądze te zdobyć. Musiało być ich dużo!...

Skoro skończył przygotowania do kolacji, Szalski zwolnił go na resztę wieczoru. Tak było zawsze, ilekroć gościł u siebie kobietę.

Feliks wyszedł, jednakże myśl o pieniądzach nie opuszczała go. Postanowił wrócić i zdobyć je. Nie myślał jednak wówczas o morderstwie. Chciał je po prostu ukraść tak, by Szalski uwierzył we włamanie.

Znał przyzwyczajenia swego pana i wiedział, że Szalski jest erotomanem, który zapomina o wszystkim, gdy ma u siebie intymne wizyty. Postanowił więc wrócić do domu i wejść do mieszkania tylnymi schodami, drzwiami kuchennymi, tak by nikt go nie zauważył.

Należało się śpieszyć, należało swój plan koniecznie dziś wykonać, bowiem przyniesienie przez Szalskiego tak wielkiej ilości pieniędzy do mieszkania było okazją, jaka mogła nie powtórzyć się rychło.

Kuchnia łączyła się jednymi drzwiami z łazienką i przez łazienkę z gabinetem Szalskiego, drugimi drzwiami z pokojem jadalnym.

W gabinecie na biurku leżała teka.

Plan Feliksa był ryzykowny, lecz prosty. Wejść do kuchni z zachowaniem wszelkich ostrożności, przejść przez łazienkę do gabinetu i zabrać tekę, po czym dokonać odwrotu tą samą drogą. Gdyby Szalski go przydybał w kuchni miał proste tłumaczenie, że zapomniał czegoś i wrócił się. Należało się jednak spodziewać, że Szalski zajęty swą towarzyszką nie zwróci na nic uwagi. Po oddaniu teki z pieniędzmi w bezpieczne miejsce, miał Feliks zamiar, jakby nigdy nic, wrócić o zwykłej porze do domu. Upozorowanie włamania było tym łatwiejsze, że drzwi od kuchni otwierały się na prosty zamek, któremu każdy wytrych mógł dać radę. Sprawa wyglądałaby tak, że ktoś włamał się przez kuchnię do mieszkania, dostał się do gabinetu i spłoszony zbiegł, zabierając tekę.

Feliks miał wykazać swe alibi i dopiero po jakimś czasie, gdy sprawa ucichnie, opuścić służbę u Szalskiego i korzystać swobodnie ze skradzionych pieniędzy.

Z początku szczęście zdawało się sprzyjać planowi lokaja. W bramie nie było już dozorczy domu. Feliks prześlizgnął się koło dyżurki, czego nie zauważył zaczytany w gazecie Doskocz. Na schodach kuchennych również nie było nikogo.

Feliks wszedł do kuchni i skierował się przez łazienkę do gabinetu. By ułatwić sobie odwrót, drzwi między kuchnią a gabinetem pozostawił otwarte. Wszystko miało być dziełem sekund. Gumowe obuwie na nogach Feliksa, kaflowa podłoga w łazience i wielki dywan leżący na podłodze w gabinecie ułatwić miały zadanie.

Feliks miał już tekę w ręku. Kierował się już z powrotem do kuchni, gdy niespodziewanie wszedł do niej Szalski z jadalni. Być może usłyszał jakieś podejrzone szmery, być może szukał czegoś.

Wejście Szalskiego do kuchni przecinało Dereniowi drogę odwrotu. Szalski zauważył otwarte drzwi do łazienki i do gabinetu. Lokaj stracił równowagę ducha, widząc, że plany jego zostały pokrzyżowane. Zorientował się, że kobieta, na którą oczekiwał Szalski, nie nadeszła jeszcze i że Szalski jest sam w mieszkaniu. Rzucił się ku drzwiom wiodącym z gabinetu do jadalni, chcąc zbiec przez frontowe schody. W ucieczce widział jedyny już ratunek.

Tymczasem właściciel mieszkania wbiegł z powrotem do jadalnego pokoju i ujrzał Feliksa z teką zmierną w stronę przedpokoju. Sytuacja była jasna. Szalski chwycił rewolwer, który leżał na żardinierze i wśród przekleństw skierował się w stronę Feliksa. Kazał mu położyć tekę i zagroził wezwaniem policji. Wówczas Feliks, doprowadzony do ostatecznej rozpaczy, nie zważając na broń wymierzoną ku sobie, rzucił się na Szalskiego. W szamotaniu wyrwał mu rewolwer i skierował do niego. Sam nie wiedział, jak to się stało, że padł strzał i że Szalski zwał się na ziemię.

Po strzale Feliks oprzytomniał. Pochylił się nad Szalskim. Ten już nie żył.

Teraz począł Feliks zastanawiać się szybko nad sposobem zatarcia śladów. Najgorsze już się stało i było nieodwołalne. Trzeba było z tego wyciągnąć konsekwencje. Lada chwila mogła do drzwi mieszkania zadzwonić owa kobieta.

Feliks pozamykał drzwi od kuchni, od łazienki i od gabinetu, przecierając każdą klamkę małą irchową ściereczką. Potem równie dokładnie wytarł rewolwer, by nie pozostały na nim ślady palców i położył go obok zabitego. Postanowił wyjść frontowymi schodami. Największą sztuką było opuścić dom równie niepostrzeżenie, jak przyszedł. Schody frontowe lepiej nadawały się do tego celu, ruch bowiem na nich był słabszy i Feliks nie musiał przechodzić obok dyżurki dozorczy.

Wychodząc z mieszkania, lokaj naumyślnie nie zamknął zupełnie frontowych drzwi, by po wykryciu zbrodni sądzono, że dokonał jej jakiś nieznan sprawca, który zbiegł w pośpiechu.

Udało mu się wydostać z domu tak samo, jak przyszedł. Nikogo nie spotkał, nikt go nie widział. Odwiózł torbę z pieniędzmi na Buraków w ten sposób, że część trasy przejechał tramwajem, a część taksówką. Po ukryciu łupu powrócił natychmiast inną taksówką do śródmieścia i udał się do kina. Był w nim wprawdzie sam, przy kasie jednak zakupił dwa bilety, z których jeden dał do przedarcia bileterowi, na drugim sam kupon skasował. Miała to być droga do wykazania swego alibi.

Na Buraków następny raz pojechał dopiero w trzy dni po zbrodni, gdy już był pewien swej bezkarności, czytał bowiem w gazetach o aresztowaniu Janusza Gardy i o tym, że nagromadzono przeciwko niemu bardzo poważne poszlaki. Wtedy dopiero opróżnił tekę z pieniędzy i porzucił ją w domku na strychu. Nie zdawał sobie sprawy z popełnionego błędu, ponieważ był rozzuchwalony świadomością, że nikt nie podejrzewa go w najmniejszej nawet mierze. Część pieniędzy nosił przy sobie. Resztę owinął w szmaty i cynfolię i w tajemnicy przed wszystkimi zakopał pod parkanem na podwórzu otaczającym posesję.

Teraz wszystko było już jasne. A więc lokaj zabił Szalskiego zaraz po wyjściu Janusza z mieszkania dyrektora, a przed przybyciem Reny.

Natychmiast po odebraniu zeznań od zupełnie złamanego lokaja, komisarz Mondszajn chwycił za telefon, by oznajmić radosną wieść prokuratorowi Gardzie, podczas gdy sędzia śledczy, doktor Kober, wystawiał polecenie natychmiastowego zwolnienia Janusza z aresztu śledczego.

\* \* \*

Tak się skończyła sprawa, której akta opatrzone były kolejnym numerem 777.

\* \* \*

W kilka dni potem prokurator Garda mówił do brata.

— Chciałem z tobą wcześniej poruszyć tę kwestię, jednakże byłem zbyt przejęty. Dopiero teraz odzyskuję powoli spokój. Zapłaciłem wielką cenę za naukę, którą odniosłem z aresztowania Janusza. Widzisz, Oskarze, Temida jest zawsze ślepa i mieli rację starożytni, wyobrażając ją z opaską na oczach. Ale gdy obok rozumu sędzi również sercem – nie myli się nigdy. Trzeba mi było dopiero tych ciężkich przejść, by to zrozumieć. Wróćmy jednak do ciebie. Chciałem ci zaproponować, byś porzucił swój pokój na mansardzie i przeprowadził się do mnie. Proponowałem ci to już raz. Pamiętasz? Wtedy gdy byłeś u mnie po raz pierwszy.

Oskar Garda podniósł na brata swe wyblakłe oczy.

— Tak, ale teraz pokój Janusza już nie jest pusty...

— To nic! Rozumiesz chyba, że już niedługo będę znów samotny. W sprawie małżeństwa Janusza z Reną nie mam nic do powiedzenia. Straciłem do tego prawo. Przeciwnie, wiesz o tym, że mu pomogę, by stało się to jak najprędzej. Zamieszkać więc u mnie. Będą nam prędzej schodziły wieczory. Zgadzasz się, Oskarze?

Szli ulicą w zapadającym zmroku. Wisiało nad nimi jesienne ołowiane niebo. Z podmuchami lodowatego wichru jęły padać na ziemię płaty pierwszego śniegu i topnieć na chodnikach i jezdniach.

Były aktor przez długą chwilę nic nie odpowiadał. Dopiero gdy zbliżył się do czerwonej kuli przystanku tramwajowego, zatrzymał się i ozwał się poważnie.

— Tutaj rozchodzą się nasze drogi.

Prokurator Garda uniósł brwi ruchem zdziwienia.

— Nie godzisz się, Oskarze?

— Nie! Nie godzę się! Nie myśl jednak, że chcę cię dotknąć lub obrazić. Przeciwnie, oceniam zupełnie twoją intencję i bardzo ci jestem wdzięczny za twą propozycję.

— Więc pakuj manatki i przychodź do mnie!

— Dziękuję ci raz jeszcze, ale nie zrobię tego. Widzisz, ja już odwykłem od takiego solidnego, uregulowanego życia, w jakim ty spędziłeś młodość i w jakim wszedłeś w starość. Ja stałem się człowiekiem zupełnie innym. Przywykłem do mego cygańskiego trybu życia, do mego podszytego wiatrem płaszcza, do tego, że raz jest więcej pieniędzy, raz mniej, że raz się jest przejeżdżonym, a częściej głoduje. Przywykłem nawet do mego kąta na mansardzie. Żyć teraz w burżuazyjnym dosycie, mieć zawsze na czas obiad i zawsze całe buty... To byłoby z początku zabawne, ale potem stałoby się nie do zniesienia. Ostatecznie byłbym przecież na twojej łasce. Wiem! Wiem! Powiesz mi, że wszystko, co masz, byłoby wspólne, byłoby również moje. Wybacz, to już nie dla mnie... Przy tym jeszcze jedno – jestem narkomanem, mój drogi!...

— Posłuchaj, Oskarze...

— Nie próbuj mnie przekonać! To daremne. Znacznie łatwiej mi będzie, gdy będę bez grosza, zwrócić się do ciebie lub do Janusza o pożyczkę. Przypuszczam, że mi jej nie odmówisz. Gdy zapragnę ciepłego kąta, wpadnę do ciebie na herbatę. Ale stale mieszkać? Nie! To nie dla takiego człowieka jak ja. Gdybyś chciał zrobić mi przysługę, to postarałbyś się przełamać ten mur, którym mnie otoczono. Żebym mógł zaśpiewać! Przy pełnej sali! Zaśpiewać jeszcze raz w życiu!... Usłyszeć oklaski... To byłaby największa przysługa, jaką mógłby mi ktokolwiek zrobić.

Prokurator pochylił głowę. Ze wszystkich marzeń, jakie mógł mieć jego brat, to jedno było najzupełniej niewykonalne.

Oskar zrozumiał ten gest i uśmiechnął się smutno.

— Zdaje się, że nadjeżdża twój tramwaj. Bądź zdrow, Tomaszu!

Uścisnął mu rękę, po czym odwrócił się i odszedł szybko, jak gdyby chciał ukryć wzruszenie, które go ogarnęło.

Pierwszy śnieg padał coraz gęstszymi mokrymi płatami. Oskar zgarbiony, z głową wciśniętą w ramiona, z podniesionym kołnierzem palta, oddalał się, brnąc w kałużach topniejącego śniegu.

Prokurator Garda patrzył za nim długo, aż skulona sylwetka rozplynęła się w mroku rozplakanej jesiennej nocy.

KONIEC